

ZMIANA DOBREJ ZMIANY
PiS idzie po wyborców
centrum. A potem Unia

NIEWOLNICTWO DZIŚ
Handel ludźmi kwitnie
z przyzwoleniem Europy

DRAMAT TEATRU
Aktorzy Starego:
scena jest nasza

KUCHENNE EWOLUCJE
Flaki i podroby
w służbie narodów

Kraków 21 stycznia 2018 nr 4 (3576) cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

**O. Ludwik
Wiśniewski**

OSKARŻAM

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 17 7004 1480802

KUP PRENUMERATĘ PAPIEROWEGO WYDANIA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” NA 2018 ROK

i otrzymaj **PREZENT NA POWITANIE**
– bestsellerową książkę
Szymona Hołowni
„Instrukcja obsługi solniczki”
– o wartości 22,90!



**Ostatnia szansa,
by otrzymać książkę!**

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ:

Prenumerata	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	299 zł	349 zł
Półroczna (26 numerów)	189 zł	209 zł
Kwartalna (13 numerów)	99 zł	109 zł

Prenumeratę można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

PRENUMERATĘ ZAGRANICZNĄ można opłacić poprzez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

UWAGA! Oferta ważna do 20 stycznia 2018 r., po tym terminie nie ma gwarancji otrzymania książki.

*„Instrukcja obsługi solniczki”, wydanie papierowe, cena rynkowa 22,90 zł – wydanie pierwsze, WAM 2017.
Wysyłka książek będzie realizowana w styczniu 2018 r. bez dodatkowych opłat.

KS. ADAM

Boniecki: Prorok i władcy

SPORĄ CZĘŚĆ STAREGO TESTAMENTU STANOWIĄ Księgi Prorockie. Prawdziwi prorocy (Biblia wspomina także o fałszywych) natchnieni przez Boga byli bezkompromisowo wierni przykazaniom, napominali i zapowiadali zwycięstwa lub klęski oraz inne nieszczenia. Za nic mieli oczekiwania władców, którzy chcieli od nich wsparcia dla ich własnych planów.

Władcy, chociaż się z prorokami liczyli lub chcieli mieć ich za swoich doradców, to zżymali się na ich prorocтва. Bywało, że wpływowi dworzcy urzędnicy usiłowali przemocą zmusić proroka do milczenia, a nawet – jak było np. z Jeremiaszem – pozbawić życia.

Prorocy reagowali na współczesne wydarzenia i przemawiali do konkretnych ludzi. Ich teksty są jednoznaczne – często ostro przeciwstawiają się ambicjom władców, nie mówiąc o urzędowym optymizmie. Władcy nie lubili proroków, jak zresztą wszyscy, którzy mają władzę, nie lubią tych, którzy z ich władzą się nie liczą i wytykają im błędy. Już kapłani i arcykapłani byli bardziej poprawni politycznie niż prorocy.

Z prorokami trzeba się było jednak liczyć, nie sposób było sobie ich podporządkować. Za ostatniego z proroków uważa się Jana Chrzciciela. Król go cenił i lubił z nim rozmawiać, ale i tak go zamordował, bo Jan się naraził bezkompromisową wiernością prorockiemu powołaniu. Gromił króla za przywłaszczenie sobie cudzej żony, a ta potrafiła ostatniego z biblijnych proroków zmusić do milczenia, doprowadzając do jego dekapitacji.

Z Janem Chrzcicielem lista biblijnych proroków się zamknęła. Co nie znaczy, że Bóg zrezygnował z ich misji. Św. Paweł pisał do chrześcijan w Koryncie (1 Kor 14, 1, 3, 4-5): „Dążcie do miłości, a z darów duchowych starajcie się zwłaszcza o dar prorokowania (...). Ten, kto prorokuje, mówi do ludzi, niosąc im słowa pokrzepienia, zachęty i otuchy (...). Kto prorokuje, wzmacnia wiarę ca-



łego Kościoła. Chciałbym, abyście wszyscy mówili językami, ale jeszcze bardziej pragnąłbym, abyście prorokowali. Ten, kto prorokuje, spełnia bowiem ważniejszą rolę od tego, kto mówi w nieznanym języku”.

Tak więc od czasu do czasu w Kościele pojawiają się takie postacie jak ubogi Franciszek z Asyżu, św. Katarzyna ze Sieny, dobry papież św. Jan XXIII, ks. Jan Zieja i inni, którzy mocą otrzymanego charyzmatu przy-

wracają obliczu Kościoła (instytucji) Chrystusowe rysy. Ich wyjątkowość i prorocką misję często rozpoznają dopiero przyszłe pokolenia. Nie wszyscy współcześni ich akceptują, a często nawet ludzie Kościoła się ich boją, nie dopuszczając myśli, że może przez nich działać Pan Bóg.

Orędzia postbiblijnych proroków, podobnie jak tych ze Starego Testamentu, są jasne i konkretne. Jak tamci, zabierają głos w aktualnych sprawach i ukazują je w prorockiej perspektywie. Jak prorocy biblijni, tak i oni budzą oburzenie swoją niepoprawnością polityczną, którą zwykło się określać jako brak politycznej roztropności.

Za życia są utrapieniem stróżów ładu i spokoju. Po śmierci, wynoszeni na ołtarze, odcieleśnieni przez pobożne biografie, są jakby mniej niebezpieczni, ale – o dziwo – ich głos, choć latami polewany święconą mową i tłumiony, po czasie wydobywa się na powierzchnię jak płomień i trafia do ludzi.

Biblia ostrzega przed fałszywymi prorokami. O prawdziwych świadczy integralność ich życia, bezinteresowność i odwaga oraz miłość, z jaką głoszą rzeczy nawet nieprzyjemne. Oraz pokora. Prorok bowiem siłą rzeczy wystawia się na pośmiewisko. Bo wyśmianie proroka jest bronią tych, którzy nie mają nic na swoją obronę.

Lekceważenie proroków zawsze kończyło się źle. Wniosek? Lepiej proroków nie lekceważyć. © P

ZAPRASZAMY NA SPOTKANIA Z KS. ADAMEM BONIECKIM

TYCHY, czwartek, 25 stycznia, godz. 18, Miejska Biblioteka Publiczna w Tychach (budynek Mediateki), al. Piłsudskiego 16.

KATOWICE, czwartek, 8 lutego, godz. 17, Miejska Biblioteka Publiczna w Katowicach, ul. Wajdy 21 (Osiedle Bogucice).

Podczas spotkań będzie można kupić książki ks. Adama Bonieckiego.

MSZE ŚW. I SPOWIEDŹ:

Msze św. – kościół zgromadzenia marianów na Stegnach (ul. Bonifacego 9, Warszawa), soboty godz. 18, niedziele godz. 8.30.

Spowiedź – bazylika św. Floriana (ul. Warszawska 1b, Kraków), wtorki godz. 18-19.

Kontakt ws. organizacji spotkań z ks. Adamem: kuczminska@tygodnik.com.pl

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Wszyscy jesteście Narodowym Funduszem Zdrowia

MAREK RABJ

6-9 Wiadomości / Komentarze**15 Tygodnik Czytelników****16 Czytania / Widzenia**ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

18 Rewolucja nakłada puderANDRZEJ STANKIEWICZ: *Kaczyński idzie po wyborców środka***22 PiS w Brukseli, czyli walka z cieniem**

DARIUSZ ROSIAK

25 Stłuczka wagi państwowej

RAFAŁ ZYCHAŁ

■ ■ WIARA

28 Zrobiłem, co należałoBP RAFAŁ MARKOWSKI: *Wydawało mi się, że „przepraszam” nie powinno nikogo boleć w Jedwabnem***31 Jazda z zaciągniętym hamulcem**JÓZEF MAJEWSKI, MACIEJ MÜLLER: *Raport o stanie ekumenizmu***34 Zagrożona adopcja**KATARZYNA PIOTROWIAK: *Katolickie ośrodki adopcyjne walczą o byt***36 Franciszek o prawach człowieka**

EDWARD AUGUSTYN

■ ■ ŚWIAT

38 Człowiek za tysiąc dwieścieMARCIN ŻYŁA: *W Libii coraz prężniej rozwija się rynek handlu niewolnikami***42 Polowanie na słońce**AGATA KASPROLEWICZ: *Chiny zamknęły legalny rynek kości słoniowej***44 Waniliowa oligarchia za Tatrami**DARIUSZ KAŁAN: *o słowackiej „grupie trzymającej władzę”*

TOMASZ KUDALA / REPORTER

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■ ■

10 Oskarżam

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP

Oto na naszych oczach umiera w Polsce chrześcijaństwo. I nie jest to wynik propagandy libertynskiej, zabiegów kół masonskich czy międzynarodowych spisków. Chrześcijaństwo wykorzeniamy my sami, duchowni i najgorliwsi członkowie Kościoła, własnymi rękami i na własne życzenie. Biskupi milczą, niestety.

Wielu duchownych uważa krzyczących „Biała siła! Biała rasa!” za patriotów. Jakby nacjonalizm, antysemityzm i wrogość do obcych nie były śmiertelnymi chorobami.

■ ■ FELIETONY ■ ■

27 ANNA DZIEWIT-MELLER

37 SZYMON HOŁOWNIA

55 ANDRZEJ STASIUK

69 PAWEŁ BRAVO

74 STANISŁAW MANCEWICZ

74 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: O. LUDWIK WIŚNIEWSKI

Fotografia: GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

46 Kim Dzong Un w czasach postprawdy

ROMAN HUSARSKI

■ ■ HISTORIA

48 Zaczęło się pod KrutamiTADEUSZ A. OLSZAŃSKI: *Wiek temu Ukraińcy podjęli próbę zbudowania własnego państwa*

■ ■ NAUKA

52 Darwin na tropach zbrodniKASPER KALINOWSKI: *Ewolucja ukształtowała w nas skłonności do agresji wobec bliźnich*

■ ■ KULTURA

56 Scena jest naszaANNA GOC: *Napięcie w Narodowym Starym Teatrze***60 Opowieść o krwi**PIOTR KOSIEWSKI: *o wystawie „Krew. Łączy i dzieli” w POLIN***62 Stomma i „stommizm”**WOLFGANG PAILER: *o „Pismach wybranych”***63 Metamorfozy**KAJETAN PROCHYRA: *o płycie „Metamorphoses” skrzypka Mateusza Smoczyńskiego***64 Przygwożdżenie wiewiórem**AGNIESZKA BĄBEL: *„Prus. Śledztwo biograficzne” to książka kuriozalna***66 Zarządzanie kryzysowe**ANITA PIOTROWSKA: *o filmie „Atak paniki” Pawła Maślony***67 Warto zobaczyć w TV****68 Nasz wiek**LEKTOR: *o „Utworach rozproszonych (Rekoniesansie z)” Herberta*

■ ■ ZMYŚŁY

70 Nie ma czystych kuchni

ROZMOWA Z FABIO PARASECOLIM, PROFESOREM FOOD STUDIES

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabj, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Janowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Feliety: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski,
Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał

P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuf,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński,
abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ® mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



XXVI Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w Częstochowie, 14 stycznia 2018 r.

Wszyscy jesteśmy Narodowym Funduszem Zdrowia

MAREK RABIJ

DLA WIELU RODZIN W POLSCE TO JUŻ RYTUAŁ: niedzielny spacer w nieśpiesznym oczekiwaniu pierwszego patrolu z kolorowymi skarbonkami. Dzieci z nabożeństwem wrzucają do nich drobniaki, za którymi dorośli posyłają często banknot o większym nominale. Motywacja? Nadal nie brak w Polsce takich, którzy widzą w uczestnictwie w finale Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy jedynie udział w dorocznym spektaklu charytatywnego konsumpcjonizmu na pokaz i nie chcą nawet przyznać, że demon, którego rzekomo widzą – cytując Goethego – „wiecznie zła pragnąc, wiecznie dobro czyni”. I to dobro w niepodważalnej, materialnej postaci.

W ubiegłym roku Polacy dali WOŚP ponad 105 mln zł. W tym znów padnie pewnie rekord, bo licznik pod koniec niedzielnego finału pokazywał niemal 20 mln zł więcej niż rok wcześniej. Orkiestra – co

widać po wynikach – udowodniła, że jest sprawnym narzędziem transfuzji gotówki do finansowego krwioobiegu polskiej opieki zdrowotnej, który od lat cierpi na anemię. W państwach rozwiniętych na opiekę zdrowotną wydaje się – jak podaje OECD – średnio 8,9 proc. PKB. W Polsce – około 6,5 proc. Jeszcze głębsze dysproporcje widać w strukturze finansowania: w Polsce udział własny pacjentów (bez składek na NFZ) sięga 24 proc., podczas gdy w krajach OECD średnio nie przekracza 19 proc. Mówiąc wprost – jak nie zapłacisz, to się nie wyleczysz. W krajach rozwiniętych na każdy tysiąc mieszkańców przypadają np. statystycznie 52 badania rezonansem magnetycznym i 120 tomografem. Polska, z 23 rezonanсами i 55 badaniami tomograficznymi na tysiąc mieszkańców, znowu plasuje się daleko poniżej średniej (dane z 2015 r.).

Polski system opieki zdrowotnej od lat nie potrafi wyjść z zapaści pomimo (a może

z powodu) kuglarskich sztuczek kolejnych rządów, które mieszają w nim, jak mogą, udając, że od samego mieszania przybywa pieniędzy. Nic więc dziwnego, że Polacy dokładają do niego z własnych kieszeni, i nie dziwi też, że wołają przy tym nie korzystać z pośrednika wątpliwej reputacji, jakim jest budżet. To dlatego, a nie na złość prawicy, WOŚP rok po roku bije rekordy, wyposażając szpitale i przychodnie, w co trzeba. Kolejne internetowe zbiórki na kosztowne zabiegi nier refundowane przez NFZ błyskawicznie kończą się uskładaniem niezbędnej kwoty. Polskie serwisy crowdfundingowe wręcz szczytują się tym, że łatwiej zebrać w nich na przeszczep niż na start-up.

Kilka miesięcy temu miałem okazję uczestniczyć w e-kwiecie na operację ostatniej szansy dla córki znajomego. Cel – milion złotych – osiągnięto w dwa dni. Od tej pory jestem przekonany, że społeczeństwo obywatelskie w Polsce powstanie na gruzach NFZ.

©P

W SKRÓCIE

ZERO TOLERANCJI. Szef MSWiA Joachim Brudziński zapowiedział zero tolerancji dla ksenofobii, komentując zatrzymanie we Wrocławiu dwóch mężczyzn podejrzewanych o znieważenie na tle narodowościowym goszczących w mieście Syryjczyków. Tydzień wcześniej o niezgodzie rządu na rasistowskie incydenty pisał premier Morawiecki.

WIELKI SKANDAL. Wywiad Donalda Tuska dla „TP” jest jednym wielkim skandalem; to powtarzanie zaklęć, które mają uniemożliwić Polsce skuteczną politykę w Europie – ocenił szef gabinetu prezydenta Krzysztof Szczerski w rozmowie z radiem RMF. Przypomnijmy, iż Tusk deklarował m.in., że szefując Radzie Europejskiej, działa tak samo na rzecz polskich interesów, jak działał, kiedy jego miejsce pracy było w Warszawie.

ŻADNYCH MARZEŃ. „Nie sądzę, aby nastąpiła istotna zmiana w polityce Ministerstwa Środowiska, gdyż jest ona po prostu niemożliwa” – powiedział „Naszemu Dziennikowi” były szef resortu Jan Szyszko.

POSEŁ MAMA. „Dopóki karmię córkę, będę przychodziła z nią do pracy. Będę karmiła piersią w miejscach publicznych. I będę łączyła obowiązki mamy z poselskimi. Mam do tego pełne prawo. I tak – pobieram 500+” – napisała na Twitterze posłanka Nowoczesnej Kornelia Wróblewska, wcześniej zamieszczając zdjęcie, na którym widać, jak karmi dziecko w ławach sejmowych.

LICZBA TYGODNIA
(a właściwie ośmiu dni)

49 000

To lipcowy rachunek za telefon Hanny Gronkiewicz-Waltz, która przebywała wówczas z ośmiomiesięczną córką w USA (liczony w złotych polskich). Rzecznik pani prezydent Warszawy wyjaśnia, że w czasie podróży za ocean Gronkiewicz-Waltz dzwoniła, wysyłała SMS-y i korzystała z internetu w celach związanych z zarządzaniem miastem.

Opozycja na dnie



PAWEŁ BRAVO

DWIE GŁÓWNE PARTIE OPOZYCYJNE NARAŻYŁY siebie i sporą część wyborców na konfuzję przy okazji głosowania nad obywatelskim projektem ustawy liberalizującej ustawę aborcyjną. Troje posłów PO, pomimo dyscypliny klubowej, zagłosowało za odrzuceniem projektu, a 39 z PO i Nowoczesnej nie wzięło udziału w głosowaniu, choć wielu z nich było wówczas na Wiejskiej. Kiedy się okazało, że z ich powodu projekt przepadł, reakcje władz partyjnych były niespójne, w przypadku Nowoczesnej wręcz śmieszne – tłumaczono sprawę niezorientowaniem posłów.

Abstrahując od meritum sprawy można powiedzieć, że to zły moment dla polskiej demokracji, bo okazało się, że główni rozgrywający opozycji nie umieją szacować własnych sił i łatwo ulegają presji medialnej, która za-

wsze jest bardziej wyrazista niż średnia przekonań opinii publicznej. Decyzja władz Platformy, by odrzucić tzw. kompromis aborcyjny, nie wydaje się przemyślanym strategicznym zwrotem partii w lewo, wynika raczej z poszukiwania pola, na którym można się odróżnić od PiS. Błąd kalkulacji sprawił, że część posłów wołała wykonać unik, co jest świadectwem słabości i na pewno dezintegruje partię gorzej niż jasno artykułowany wewnętrzny spór.

Wskutek takich lekkomyślnych decyzji będziemy mieli zapewne powrót wojny kulturowej, która przykryje inne ważne aspekty konfliktu politycznego. A do tego opozycję – która im bardziej osłabiona, tym bardziej będzie się dawała zagonić do kąta radykałom i nie będzie w stanie bronić tak ważnej wartości demokracji, jaką jest uzgadnianie stanowisk pomiędzy skrajnościami. ©P

19 minut na resocjalizację

MŁODZIEŻOWE OŚRODKI WYCHOWAWCZE, które mają „przystosowywać podopiecznych do prawidłowego funkcjonowania w społeczeństwie”, same wymagają zmian. To, jak funkcjonują, nie zapewnia skutecznej resocjalizacji – wynika z raportu Najwyższej Izby Kontroli.

W Polsce działa 96 MOW (stan z czerwca 2017 r.), do których sądy kierują tzw. trudną młodzież. Nieletni potrzebują terapii różnego rodzaju, a trafiają do tych samych ośrodków. Brakuje miejsc wyspecjalizowanych w rozwiązywaniu problemów uzależnień, agresji, a także przystosowanych dla dziewcząt w ciąży i matek z dziećmi. W skontrolowanych MOW pedagodzy i psycholodzy mogli poświęcić nie więcej niż godzinę tygodniowo każdemu z podopiecznych. W skrajnych przypadkach było to 19 minut.

Jednym z wielu problemów w ośrodkach jest podejście do pracy wychowanków. NIK podkreśla, że nie powinna być ona karą, a dobrze rozumiana może pozytywnie wpływać na resocjalizację. Natomiast w części MOW nie tylko wykreślono pracę z katalogu kar (co postulował Rzecznik Praw Obywatelskich), ale... zrezygnowano z niej całkowicie. Większość MOW (12 z 14 skontrolowanych) nie prowadzi monitoringu losów byłych wychowanków, a dane mówiące o tym, co się dzieje z nimi po opuszczeniu ośrodka, nie są optymistyczne. Az 60 proc. wychowanków, którzy opuścili ośrodki w 2012 r., w ciągu następnych pięciu lat samodzielnego życia weszło w konflikt z prawem – to o 22 proc. więcej niż w przypadku osób, które opuściły w tym czasie zakłady karne i areszty śledcze. ©P

EWELINA BURDA

Deszcz pada, pan (pani) płaci

WŚRÓD ZMIAN legislacyjnych, które spadły rzeszście na kraj z początkiem nowego roku, jest również nowy podatek od deszczu. Teoretycznie zapłacą go jedynie właściciele budyn-

ków o powierzchni ponad 3,5 tys. m kw. oraz ci, którzy zabudowali swoją działkę w co najmniej 70 proc., a w dodatku w okolicy brakuje kanalizacji. W praktyce pewne jest, że nowa danina uderzy po kieszeni wszystkich (eksperti podatkowi szacują, że każdy Polak zapłaci ekstra

15–20 zł rocznie), bo koszt opodatkowania wielkie sklepy, spółdzielnie mieszkaniowe i inni płatnicy przerzucą po prostu na swoich klientów. W tej ulewie mało przyjemnych informacji warto jednak zauważyć, że ustawodawca zwolnił z nowego podatku Kościoły i związki wyznaniowe. ©P MR



Syria: Asad idzie na całość

NOWE WALKI – i nowy exodus ludności cywilnej: od końca grudnia w północno-zachodniej Syrii trwa ofensywa wojsk rządowych wspieranych przez rosyjskie lotnictwo i siły irańskie (na zdjęciu: dziecko ranne w nalocie). Celem jest Idlib: ostatni większy obszar, który jest pod kontrolą sunnickiej opozycji antyasadowskiej. W tej prowincji przebywa 2,5 mln ludzi (połowa to uchodźcy z innych regionów). Atakujący zajęli już ponad setkę wsi na południu Idlib. „Asad idzie na całość” – ocenia komentator szwajcarskiego „NZZ”, twierdząc, że syryjski dyktator tworzy fakty dokonane przed planowaną na koniec stycznia konferencją pokojową. Zapowiedziana szumnie jako „Kongres Narodów Syrii”, ma się odbyć w Soczi pod egidą Rosji oraz z poparciem Iranu i Turcji. Ofensywa ruszyła, choć niedawno Rosja, Iran i Turcja ustaliły, że Idlib to „strefa deeskalacji”. Dlatego Ankara wzywa Asada, Rosję i Iran do wstrzymania walk. Jednak Asad wykorzystuje zręczność fakt, iż rozejm nie dotyczy radykalnych organizacji islamskich. Tymczasem opozycję w Idlib tworzą różne siły: zarówno umiarkowane (wspierane przez Turcję), jak też islamistyczne – zwłaszcza Hayat Tahrir al-Sham, następczyni Frontu Nusra. Po siedmiu latach wojny Asad – wspierany przez Rosję, Iran i libański Hezbollah – opanował już

na nowo prawie dwie trzecie Syrii. Jej północno-wschodnią część (jedną trzecią kraju) kontrolują siły syryjskich Kurdów (między Kurdami i Asadem trwa faktyczny rozejm). Bojownicy tzw. Państwa Islamskiego zostali już niemal pokonani. Natomiast sunnicka opozycja – na początku wojny głównie umiarkowana, z czasem coraz bardziej radykalnie islamska – utrzymuje już tylko enklawy na południu (wschodnia Ghuta) i Idlib. Kraje zachodnie są dziś zepchnięte do roli obserwatorów. Obserwatorzy wątpią, czy konferencja w Soczi przyniesie polityczne efekty. Nie tylko za sprawą ofensywy Asada – punktem spornym jest też udział w niej syryjskich Kurdów, czemu sprzeciwia się Turcja. Napięcie między Ankarą i Moskwą zwiększyło się też ostatnio po tajemniczych atakach dronów z materiałem wybuchowym na rosyjską bazę Humajmim. Rosjanie stracili kilkunastu rannych i zabitych, a siedem samolotów zostało uszkodzonych. Twierdzą, że drony przybyły z Idlib, i wzywają turecką armię oraz wywiad, by zapobiegły takim atakom. Organizacje humanitarne podają, że ostatnia ofensywa sprawiła, iż 100 tys. Syryjczyków z Idlib porzuciło domy i ruszyło na północ w stronę tureckiej granicy. ONZ twierdzi, że większość mieszkańców prowincji jest w stanie przeżyć tylko dzięki pomocy humanitarnej. ©

WP / NZZ, FAZ, SWP

Dwie Koree na igrzyskach



ROMAN HUSARSKI

PO RAZ PIERWSZY OD PRAWIE DWÓCH LAT PRZEDSTAWICIELE obu Korei spotkali się na rozmowy. Zbliżająca się zimowa olimpiada w Pjongczang, w Korei Południowej, okazała się dobrym pretekstem, by ostudzić napięte relacje. Korea Północna, od której wyszła oferta spotkania, wobec coraz ostrzejszych sankcji i ciężkiej zimy postanowiła zmienić strategię. Po pierwszym spotkaniu zapowiedziano wznowienie rozmów o siłach zbrojnych, wymianie kulturowej i udziale Północy w olimpiadzie. Możliwe, że w Pjongczang koreańscy zawodnicy wystąpią w niektórych dyscyplinach jako jedna drużyna. Rozmowy będą kontynuowane.

W Korei Południowej, zmęczonej wojenną atmosferą, „odwilż” przyjęto entuzjastycznie. Jej prezydent Moon Jae-in wygrał wybory, głosząc hasła prozjednoczeniowe i wielu koreańskich publicystów zarzucało mu, że nie wywiązuje się z obietnic. Ale najgłośniejszym komentatorem wydarzeń na Półwyspie jest Donald Trump: najpierw chełpił się, że do rozmów doszło dzięki niemu, a potem, że „prawdopodobnie ma bardzo dobre relacje z Kim Dzong Unem” – choć wcześniej mu ubliżał, nazywając „Małym Panem Rakietą”. Dobrych związków między oboma liderami nie potwierdził Ri Son-gwon, kierujący delegacją Północy w rozmowach dwustronnych – za to podkreślał, że cały jej arsenał nie jest wymierzony w braci z Południa, lecz we wspólnego wroga, USA. Niektórzy eksperci twierdzą, że głównym celem Północy jest właśnie osłabienie sojuszu Południa z USA, jej głównym protektorem. ©

Największa akcja antymafijna od 23 lat

W OPERACJI „Stige” w sieć podsłuchów i zeznań skruszonych mafiosów złapano, w jedną noc 9 stycznia, 169 osób – w tym kilka grubych ryb, lu pisci grossu, jak mówią Kalabryjczycy. M.in. prezydenta prowincji Catanzaro i kilku burmistrzów okolicznych miast.

’NDRÀNGHETA, mafia kalabryjska, to najgroźniejsza organizacja przestępcza Włoch. Nie zadowala się już haraczem, handlem ludźmi czy narkotykami. Przejmuje wszystko: od gospodarki leśnej przez transport, budownictwo, żywność po ośrodki dla uchodźców. I wpływa na szerokie wody: członkowie „rodzin” budują swą pozycję w polityce i biznesie nie tylko w Kalabrii, ale także na północy Włoch i za granicą.

AKCJA włoskich służb to oczywiście paliwo w kampanii przed marcowymi wyborami. Koalicja rządowa próbuje dzięki niej uciec spod topora. Opozycja demaskuje związki zatrzymanych z obozem władzy, i krzyczy, że ryba psuje się od głowy. Ale Włosi i tak wiedzą, że w miejsce jednej uciętej odrosną dwie nowe. ©

EDWARD AUGUSTYN

Modlitewna absencja



ARTUR SPORNIAK

WYDAJE SIĘ OCZYWISTE, ŻE W OBCHODZONY W Kościele w drugą niedzielę po uroczystości Objawienia Pańskiego Światowy Dzień Migranta i Uchodźcy księży będą odprawiać msze według specjalnego formularza za uchodźców z mszału. Ukazywałoby to w wyrazisty sposób, że troska o uchodźców stoi w centrum modlitewnego życia Kościoła. Takie świadectwo jest ważne zwłaszcza w Polsce, gdzie coraz więcej katolików ulega podsycanemu przez polityków lękowi przed uchodźcami.

Na tę oczywistość nie zwróciła uwagi żadna z katedr liturgiki, tylko osoba świecka – Janina Ochojska. Zaapelowała, by księży użyli wspomnianego formularza, a wcześniej dali znać, że będą to robić. Czy pomysł chwycił?

Na znajdującej się na stronie akcji mszazauchodzców.pl mapie z zaznaczonymi kościołami, w których odprawiana była wspomniana msza, widać jedynie kilka skupisk punktów: Warszawa, Gniezno, Poznań, Łódź (to diecezje, w których biskupi bezpośrednio zaangażowali się w akcję). Olbrzymie połacie Polski to modlitewna „pustynia”.

Zamiast jednak ubolewać, proponuję pomyśleć już o przyszłym roku. Czy działająca w ramach Episkopatu Komisja ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów nie mogłaby pomyśleć, jak użycie formularza za uchodźców uczynić w Światowy Dzień Migranta i Uchodźcy powszechną praktyką? ©P



MAIA HITTI / GETTY IMAGES

BYŁ TAK DUŻY, że parafianie mówili na niego „katedra”. Ale w minionym tygodniu – w ślad za całą wsią Immerath w Nadrenii Północnej-Westfalii – rozpoczęła się jego rozbiórka. Za kilka lat na miejscu tego neoromańskiego kościoła św. Lamberta (który zdekonsekwrowano w 2013 r.) ma powstać kopalnia odkrywkowa węgla brunatnego. ©P

Papież w Ameryce Południowej

TEN TYDZIEŃ (15–22 stycznia) Franciszek spędza w Chile i Peru, podejmując 22. już podróż zagraniczną. I nic nie wróży, by miała to być łatwa wizyta.

Papież odwiedza Temuco, czyli serce regionu Araucania zamieszkanego przez Indian Mapuche, domagających się od Chile i od Kościoła katolickiego ochrony swoich praw, języka, ich ziemi oraz zadośćuczynienia za krzywdy. Odwiedza też Iquique, miasto portowe, które przyciąga migrantów z całego kontynentu, dziś głównie Wenezuelczyków uciekających przed humanitarnym i politycznym kryzysem w swoim kraju.

Dwukrotnie nadarzy się papieżowi okazja, by mówić o stanie środowiska naturalnego: w Puerto Maldonado w peruwiańskim

regionie Madre de Dios, gdzie tylko w zeszłym roku wycięto 200 km kwadratowych Puszczy Amazońskiej pod budowę dróg, uprawę oraz nielegalne kopalnie złota, które dewastują środowisko, oraz w mieście Trujillo, które w marcu 2017 r. doświadczyło tragicznej lawiny błotnej. Nie da się podczas tej wizyty uniknąć tematu molestowania seksualnego przez księży (Chile) i świeckich (Peru). Chilijscy aktywiści zapowiadają protesty podczas całej wizyty, bo w 2015 r. papież Franciszek mianował biskupem Juana Barrosa oskarżanego o tuszowanie w swojej poprzedniej diecezji sprawy księdza-pedofila Fernanda Karadimy. Do tego korupcja, nierówności, ubóstwo, handel ludźmi, dziedzictwo teologii wyzwolenia – przed papieżem Franciszkiem w tym tygodniu wiele trudnych tematów. ©P

ZUZANNA RADZIK

Ojciec i doktor

CZY ŚW. IRENEUSZ Z LYONU zostanie Doktorem Kościoła? Chce tego papież – ogłosił abp Lyonu kard. Philippe Barbarin. Tytuł Doktora Kościoła przysługuje mistrzom opowiadania Ewangelii nowym językiem. Ireneusz urodził się ok. 140 r. w Smyrnie. Był uczniem Polikarpa, ucznia św. Jana. Nie wiadomo, kiedy przeniósł się do Europy; poznajemy go jako wystannika

wspólnoty w Lyonie do papieża. Poselstwo być może uratowało mu życie: w 177 r. podczas prześladowań zginęło wielu chrześcijan z biskupem Potynem na czele. Ireneusz zajął jego miejsce. Zastąpił ze zwalczania herezji gnostycznej. Gnostycy głosili, że biskupi nie są powiernikami wiedzy przekazanej przez Jezusa; dostęp do niej mają tylko oni, wtajemniczeni. Negowali jedyność Boga, materię uważali za skażoną. Ireneusz w dziele „Adversus



GERALD GAMBIE / WIKIPEDIA.ORG

haereses”, w stylu ostrym, ale szanującym przeciwników – których chciał nawrócić – rozprawił się z tym dualizmem.

Biskup Lyonu to jeden z Ojców Kościoła, twórców teologii; jego drugie zachowane dzieło to pierwowzór katechizmu. Swoje nauczanie oparł na idei jedności Boga (jako stwórcy i odkupiciela), jedności objawienia Starego i Nowego Testamentu, jedności wiary i Kościoła, jedności w Chrystusie bóstwa i człowieczeństwa. Jezus – nauczał Ireneusz – doprowadził do końca to, co zaprzepaścił Adam. ©P

MACIEJ MÜLLER

Bonobo woła tyranów

U LUDZI JUŻ TRZYMIESIĘCZNE NIEMOWLĘTA wykazują prospołeczne preferencje. Gdy wyświetla się im animację, na której schematyczna postać A (np. kolorowy kwadrat z ustami i oczami) próbuje dostać się na górkę, a po chwili postać B jej w tym pomaga, zaś postać C przeszkadza, to dzieci zdziwiają się, gdy po wszystkim A podeszłoby do C (postaci przeszkadzającej), a nie B (pomagającej). W kilku eksperymentach wykazało to zespół Paula Blooma i Karen Wynn.

Prymatolodzy Brian Hare i Christopher Krupenye przeprowadzili ostatnio analogiczne, kilkietapowe badanie z udziałem szympanсів bonobo i uzyskali odwrotne wyniki: małpy te, mimo że słyną z iście hippisowskiej natury, preferowały przeszkadzające postaci (także ludzi, którzy odgrywali odpowiednio scenki). Według badaczy prawdopodobnie dlatego, że istnieją u nich preferencje wobec osobników dominujących, z którymi bratanie się przekłada się na różne korzyści. Nie wiadomo, czy bonobo rodzą się z takimi preferencjami, czy wykształcają się one z wiekiem – ich istnienia nie udowodniono u małych niemowląt. ©P ŁK



P. WEGNER / BEW

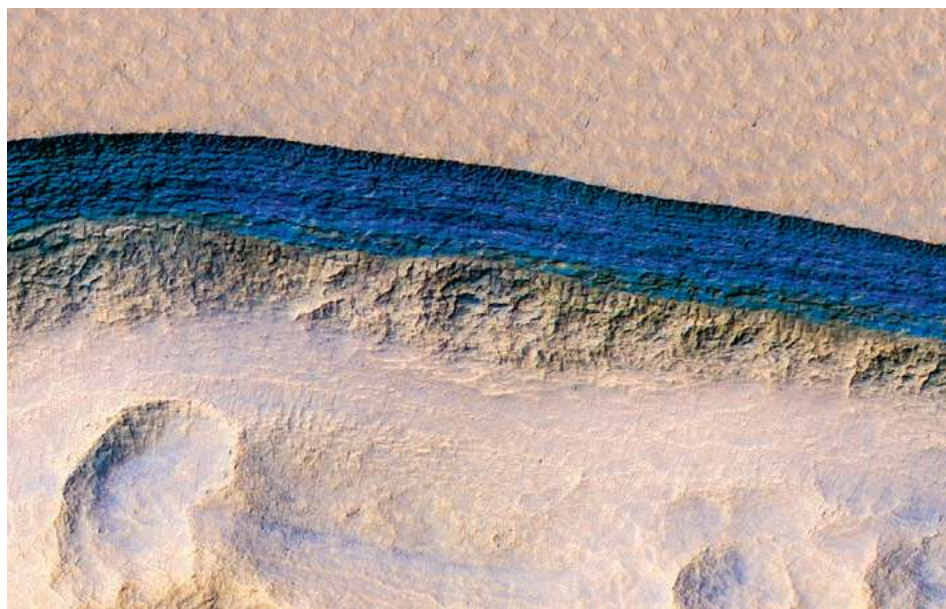
Woda dla marsjańskiej misji

OBSZERNE POKŁADY WODNEGO LODU – grube nawet na sto metrów – odkryto zaledwie 1-2 metry pod powierzchnią Marsa. Badania ogłoszone w „Science” to obiecująca wiadomość dla załogowej misji na Czerwoną Planetę. Dostępna na miejscu woda jest kluczowa nie tylko dla samych astronautów i uprawy roślin dla nich (to nie *science fiction*, lecz przedmiot zaawansowanych badań), ale też jako źródło wodorowego paliwa oraz kryjącej się w warstwach lodu wiedzy o dawnym klimacie naszego sąsiada. Nie od dziś wiadomo, że na Marsie jest sporo lodu wodnego, ale początkowo sądzono, że wymieszany ze skałami i pyłem będzie przypominać beton. Badania ograniczał zasięg

georadarów (kilkadziesiąt metrów) i wiertła łazików (kilkanaście centymetrów). Naukowcy pod kierownictwem geologa planetarnego Colina Dundasa przyrzekli się więc zdjęciom miejsc, gdzie Mars odsłonił się sam: osuwiskom. Ujawniły one grube, zwarte, płytkie i względnie czyste warstwy lodu, który – jak się spekuluje – jest pozostałością obfitych opadów śniegu w przeszłości planety (kolory na zdjęciu nie oddają rzeczywistości, niebieski uwydatnia warstwy lodu).

Im płytsze i czystsze pokłady lodu, tym mniej energochłonna będzie jego eksploracja. Do misji na Marsa zrobiło się o krok bliżej. ©P

MK / SCIENCE / WIRED.COM



NASA / JPL-CALTECH / UA / USGS

W SKRÓCIE

PASZPORTY „POLITYKI”.

Wyróżnienia przyznawane przez redakcję tygodnika otrzymali w tym roku: Jagoda Szelc, autorka filmu „Wieża. Jasny dzień” (film); Michał Borczuch za reżyserię spektakli „Moja walka” oraz „Wszystko o mojej matce” (teatr); artysta i pisarz Norman Leto (sztuki wizualne); sopranistka Joanna Freszel, m.in. autorka płyty „Real Life Song”, zespół Hańba! (muzyka popularna) oraz studio Bloober Team, które wyprodukowało m.in. grę „Observer” z akcją osadzoną w Krakowie roku 2084 (kultura cyfrowa). Nagrodę w kategorii literackiej otrzymał Marcin Wicha za książkę „Rzeczy, których nie wyrzuciłem”, swoistą elegię poświęconą zmarłej matce.

PIENIĄDZE DLA DAMY.

31 mln zł z funduszy europejskich otrzymało Muzeum Narodowe w Krakowie na remont przejętego niedawno Muzeum Książąt Czartoryskich. Dzięki tym środkom, oraz funduszom ze skarbu państwa, na przełomie 2019 i 2020 r. będzie gotowa nowa ekspozycja, w której centrum znajdzie się oczywiście „Dama z gronostajem” Leonarda da Vinci.

„BRAVE” ZNÓW WE

WROCŁAWIU. Po rocznej przerwie miasto postanowiło powrócić do finansowania Brave Festivalu, który jest poświęcony „ginącym i nieznanym kulturom i społecznościom”. Jego tegoroczna, trzynasta już edycja zatytułowana jest „Widoczní, niewidoczní” i rozpocznie się 6 lipca. Jej szefem będzie tradycyjnie twórca teatru Pieśń Kozła – Grzegorz Bral.

„BEKSIŃSKI NIEZNANY”.

Tak zatytułowana jest wystawa w gdańskim Teatrze Szekspirowskim, na której eksponowane są zdjęcia, grafiki komputerowe i fotomontaże artysty. Łącznie można zobaczyć ponad 100 prac, przede wszystkim fotografie wykonane przez Zdzisława Beksińskiego w latach 50. i 60.



OSKARŻAM

W Polsce umiera chrześcijaństwo.
Wykorzeniają je gorliwi
członkowie Kościoła.
Biskupi milczą, niestety.

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI

PRZED KILKOMI MIESIĄCAMI WYŚLAŁEM DO NIEMAL stu polskich biskupów list, w którym starałem się zdefiniować najpilniejsze zadania stojące przed polskim Kościołem (tekst listu opublikował „TP” w nr. 22/2017). Pisałem go w przekonaniu, że to już mój ostatni głos na temat sytuacji w polskim Kościele. W międzyczasie zrozumiałem jednak, że dramat się pogłębia.

Oto na naszych oczach umiera w Polsce chrześcijaństwo. I nie jest to wynik propagandy libertyńskiej, zabiegów kół masonskich czy międzynarodowych spisków. Chrześcijaństwo wykorzenia my sami, duchowni i najgorliwsi członkowie Kościoła, własnymi rękami i na własne życzenie.

Coraz więcej osób przestaje identyfikować się z Kościołem. Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego odnotował ostatnio najwyższy od kilku lat spadek uczęszczających do kościoła. W 2016 r. liczba ta spadła w porównaniu z rokiem 2015 o ponad 3 proc. i wynosi 36,7 proc – najmniej w powojennej historii Polski.

Cóż się takiego stało? Wprowadziliśmy w naszą religijność element, który ją rozsądza: wrogość. Jesteśmy nią nie tylko zarażeni, ale przyzwyczajiliśmy się do niej: stała się do pewnego stopnia wręcz naszym znakiem rozpoznawczym. A gdzie jest wrogość, tam prawo obywatelstwa ma nienawiść – wroga przecież należy zniszczyć. Można więc pluć, drwić i deptać ludzi, można bezpodstawnie oskarżać ich o niegodziwość, a nawet zbrodnie, i równocześnie powoływać się na Ewangelię, stroić się w piórka obrońcy chrześcijańskich wartości i Kościoła, odbywać pielgrzymki na Jasną Górę, składać świątobliwie ręce do modlitwy i ukazywać w mediach rozmodloną twarz.

→

→ Przecież to już nie jest chrześcijaństwo, tylko jego parodia.

Antykatecheza o uchodźcach

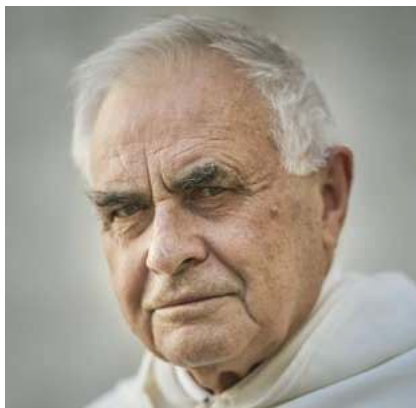
Ilustracją tego, jak bardzo wrogość wsączyła się w nasze myślenie, jest stosunek do uchodźców i migrantów. Jeszcze dziesięć lat temu 70 proc. Polaków było zdania, że skoro nas, gdy sami byliśmy uchodźcami, przyjmowano godnie w innych krajach, to i my winniśmy okazać gościnność uciekającym przed okrucieństwem wojny. Dziś wszystko się odwróciło: 63 proc. Polaków jest przeciw przyjmowaniu uchodźców. Oto namacalny rezultat agresywnej antykatechezę którą uprawiają politycy, wspierani niestety przez wielu duchownych.

Nikt nie mówi, że goszczenie przybyszów, zwłaszcza należących do innej kultury i religii, jest proste. Jednak każdy człowiek skrzywdzony i zraniony, także uchodźca, ma – jak przypomina papież Franciszek – „twarz Chrystusa”. Zwolennicy zamknięcia granic przed obcymi głoszą, że bronią cywilizacji chrześcijańskiej, kultury religijnej, ba – Ewangelii i samego Chrystusa. „Człowiek jest drogą Kościoła” – uczył jednak nasz święty papież. Mamy służyć człowiekowi. Każdemu. To podanie ręki drugiemu, zwłaszcza obcemu, jest najlepszą obroną Chrystusa i Kościoła.

Aż się wierzyć nie chce, jak bardzo wrogość zagościła w głowach polskich katolików. Kilkanaście dni temu jeden z bliskich mi i zasłużonych kapłanów powiedział: „na szczęście nasz rząd nie wpuścił tej dziczy do Polski... To nie są ludzie, ale DZICZ...”.

Rządzący dziś Polską odwołali się do najbardziej mrocznych zakamarków polskiej duszy. Potrafili „ulepić potwora” i przstraszyć prawie dwie trzecie Polaków, dobrze wiedząc, że może to przynieść wyborcze zwycięstwo. Uciekinierzy z Afryki i Bliskiego Wschodu – wbijano ludziom do głowy – to nie ofiary przemocy i ludzie wołający o ratunek, tylko cyniczni muzułmanie, którzy będą niszczyć katolicki naród i gwałcić polskie kobiety.

Owszem, Konferencja Episkopatu za proponowała stworzenie „korytarzy humanitarnych”. Takie korytarze istnieją w innych krajach, nie obciążają budżetu państwa i umożliwiają leczenie pacjentów w stanie krytycznym, którzy nie mogą liczyć na pomoc w Syrii. Ale nasz rząd, złożony z ministrów zasiadających w pierwszych ławach warszawskiej katedry na smoleńskich „miesiącnicach”, odrzucił tę propozycję, twierdząc, jeśli dobrze zrozumiałem, że jest ona zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwa. Większej hipokryzji nie można sobie wyobrazić.



GRAŻYNA MAKARA

Można dziś pluć i deptać ludzi, a równocześnie ukazywać w mediach rozmodloną twarz.

Trzeba z całą mocą zawołać: polska polityka wobec uchodźców jest haniebną. „Na granicy Europy, na oczach cywilizowanego świata, giną bezbronni ludzie”, powiedział kard. Kazimierz Nycz, a my, nie wyciągając do nich ręki, przekreślamy Ewangelię. Bratnie kraje z naszej europejskiej Wspólnoty, np. Grecja i Włochy, borykają się z problemem uchodźców, których przecież nie zaprasza do siebie, a Polska zrywa solidarność z nimi i coraz bardziej się izoluje.

W takiej sytuacji każdy krok ma znaczenie, jak choćby propozycja Janiny Ochojskiej, którą poparli prymas i przewodniczący Episkopatu, by 14 stycznia w Światowy Dzień Migranta i Uchodźcy księża użyli formularza mszy za uchodźców.

Ale wielu wiernych zatroskanych o Kościół pragnie, aby nasi pasterze oświadczyli rządzącym, że uznają prawo demokratycznie wybranych przedstawicieli narodu do prowadzenia polityki wewnętrznej i zewnętrznej, ale równocześnie, jako pasterze Kościoła, zobowiązani są do „wydawania oceny moralnej nawet w kwestiach dotyczących spraw politycznych, kiedy domagają się tego podstawowe prawa osoby lub zbawienie dusz” („*Gaudium et spes*”, 76). Dlatego pasterze polskiego Kościoła z całą odpowiedzialnością oświadczają, że stosunek rządu do uchodźców jest nieewangeliczny i niechrześcijański. W związku z czym proszą, aby władze RP swojej polityki nie uzasadniały troską o dobro religii chrześcijańskiej i Kościoła katolickiego. Biskupi bowiem oceniają, że taka „troska” nie służy Kościołowi, ale go niszczy.

Powszechnie się uważa, że za piekło, które rozpełtało się w Polsce, odpowiada jeden

człowiek. Ja też tak do pewnego czasu myślałem. Ale kiedy w Sejmie padły haniebne słowa o „mordach zdrazieckich” i „kanałach”, a posłowie partii rządzącej zamiast spalić się ze wstydu, nagrodzili te wyzyska owacją na stojąco, zrozumiałem, że to oni – stojący i wiwatujący – tak naprawdę odpowiadają za to, co się dziś dzieje.

Jeszcze nie tak dawno Polska była szanowanym liderem przemian po upadku komunizmu, a teraz stała się „chorym człowiekiem Europy”. Nie widzicie tego, posłowie i senatorowie? Wiele najpoważniejszych autorytetów oskarża was o niszczenie Polski, ja natomiast, z wielkim zażenowaniem, ale z całą stanowczością oskarżam was o niszczenie chrześcijaństwa i dlatego proszę, byście zaniechali głoszenia, że jesteście obrońcami Kościoła.

Radiowa trucizna

Przeciwnicy przyjmowania uchodźców nie odnieśliby tak wielkiego sukcesu, gdyby w życie religijne Polaków od lat nie wsączano wrogości. Wybitni psychologowie twierdzą wszak, że najlepszym, choć godnym potępienia sposobem integrowania grupy jest wymyślenie zewnętrznych wrogów i ciągłe straszenie nimi. Mistrzem świata w tej kategorii jest o. Tadeusz Rydzyk. W jego wystąpieniach stale przewijają się zdania: jesteśmy prześladowani, chcą nas zniszczyć, bo kochamy Polskę i Kościół, bezustannie nas atakują... Nasi krytycy „nienawiść sączą do Polaków, do Polski, do Kościoła, do Radia Maryja” – powiedział ojciec dyrektor.

Czy nie ma w Radiu Maryja, Telewizji Trwam, „Naszym Dzienniku” modlitwy? Jest. Czy nie ma świetnych konferencji i dobrych tekstów? Są. To dlaczego Wiśniewski i jemu podobni je atakują? Bo modlitwa jest przeplatana napaściami na ludzi, a to już nie jest chrześcijaństwo.

Widzenie wszędzie wrogów i agresja są specyficznymi cechami sekt. Prof. Norman Davies (podziwialiśmy jego umiejętność patrzenia na polskie dzieje bez emocji i widzenia w nich tego, czego rodzimi historycy nie dostrzegają) powiedział niedawno: „Polscy wierni łykają w kościołach truciznę”. Zdanie to można odnieść także do mediów ojca dyrektora. Piszący te słowa usiłował przez pewien czas odmawiać różaniec z Radiem Maryja, ale na dłuższą metę się nie dało: natychmiast po modlitewnym „amen” pan Michalkiewicz albo inny „natchniony patriota” zaczynał pluć na politycznych przeciwników, a jego głównym wrogiem była zawsze poprzednia rządowa ekipa, która „Polskę rozgrabiała, upodliła i sprzedała Berlinowi”.

Niedawno odbyła się w Toruniu kolejna wielka radiomaryjna uroczystość. Główny celebans, bp Wiesław Mering, któremu asystowało kilkudziesięciu innych hierarchów, w obecności najbardziej rozmodlonych ministrów i posłów (Macierewicz, Ziobro, Szyszko, Błaszczak, Piotrowicz, Czarnecki) najpierw „kanonizował” ojca dyrektora, a następnie wskazał na wiekopomne zasługi dzieł przez niego stworzonych („Dziękujemy za budzenie miłości do ojczyzny, za trudną sztukę uczenia służby tej ojczyźnie, za przedstawianie prawdziwej jej historii”, a także za to, że „Radio Maryja nieugięcie piętnowało wszystkie kłamstwa związane z tragedią smoleńską i budziło w tym zakresie sumienia Polaków”). Uroczystość uświetniły listy od prezydenta, ówczesnej premier, a przede wszystkim od prezesa PiS. Jarosław Kaczyński, który kilka lat temu mówił, że o Rydzyk służy interesom Rosji, napisał: „Opatrzność postawiła na drodze naszego życia ojca Tadeusza Rydzyka”.

To również trzeba powiedzieć pełnym głosem: Radio Maryja, Telewizja Trwam i „Nasz Dziennik” sączą od lat truciznę, nazywając to ewangelizacją. Ta trucizna jest

tym bardziej jadowita, że jej rozprzestrzenianie popiera wielu biskupów. Tylko nie odwołany abp Józef Życiński miał odwagę publicznie powiedzieć, że te dzieła są dalekie od chrześcijaństwa i wypędzają ludzi z Kościoła. Jestem przekonany, że wielu biskupów podziela stanowisko abp. Życińskiego, ale milczą. Nie milczą natomiast ci biskupi, którzy jeżdżą do Torunia i wychwalają „wielkiego ewangelizatora narodu”, a także ci, którzy ślą do redakcji „Naszego Dziennika” świąteczne życzenia, uwiarygodniające poczynania o. Rydzyka.

Zdecydowałem się na te słowa widząc smutek, ból, a nawet chęć odejścia z Kościoła wielu wspaniałych ludzi, dla których nasza wspólnota przestała być zanurzona w miłości i prawdzie. Gdyby biskupi wiedzieli, jak wielu jest takich i jak trudno im trwać w Kościele... Drodzy Księża Biskupi, to Wy odpowiadacie za polski Kościół i za głoszenie nieskażonej Ewangelii. Jeśli dalej będziecie zachowywać bierność, kościoły opustoszeją. Rzesze wiernych oczekują, że skoro nie da się przywrócić katolickiego charakteru mediom, których twórcą jest o. Rydzyk, to oświadczyć, że media te nie mają prawa uważać się za „ka-

tolickie”. I że toruńskie radio nie może nosić nazwy „Maryja”, skoro zamieszcza programy ubliżające Ewangelii, a tym samym Matce Boskiej. Tak, oskarżam Radio Maryja, Telewizję Trwam i „Nasz Dziennik” o to, że niszczą chrześcijaństwo i Kościół w Polsce.

Comiesięczna profanacja

Skoro zdecydowałem się podnieść alarm w sprawie dechrystianizacji Polski, nie mogę pominąć lekcji dawanej nam od siedmiu lat na Krakowskim Przedmieściu. Chodzi naturalnie o miesięcznice smoleńskie.

Pomijam to, co się dzieje w archikatedrze warszawskiej: cytowałem kiedyś gorszące słowa wypowiedziane tam przez kaznodziejów i wciąż się dziwię, że to spotkanie, na pół religijne, na pół polityczne, jest kontynuowane. Tym razem jednak chcę zwrócić uwagę na rzeczy, które dzieją się po wyjściu z katedry. Wyrusza pochód. Na czele niesie się krzyż. Jest odmawiany różaniec. Na transparentach tymczasem czytamy, że tragedia smoleńska to zaplanowana zbrodnia, że „to był zamach”. Prezentowany jest także wizerunek Tuska z Putinem z podpisem „udało się”.

→

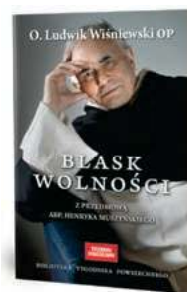
Kołaczcie, a otworzą wam

„**SPRZECIWIAM SIĘ** wtapianiu Eucharystii, krzyża, religii w akcje ściśle polityczne. Sprzeciwiam się manipulowaniu żarliwą religijnością” – napisał o. Ludwik Wiśniewski w artykule „Gdzie my jesteśmy?”, opublikowanym na łamach „TP” przed pięcioma laty, a poświęconym pamięci abp. Józefa Życińskiego. Czytając go z perspektywy czasu, zwłaszcza w zestawieniu z tekstem bieżącym, można odnieść wrażenie, że... nic się nie zmieniło. „Od wielu miesięcy trwa w polskim Kościele swoisty »festiwal« pod hasłem »szukaj wroga«. Ten »festiwal«, reżyserowany przez o. Tadeusza Rydzyka i przeradzający się chwilami w żalosny kabaret, objął swoim zasięgiem tysiące, a nawet miliony ludzi: zawojował pocztę, rozsiadł się w kruchtach kościołów, wypłynął na ulice, porwał w swój wir wielu biskupów” – pisał w lutym 2013 r. legendarny duszpasterz akademicki z czasów

PRL, wspierający w latach 70. i 80. powstawanie demokratycznej opozycji w Polsce (związany wówczas z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela; jego wychowankowie tworzyli też Ruch Młodej Polski), później pracujący m.in. na parafii w Petersburgu, a od 2005 r. w Lublinie. Tekst, będący analizą „duszpasterstwa” uprawianego przez media ojca Rydzyka („Jestem słuchaczem Radia Maryja i czytelnikiem »Naszego Dziennika«”. Daje mi to podstawę do twierdzenia, że o. Rydzyk często rozmija się z prawdą, posługuje się półprawdami, a nawet rzuca oszczerstwa i łży” – pisał o. Ludwik) i zakończony pytaniami do polskich biskupów – przywołanych po nazwisku, wraz z cytatami z ich homilii czy artykułów – wywołał burzę w innych mediach, a autorowi przyniósł m.in. nagrodę Grand Press w kategorii publicystyka (jest o. Ludwik także kawalerem Orderu Odrodzenia Polski – Krzyżem Komandorskim odznaczył go Lech Kaczyński, a Wielkim – Bronisław Komorowski;

„TP” przyznał mu Medal św. Jerzego). W kolejnych latach zaś lubelski dominikanin publikował na łamach „TP” następne zasadnicze artykuły, m.in. w ramach rekolekcji adwentowych 2014 r. czy przed przyjazdem do Polski papieża Franciszka. „Jestem już starym księdzem i mam świadomość, że czasu zostało mi niewiele, więc skoro mam coś powiedzieć, to teraz” – uzasadniał publikację jednego z nich 81-letni dziś autor. Sprawy – jak pisze – wymagające szczególnej duszpasterskiej troski biskupów (to temat kolejnego artykułu, a właściwie listu o. Wiśniewskiego do biskupów, z maja 2017 r.) rzeczywiście pozostają te same: stosunki państwo–Kościół, postawa wobec uchodźców, nacjonalizm na kościelnych sztafardach, „religia smoleńska” i „miesięcznice” na Krakowskim Przedmieściu, „antykatecheza” mediów o. Rydzyka i ukryty w polskim Kościele nurt oporu wobec nauczania obecnego papieża, wreszcie agresywny język polityków i fałszowanie przez nich prawdy historycznej. Powtarzał-

ność tematów nie powinna przecież powodować zubożnienia i skłaniać do bierności. „Kołaczcie, a otworzą wam” – czytamy w Ewangelii, o. Ludwik kołacze więc uparcie, nawet jeśli drzwi wydają się zamknięte.

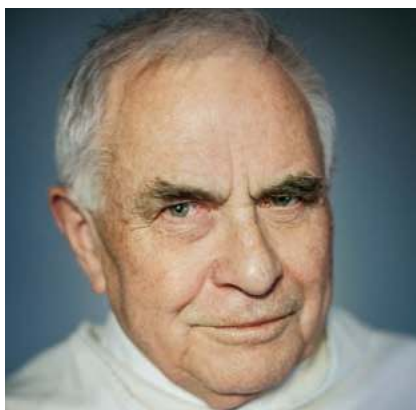


Wszystkie teksty o. Wiśniewskiego dostępne są pod adresem powszech.net/owisniewski. Pod adresem powszech.net/blask-wolnosc można znaleźć jego esej „Blask wolności”. „Człowiek wierzący powinien z powagą zapoznać się z nauczaniem Kościoła, ale jeśli jego sumienie nie jest w stanie zobaczyć w nim dobra, powinien postąpić wbrew niemu” – pisze w nim o. Ludwik. © © MO

→ Po przyjściu pod Pałac Prezydencki i złożeniu kwiatów następuje punkt kulminacyjny: przemówienie prezesa PiS – zawsze piętnujące politycznych przeciwników jako zdrajców, zawsze jęczące i zawsze przesiąknięte nienawiścią: „Naszą pamięć chciano zabić, bo jej się bano. Winny jest rząd Donalda Tuska. Oni robili wszystko, żeby ta pamięć umarła”, „Antoni dokonał cudu ze swoim zespołem” (szósta rocznica), „Nieustannie okłamywano Polaków, nieustannie nas Polaków okłamywano”, „Nie odbył się jeszcze pogrzeb prezydenta i jego małżonki, kiedy zaczęły się ataki (...) uruchomiono pręty pogardy, zaatakowano krzyż (...) podeptano wszystkie elementarne zasady naszej europejskiej kultury. Doszło do prawdziwej eksplozji nienawiści do polskiej tradycji katolickiej (...) To wszystko działo się za zgodą, albo wręcz na polecenie władz”... (piąta rocznica).

Marsz kończy modlitwa, prowadzona była wiele razy przez ks. Stanisława Małkowskiego (obecnie zastąpił go inny duchowny), który stojąc obok prezesa wygłosił kiedyś skierowane do Pałacu Prezydenckiego i mieszkającego w nim wówczas Bronisława Komorowskiego egzorcyzmy. I znowu trzeba wielkim głosem zawołać: to nie jest żadne chrześcijaństwo, tylko jego parodia i profanacja krzyża! Wrogość i nienawiść w religijnym opakowaniu są przecież gorsze niż pogaństwo. Dlaczego tylu ludzi nie rozumie, że to zaraza?

Wielu wierzących oczekuje, że Episkopat w końcu oświadczy, iż miesięcznice nie mają charakteru religijnego i nie może być na nich noszony krzyż; że biskupi wezwą duchownych, aby w tych marszach nie brali udziału. Ja zaś oskarżam Jarosława Kaczyńskiego, organizatorów i uczestników miesięcznic (także tych, którzy w tym wydarzeniu uczestniczą w dobrej



GRAZYNA MAKARA

Wielu duchownych uważa krzyczących „Biała siła! Biała rasa!” za patriotów. Jakby nacjonalizm, antysemityzm i wrogość do obcych nie były **śmiertelnymi chorobami.**

wierze) o to, że niszczą autentyczne chrześcijaństwo i Kościół w Polsce.

Nienawiść na ulicach

Na polskich ulicach i placach, przy różnych okazjach, dają się coraz częściej słyszeć dziwne okrzyki, np.: „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”, „Odsunąć żydostwo od władzy”, „Biała siła! Biała rasa!”, „Czysta krew, trzeźwy umysł”, „Europa będzie biała albo bezludna”, „Sieg heil”. Politycy zdają się patrzeć na grupy wykrzykujące te hasła z przymrużeniem oka, a nawet, jak sądzę, z pewną sympatią. Również wielu duchownych uważa krzyczących za prawdziwych patriotów, na Jasnej Górze

przyjmuje się ich z honorami, jak w ostatnią sobotę. Kiedyś podprzeor klasztoru ogłosił: „jesteście bohaterami XXI wieku”. Jakby nacjonalizm, antysemityzm i wrogość do obcych nie były śmiertelnymi chorobami. Których – jak uczy historia XX wieku – nigdy nie wolno lekceważyć.

Nie jestem przeciwnikiem kontaktu księży z takimi grupami, wręcz przeciwnie – tyle że musi to być kontakt w duchu Ewangelii. Organizatorzy kibicowskich uroczystości na Jasnej Górze mogą nie zdawać sobie sprawy, że uczestnictwa w Eucharystii nie można pogodzić z agresywnym i nienawistnym zachowaniem, ale teologicznie wykształceni ojcowie paulini mają obowiązek ich o tym pouczyć, a nawet zażądać wykluczenia takich zachowań, jeśli chcą zostać przyjęci na Jasnej Górze. Podobnie z Marszem Niepodległości, organizowanym pod hasłem „My chcemy Boga”. Jeśli jakaś grupa, organizacja, związek chcą uchodzić za katolickie, winny się wyrzec wrogości i nienawiści. Dlatego kapłanów, którzy tolerują nacjonalizm i wrogość, a tym bardziej tych, którzy je pochwalają, oskarżam: zachowując się w ten sposób, niszczycie chrześcijaństwo i Kościół, i przyczyniacie się do wzrostu sił zagrażających społecznemu pokojowi.

Aby Polska była czysta

W najczarniejszych snach nie przewidywałem, że będę świadkiem takich wydarzeń. Że rządzący będą przekreślać znaczenie Solidarności i osiągnięć Polski po obaleniu komunizmu, że będą mówić, iż wszystko, co dobre, zaczęło się od nich – to byłoby jeszcze do przełknięcia. Problem w tym, że rządzący Polską uważają, iż po drugiej stronie nie ma konkurentów i przeciwników – są tylko zdrajcy. Dlatego pluje się na nich, wymyśla oszczerstwa. Dlatego się mówi: oni depczą wszystko, co święte, gardzą Polską, są łotrami, służą obcym interesom. Obecnie, po rozprawieniu się z instytucjami stojącymi na straży praworządności i wolności obywatelskiej, słyszymy zapowiedź, że następnym etapem będzie rozprawienie się właśnie ze zdrajcami i wrogami – tak aby Polska była czysta, sprawiedliwa i katolicka. „Aby Polska była Polską”.

Jedyną siłą, która w Polsce dysponuje jeszcze pewnym autorytetem, jest Episkopat. Dlatego ośmielałem się prosić, zresztą w imieniu wielu myślących podobnie: Księża Biskupi, wkroczcie na publiczną arenę. Wybiła godzina, kiedy jesteście bardzo, ale to bardzo potrzebni – Kościołowi, lecz również Polsce.

©

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP

Przepełniona bolesnym smutkiem informuję,
że odeszła

bł. p.

Rachel Knobler

poetka, kompozytorka, malarka

urodzona 10 czerwca 1924 roku w Słomnikach,
zmarła 31 grudnia 2017 roku w Monachium,
i tam została pochowana.

Byłaś dla mnie, Rachel, i pozostaniesz ważną osobą.

BOGUSŁAWA HUBISZ-SIELSKA

K.M. ASAD / AFP / EAST NEWS



Wesprzyj wyjazd reportera „TP” do Bangladeszu

Granica Birmy i Bangladeszu zmieniła się w scenę, na której od miesięcy rozgrywa się dramat Rohindżów – muzułmańskiej mniejszości w Birmie, której władze tego kraju od dekad odmawiają prawa istnienia. Los ok. 600 tys. uchodźców, którzy skryli się w Bangladeszu przed prześladowaniami, „Tygodnik” śledzi od początku kryzysu. Obozy dla uchodźców nadal pękają w szwach. Brakuje w nich żywności, leków, coraz częściej nawet wody. Pod koniec stycznia, na mocy porozumienia między obydwojoma krajami, ma ruszyć akcja relokacji części uciekinierów do Birmy. Ale czy

próba rozwiązania kryzysu w taki sposób nie doprowadzi do jego zaostrzenia? Czy ludzie, którym spalono domy, mają dokąd wrócić? A jeśli tak – to czy władze Birmy im na ten powrót pozwolą?

DLATEGO chcemy być wtedy na miejscu. Uważamy, że to nasz obowiązek. Koszt tego przedsięwzięcia jest jednak tak duży, że musimy prosić Was o wsparcie. Na miejscu właściwie nie ma już organizacji pozarządowych, które mogłyby służyć pomocą. Władze Bangladeszu również chcą za wszelką cenę ukryć los Rohindżów przed opinią publiczną. Szczegóły: powszech.net/bangladesz Liczymy na Was.

Obok: uchodźcy Rohindża przy granicy Bangladeszu, wrzesień 2017 r.

Kluby „Tygodnika Powszechnego” zapraszają

WARSZAWA Spotkanie kawiarenki czytelników: „Pokój! Pokój dalekim i bliskim – XXI Dzień Judaizmu”. W rozmowie udział weźmie Zuzanna Radzik, dziennikarka „Tygodnika Powszechnego”. **Sobota, 20 stycznia, godz. 16.00**, Stacja Muranów (ul. Andersa 13).

ŁÓDŹ Spotkanie z Moniką Sznajderman, autorką książki „Fatszerze pieprzu. Historia

rodzinna”. Prowadzenie Mikołaj Mirowski. **Poniedziałek, 22 stycznia, godz. 19.00**, Dom Literatury (ul. Roosevelta 17). Podczas spotkania będzie można kupić książkę.

NOWY KLUB! SŁUPSK Spotkanie organizacyjne. **Środa, 24 stycznia, godz. 17.00**, Miejska Biblioteka Publiczna (ul. Grodzka 3).

NOWY KLUB! BYDGOSZCZ Spotkanie organizacyjne. **Czwartek, 25 stycznia, godz. 18.00**, Sala Pamięci Bydgoszczan, Biblioteka Uniwersyteku Kazimierza Wielkiego (ul. Szymanowskiego 3).

GRUDZIĄDZ Spotkanie „Klucz do korytarza humanitarnej w Polsce”. **Piątek, 2 lutego, godz. 17.30**, Kontynenty Café Bistro&Bar (ul. Starorynkowa 12/14).

GLIWICE Spotkanie „Czy wolna wola jest wolna?”. Gościem będzie ks. prof. Józef Bremer, rektor Akademii Ignatianum. **Poniedziałek, 5 lutego, godz. 17.30**, Klub Pracowników Politechniki Śląskiej (ul. Banacha 3).

LIPSK Spotkanie „Polska–Niemcy. Dialog kultur”. **Czwartek, 8 lutego, godz. 18.30**, Kirchencafé – Café3KLANG (Nonnenmühlgasse 2).

Konkurs dla Czytelników i Prenumeratorów!

DO ZDOBYCIA 5 KSIĄŻEK „GEN. UKRYTA HISTORIA”

Siddharthy Mukherjee – od Wydawnictwa Czarne

Laureat Nagrody Pulitzera za „Cesarza wszech chorób. Biografię raka” – zadaje pytanie o to, co otrzymaliśmy w spadku od przodków.

Jeśli spojrzymy na ludzi z punktu widzenia genetyki, to okaże się, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednej matki – mitochondrialnej Ewy. Dlaczego więc, będąc tak podobni, tak bardzo się różnimy?

Książka „Gen” to opowieść o narodzinach, rozwoju i perspektywach jednej z najpotężniejszych i najniebezpieczniejszych idei w dziejach nauki.

Książki trafią do 5 pierwszych osób, które nadeślą nam na adres promocja@tygodnik.com.pl dowód opłaty dowolnej prenumeraty „Tygodnika Powszechnego”

– wydania papierowego, prenumeraty elektronicznej lub zakupu w aplikacji. Powodzenia!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Śpiewak: *Legendarny król Salomon*



BIBLIJNA OPowieść UKAZUJE RZĄDY KRÓLA SALOMONA pełne przepychu. W skarbcu nie brakowało kosztowności. Powstać miały wtedy wielkie budowle, w tym te najważniejsze: Świątynia, nowy pałac królewski oraz liczne warowne miasta z olbrzymimi stajniami. Król uważany był za największego na Bliskim Wschodzie pośrednika handlu końmi. Posiadał niezmierzone bogactwa, granice jego państwa sięgały od Eufratu do Egiptu. Zyskał też reputację króla o wyjątkowej mądrości i trafnym poczuciu sprawiedliwości. Odwiedzali go goście z całego ówczesnego świata, by posłuchać jego słów. Przybyła przez Jemen i Arabię z Etiopii królowa Saba. Powstało dobrze zorganizowane, starannie administrowane państwo podzielone na dwanaście okręgów. Sprawnie zbierano podatki, a na dwór królewski trafiało zboże, było rogate, owoce, dziczyzna. Przez dziesiątki lat lud nie znał wojen, każdy miewał bezpiecznie pod swoją winoroślą i pod swoim drzewem figowym (1 Krl 5, 5). Król panował sprawiedliwie, dzielił się swoją mądrością i zażywał smaku życia w haremie złożonym z siedmiuset kobiet.

Ten wyidealizowany obraz panowania króla Salomona wedle współczesnych archeologów nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Wszystko zdaje się być bajką, cudowną krainą początków państwa Judy i Izraela. Biblijni pisarze (najprawdopodobniej żyjący w VIII lub VII w. p.n.e.) rzutowali w przeszłość obraz wspaniałych początków. Israel Finkelstein oraz Neil Asher Silberman (wybitni izraelscy archeolodzy) w książce „Dawid i Salomon” pisali, że nie ma śladów jakichkolwiek znacznej wielkości kamiennych konstrukcji z okresu panowania Dawida i Salomona. Wiele wskazuje na to, że w czasie panowania obu królów Jerozolima była niewielkim górskim miasteczkiem kontrolującym rzadko zaludnione tereny w głębi krainy. Urosła do pewnej wielkości dwa stulecia później: do Judy napłynęła ludność z północy – mieszkańcy królestwa Izraela uciekali przed asyryjskimi najeźdźcami. W ciągu niewielu lat ze skromnego miasteczka o powierzchni 4-6 hektarów stała się sporym ufortyfikowanym miastem, którego ludność wzrosła z około tysiąca do 12 tys. ludzi.

W Biblii po wielokroć jest mowa o tym, że Dawid i Salomon doprowadzili do centralizacji kultu religijnego z jedną świątynią i jednolitą kastą kapłańską. Tymczasem dowody archeologiczne wskazują na to, że proces zjednoczenia religii trwał stulecia i zaczął być wprowadzany efektywnie właśnie w VIII w. przez króla Ezechiasza, syna Achaza. Można na własne oczy zobaczyć ślady dawnej świątyni w Tel Arad na granicy pustyni Negew. Widać, jak istniejące tu sanktuarium zostało zlikwidowane. Tradycja przypisuje Salomonowi budowę wielkich budowli pałacowych w Meggido oraz Hazor. Wszystko jednak wskazuje na to, że owe konstrukcje były dziełem króla Izraela Omriego (IX w. p.n.e.) i jego osiągnięcia zapisano na konto Salomona. Nie mógł też zbudować olbrzymiej świątyni w Jerozolimie. Jej rozmiar przekraczał przestrzeń, jaka pozostawała do dyspozycji małego miasteczka. Dzisiaj nie wiemy nawet, czy Salomon istniał. Podziwiamy jego legendę, czytamy dzieła mu przypisane. Bez niego nie można sobie wyobrazić naszej historii i biblijnej opowieści. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Najnowszy Testament*



EWANGELISTA MÓWI, ŻE PO UWIĘZIENIU Jana pojawił się Jezus i zaczął głosić Bożą Ewangelię. Głosić Ewangelię, czyli co? Jak ją głosić dzisiaj? Swoimi słowami opowiadać, streszczać Nowy Testament? Poszukiwać podobieństw między wydarzeniami tam opisanymi i dzisiejszymi? Aktualizować je, jakby przenosić z przeszłości w teraźniejszość? Jeśli celem głoszenia Ewangelii ma być nawrócenie, zmiana mentalności, to aby do tego doszło, człowiek najpierw musi uświadomić sobie, że tu, gdzie dzisiaj żyje, dzieją się tak samo ważne sprawy jak w czasach Abrahama, Mojżesza, proroków i apostołów. Bez tego wstrząsu, jaki niesie ze sobą świadomość obecności i działania Jezusa tu i teraz, opowiadanie Biblii, dogmaty, katechizmy i pobożne praktyki na niewiele się zdadzą. Podobnie ma się rzecz z tzw. świadectwami składanymi przez osoby, które niejako zawodowo tym się trudnią. Nawet jeśli jest w nich mowa o prawdziwych zdarzeniach, to wpisane w pewien żargon i „gatunek literacki” robią wrażenie propagandowej agitki. Nie bez powodu papież Franciszek wciąż zachęca nas, byśmy Chrystusowi „dali się zaskoczyć”. Mówi np. do rodziny wincentyńskiej tak: „Miłość w istocie nie zadowala się dobrymi nawykami z przeszłości, ale potrafi przemieniać teraźniejszość. I jest to jeszcze bardziej konieczne dzisiaj, w zmieniającej się złożoności naszego zgłobalizowanego społeczeństwa, gdzie niektóre formy jałmużny i pomocy, chociaż uzasadnione szlachetnymi intencjami, mogą być pożywką dla różnych form wyzysku oraz nierówności, nie przynosząc rzeczywistego i trwałego postępu. Dlatego też wyobraźnia miłosierdzia, nawiązywanie bliskich relacji i inwestowanie w formację, to nauczanie św. Wincentego na dzisiaj”. A zatem głoszenie Ewangelii to nie mówienie o niej, ale czynne zmienianie świata.

A co z „głoszeniem Chrystusa”? Jeśli mamy głosić Chrystusa, to powinniśmy też głosić Kowalskiego i Nowakową. O ludziach można opowiadać, przedstawiać ich, przekazywać ich myśl, naśladować, ogłaszać ich obecność lub nieobecność, występować w ich imieniu itd. Dlatego powiedzieć, że głosimy Chrystusa, to nic nie powiedzieć. To sformułowanie, jak wiele innych, choć brzmi ładnie, jest puste, ale wygodne. Posługując się nim, można mówić godzinami i nic nie powiedzieć. A przecież można tak: „A kiedy Jan został wydany, Jezus udał się do Galilei, występując jako herold ewangelii Boga. Mówił: »Czas się wypełnił. Już blisko jest królestwo Boże. Nawracajcie się i wiercie tej radosnej nowinie«. (...) Kto by miał dobra tego świata i widziałby, że jego brat cierpi nędzę, i zamknąłby przed nim swoje serce, jak miłość Boża może się w nim utrzymać? Dzieci, nie miłujmy myślą czy mową, lecz prawdziwym czynem”. (Nowy Testament w przekładzie ks. Remigiusza Popowskiego SDB). Wtedy widać, że Biblia pisze się również teraz, a dzieje chrześcijaństwa, judaizmu i islamu oraz innych religii i ateizmu to jej Najnowszy Testament. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Jezus bezdomny

*Kto by całkowicie zostawił
siebie i wszystko, co swoje,
cały by się znalazł w Bogu
– tak, że kto by chciał
go dotknąć, musiałby wpierw
dotknąć Boga.*

MISTRZ ECKHART



*Dla mędrca nie ma przymusu
ani w działaniu,
ani w zaniechaniu działania.
Robi, co jest do zrobienia,
a zrobiwszy – żyje szczęśliwie.*

ASZTAWAKRAGITA



KILKA TEKSTÓW EWANGELICZNYCH mocno mnie ostatnio najpierw uderzyło, a potem... pomogło.

Najpierw dialog Jezusa z pierwszymi kandydatami na uczniów w Betanii (zob. J 1, 35-39). Andrzej i Jan, usłyszawszy od Jana Chrzcziciela o Jezusie: „Oto Baranek Boży”, idą za Nim. On, gdy ich zobaczył, pyta: „Kogo szukacie?”; a oni odpowiadają pytaniem: „Rabbi, gdzie mieszkasz?”.

Mówi im: „Chodźcie, a zobaczycie”.

I Ewangelista kończy: poszli i zobaczyli, gdzie mieszka, i pozostali u Niego tego dnia; godzina była prawie dziesiąta (nasza 16.00; trochę posiedzieli).

Zawsze mnie intrygowało w tym wydarzeniu owo „mieszkanie” Jezusa. „Zostali u Niego”, tzn. gdzie? Nie pochodził przecież z Judei. W Betanii, niedaleko Jerycha – „tam, gdzie Jan udzielał chrztu” (J 1, 28) – był dobre 150 km od swego domu w Nazarecie.

Jan jednak zapamiętał, że Jezus tego popołudnia przyjął ich „u siebie”.

Podobne pytanie pojawia się przy lekturze drugiego rozdziału Ewangelii Marka. Otwiera go zdanie: „I znów wszedł do Kafarnaum (...), i usłyszano, że jest w domu, i zebrali się liczni...” (Mk 2, 1n).

Usłyszano, że „jest w domu” – znów przecież wiadomo, że nie we własnym, nie w Nazarecie. Z Nazaretu – jak świadczy równoległy tekst Łukasza – został właśnie wyrzucony; dopiero co ledwie uszedł z życiem. Nazywają Go „Nazarejczykiem”, ale Nazaret Go odrzucił.

Przeniósł się więc o jakieś 35 km na północ, nad Jezioro Galilejskie, i zatrzymał się w Kafarnaum. Tu znalazł pierwszych swoich uczniów: Andrzeja i Szymona, Jana i Ja-

kuba oraz Mateusza Lewiego. Tu dokonał wielu ze swoich znaków. Nie zawsze znajdował zrozumienie – potrafił ganić Kafarnaum mocnymi słowami (zob. Łk 10, 15); prawdą jest jednak ostatecznie to, że do dziś na bramie do wykopalisk biblijnego Kafarnaum wita pielgrzymia napis: „Miasto Jezusa!”.

Nazarejczyk znalazł dom w Kafarnaum – dobrze wiemy, gdzie: u Szymona, którego kiedyś ustanowi Piotrem. To jego dom stał się domem Jezusa – do tego stopnia, że kiedy Jezus wracał doń ze swoich wypraw misyjnych, mówiono, „że jest w domu”.

Dom to jest niesłychanie ważne słowo.

Nie bez powodu mówimy, że jednym z największych dramatów człowieka jest bezdomność.

Paradoksalnie Jezus mawiał o sobie, że jest bezdomny – w przeciwieństwie do lisów, które mają nory, i ptaków, które mają swoje gniazda, On „nie ma, gdzie by głowę skłonił” (Łk 9, 58).

Wydaje się jednak, że pozostając bezdomnym, miał Jezus wielką zdolność zadomawiania się. Nie, nigdy nie przestał być Nazarejczykiem – przypominano Mu też Jego tożsamość podczas procesu (odsyłając Go do Heroda) i na krzyżu („Jezus Nazarejczyk Król Żydowski”).

Był Nazarejczykiem, ale miał dom w Kafarnaum. Był u siebie, mieszkając u Piotra.

Może zresztą było odwrotnie?

Może to On miał w sobie coś takiego, że zamieniał miejsca, w których Go przyjmowano, w dom?

Może właśnie tak.

Taką postawę dostrzegaliśmy u wszystkich pierwotnych chrześcijan autor „Listu do Diogneta”, kiedy pisał: „Każda ziemia obca jest im ojczyzną, i każda ojczyzna ziemią obcą”.

©

CZYTANIA LITURGICZNE (21 – 28 I)

3. niedziela zwykła: Jon 3, 1-5. 10; Ps 25;
1 Kor 7, 29-31; Mk 1, 14-20;
Poniedziałek: 2 Sm 5, 1-7. 10; Ps 89; Mk 3, 22-30;
Wtorek: 2 Sm 6, 12b-15. 17-19; Ps 24; Mk 3, 31-35;
Środa: 2 Sm 7, 4-17; Ps 89; Mk 4, 1-20;

Czwartek: Dz 22, 3-16; Ps 117; Mk 16, 15-18;
Piątek: 2 Tm 1, 1-8; Ps 96; Łk 10, 1-9;
Sobota: 2 Sm 12, 1-7a. 10-17; Ps 51; Mk 4, 35-41;
4. niedziela zwykła: Pwt 18, 15-20; Ps 95;
1 Kor 7, 32-35; Mk 1, 21-28.

Wybrał PIOTR SIKORA

REWOLUCJA NAKŁADA PUDER

Kaczyński idzie po wyborców środka. Chce odebrać ich opozycji, by w końcu zdobyć większość umożliwiającą zmianę konstytucji. I ułożyć Polskę po swojemu na zawsze.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

KUBA ATYS / AGENCJA GAZETA



*Członkowie nowej Rady Ministrów opuszczają
Pałac Prezydencki po otrzymaniu nominacji.
9 stycznia 2018 r.*

OTAK GŁĘBOKIEJ ZMIANIE RZĄDU SPEKULowano od grudnia, kiedy premierem został Mateusz Morawiecki. Wówczas jednak zwyciężyło rozwiązanie doraźne – Morawiecki pozostawił wszystkich ministrów, bo nowa, lepsza zmiana nie była jeszcze gotowa. Od tego czasu premier konstruował rekonstrukcję. Rzeczywiście najnowsze dymisje i nominacje są sensacją.

Opozycja sprawia wrażenie wniebowziętej. Wszak z rządu odeszła większość najbardziej krytykowanych, kontrowersyjnych i nielubianych polityków PiS. Ba, liderzy Platformy i Nowoczesnej przekonują, że to w sumie ich zasługa, iż Jarosław Kaczyński wygarbował skórę Antoniemu Macierewiczowi, Witoldowi Waszczykowskiemu, Janowi Szyszce i Konstantemu Radziwiłłowi. Po prawdzie jednak opozycja nie ma się z czego cieszyć.

Bo Kaczyński, który złapał już wszystkie ławice ryb na swym łowisku, właśnie przygotowuje się do wyprawy na wody terytorialne przeciwnika. Nowy, cieplejszy, młodszy i ładniejszy rząd to nie tylko wyraźne wyciągnięcie ręki do partne-

rów z Unii Europejskiej. To nade wszystko oferta dla tych wyborców, których odstraszały ekscesy i zacięte twarze Macierewicza, Waszczykowskiego, Szyszki i Radziwiłła.

Kaczyński idzie po wyborców środka z jasną intencją – odebrać ich opozycji, by po wyborach zdobyć większość umożliwiającą zmianę konstytucji. I poukładać Polskę po swojemu na zawsze.

Macierewicz walczył do końca

Podobno były szef MON jeszcze w poniedziałek wieczorem miał gwarancję, że pozostanie ministrem. Szala przechyliła się podczas narad w kierownictwie partii nocą z poniedziałku na wtorek. Podobno o dymisji nie powiedział mu osobiście ani prezes Kaczyński, ani premier Morawiecki. Antoni Macierewicz dzień po odwołaniu z rządu przyjechał na smoleńską miesięcznicę sam i stanął w dalekich rzędach. To był symbol jego ekspresowego, bezprecedensowego upadku.

Wyrzucenie Macierewicza to największa sensacja rekonstrukcji. Ba, patrząc na hierarchię wpływów i politycznego znaczenia w obozie władzy, to przewrót isticie

kopernikański. Wchodził do rządu, choć miał nie być ministrem – to była bodaj pierwsza złamana obietnica wyborcza PiS. Nic dziwnego, dla smoleńskiego kapłana trzeba było zrobić tę zmyłkę. Przez wiele miesięcy był nietykany, pozostawał praktycznie poza kontrolą premier Beaty Szydło, z trudem nadzorował go nawet Kaczyński. Wyrzucał generałów, obsadzał spółki zbrojeniowe, lawirował w sprawie zakupów dla wojska. I dostarczał PiS wizerunkowych problemów.

Pierwsza otwarta krytyka z ust Kaczyńskiego spadła na niego na początku minionego roku – chodziło o promowanie rozrywkowego asystenta Bartłomieja Misiewicza. Od tego momentu krok po kroku pozycja Macierewicza była wzruszana. Najpierw w bezprecedensowym, niemal kapturowym procesie partyjny sąd wyrzucił Misiewicza, potem ludzie Macierewicza powoli usuwani byli z lukratywnych posad w państwowych spółkach – choćby Piotr Woyciechowski, współtwórca jego lustracyjnej listy z 1992 r., który z hukiem wyleciał z fotela prezesa Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych.



→ Już w grudniu, gdy stery rządu przejmował Morawiecki, przyszłość Macierewicza wisiała na włosku. Ocaliła go proteza, jaką było pozostawienie starego rządu i odłożenie w czasie wielkiej rekonstrukcji. Tym razem się nie wywinął, mimo że sięgnął po całą paletę swych standardowych środków, na czele ze Smoleńskiem – znów liczył na poruszenie tej wyjątkowo czułej struny prezesa. Już po dymisji w felietonie dla Radia Maryja oświadczył oskarżycielsko: „Nie wolno nam dopuścić do tego, by ta zbrodnia uszła płazem, by naród się nie dowiedział, kto jest odpowiedzialny, i by ci odpowiedzialni, nawet jeżeli wymiar sprawiedliwości Polski nie będzie w stanie ich osiągnąć, by nie zostali jasno wskazani i pokazani całemu światu”.

Przewrotnie dostał to, co chciał. Błaszczak, a więc Kaczyński, postawił go po dymisji na czele podkomisji smoleńskiej.

Ale Macierewicz to tykająca bomba. Chodzi nie tylko o to, w jakim kierunku pójdzie podkomisja pod jego kierunkiem. Istotniejsze jest to, czy Macierewicz – obdarzony swoistą charyzmą destrukcyjną – wytrwa upokorzony w dalekich rzędach, czy też opuści partię. Patrząc racjonalnie, Macierewicz nie jest w klubie PiS szczególnie wpływowy, a zatem nie ma szans wprowadzić znaczącej grupy posłów i zagrozić samodzielnemu rządowi Kaczyńskiego. Choć jest popularny w twardym elektoracie smoleńskim, to w naturalny sposób jeszcze ważniejszy jest dla tych wyborców Jarosław Kaczyński. Wreszcie, cała biografia Macierewicza pokazuje, że ważny był tylko wówczas, gdy stał przy Kaczyńskim. Był dzięki temu ministrem w rządach Olshewskiego, Szydło i samego Kaczyńskiego.

Szkopuł w tym, że Macierewicza nie da się zrozumieć, używając przesłanek wyłącznie racjonalnych. On łaknie przywództwa i już nieraz dokonywał rozłamów, które prowadziły go na polityczny margines. Choć jest wiceprezesa PiS – *nota bene* jednym, który znalazł się poza rządem – to wciąż ma w zamrażarce swą kanapową partyjkę Ruch Katolicko-Narodowy. W każdej chwili można ją odhibernować.

PiS obwinia prezydenta

Usunięcie Macierewicza oznacza nie tylko zmianę wizerunkową. Znaczy też, że bilans zysków i strat związanych z jego rządami w MON wypada negatywnie. Wysłanie do żołnierzy zabranego z MSWiA Mariusza Błaszczaka jest tego jasnym dowodem. To człowiek Kaczyńskiego do specjalnych zadań, skrupulatny, oschły i całkowicie lojalny. Nie ma lepszego kandydata na rewizora, który zrobi raport otwarcia.

W mediach ojca dyrektora zawrzało. Ale władze PiS śpią spokojnie. Do dzieł Rydyzka wielomilionowym strumieniem płyną rządowe dotacje.

Błaszczak będzie musiał uporządkować rozgrzebane przetargi zbrojeniowe i zaprowadzić nad kadrami – Macierewicz hurtowo wycinał oficerów. Ta nominacja to także sygnał uspokajający dla naszych sojuszników w NATO, gdzie Macierewicz nie miał najwyższych notowań. Ale widać też, że prezes PiS chciał zakończyć najbrutalniejszą wojnę wewnątrz obozu władzy – starcie Macierewicza z prezydentem.

Macierewicz lustrował Dudzie współpracowników, a Duda nie powoływał Macierewiczowi generałów. Trwający ponad rok konflikt coraz bardziej paraliżował pracę MON i Kancelarii Prezydenta, a w dodatku zaczynał być coraz dotkliwszy dla armii, pozbawionej generałów.

Błaszczak takiej wojny na pewno prowadzić nie będzie. Już słysząc, że rząd odda zabrany przez Macierewicza certyfikat dostępu do tajemnic państwowych gen. Jarosława Kraszewskiemu z Biura Bezpieczeństwa Narodowego. To prezydencki nadzorca armii, który patrzył Macierewiczowi na ręce, co skończyło się posadzeniem go przez kontrwywiad wojskowy o – jakżeby inaczej – konszachty ze Wschodem.

Nie ma się co dziwić, że Duda od miesiący naciskał na odwołanie Macierewicza. Dlatego dziś PiS próbuje właśnie na prezydenta zrzucić odpowiedzialność za tę decyzję. Rzeczniczka PiS Beata Mazurek, zazwyczaj mało mówna lub niekonkretna, zdumiewająco otwarcie oświadczyła, że wpływ na tę decyzję miał prezydent Andrzej Duda. Takie *dictum* uruchomiło prawniczą lawinę – prezydenta zaatakowało związane z Macierewiczem środowisko „Gazety Polskiej”.

Prawda jest taka, że Duda co prawda starał się od dłuższego czasu wysadzić Macierewicza z siodła, ale bezskutecznie, bo nie zgadzał się na to Kaczyński. Tym razem Kaczyński się na dymisję zdecydował, także pod wpływem Morawieckiego. Ale to była decyzja prezesa PiS, nie zaś prezydenta.

Inna rzecz, że „Gazeta Polska” jest tak naprawdę własnością PiS, bo wydaje ją spółka pozostająca pod kontrolą ludzi partii. Żadnego buntu więc nie będzie – ma po prostu oberwać prezydent.

Aktywa ojca dyrektora

Dymisja Macierewicza, której towarzyszy odwołanie ministra środowiska Jana Szyszki, pokazuje najbardziej wyraziście, kto przegrał na rekonstrukcji: Radio Maryja. Obaj ministrowie byli najcenniejszymi aktywami o. Tadeusza Rydyzka w rządzie. Ale Szyszko, tak jak Macierewicz, był dla PiS kulą u nogi. Otwarcie drzwi z decyzji, które unijny sąd wydawał w sprawie wycinki drzew w Puszczy Białowieskiej. Premier Morawiecki od początku swych rządów zapowiadał zmianę tej polityki, więc ta dymisja była przesądzona od dawna. Wycinka puszczy i myśliwska pasja Szyszki, która irytowała nawet Kaczyńskiego, odbierała rządowi punkty w elektoracie umiarkowanym.

Po tych dwóch dymisjach w mediach ojca dyrektora zawrzało. Ale władze PiS śpią spokojnie. Do dzieł Rydyzka wielomilionowym strumieniem płyną rządowe dotacje, a zakonnik jest w partii ceniony za pragmatyzm.

Pozostałe środowiska w partii Kaczyński zrecznie obsłużył przy rekonstrukcji. Nieproporcjonalnie dużo dostał wicepremier Jarosław Gowin – z jego poręki pochodzi aż troje nowych ministrów. Przede wszystkim jego wieloletnia współpracowniczka Jadwiga Emilewicz, która z zastępczyni Morawieckiego w resorcie rozwoju awansowała na nowo utworzone stanowisko ministra przedsiębiorczości i technologii. Była wiceminister nauki u Gowina Teresa Czerwińska została ministrem finansów, zaś inny zastępca Gowina, Łukasz Szumowski – ministrem zdrowia.

Taki przyrost Gowinowych tek – znacznie ponad miarę wobec realnej siły politycznej wicepremiera – to zbieg kilku czynników. Po pierwsze, Gowin ma być jedną z twarzy podróży PiS do centrum elektoratu. W jego otoczeniu, i to po drugie, wyrosła grupa urzędników, którzy pasują do koncepcji zastąpienia rozgorączkowanych polityków przez technokratów. Po trzecie wreszcie, istotne było także to, że przez ostatnie dwa lata Gowin intensywnie grał na Morawieckiego, dostrzegając w nim potencjał na premiera-reformatora, o którym marzy.

Duda nieoczywisty

Rekonstrukcja nie objęła Zbigniewa Ziobry, bo objąć nie mogła. Nie jest to polityk,

który przyciągnie do PiS elektorat centrowy, ale nie takie ma zadanie. Po podpisaniu ustaw sądowych przez prezydenta ma się zająć wprowadzaniem sędziów z rozdania PiS do sądów i Krajowej Rady Sądownictwa. To go niebawem umacnia, nie wylewa więc też – chyba że krokodyl – po degradacji swej współpracowniczki Beaty Kempy, która z szefowej Kancelarii Premiera została ministrem ds. uchodźców.

Szefem Kancelarii u Morawieckiego nie mogła zostać z trywialnego powodu. Jako ministrowie w rządzie Szydło Morawiecki i Ziobro brutalnie walczyli o wpływ w spółkach Skarbu Państwa, choćby w PZU i Pekao SA. Mimo że po zmianie rządu zawarli zawieszenie broni, to nie bąduje ono na szczególnym zaufaniu. Morawiecki nie pozwoliłby sobie na to, na co zgadzała się Szydło – by człowiek Ziobry patrzył mu na ręce.

W nowym rozdaniu nieco już przykurzona Szydło, dziś wicepremier ds. społecznych, także zachowała swój skromny stan posiadania. Jej przyjaciel Henryk Kowalczyk, dotychczasowy szef Komitetu Stałego Rady Ministrów, został nowym ministrem środowiska.

W rządzie pozostał też inny współpracownik Szydło – Andrzej Adamczyk. Jako minister infrastruktury i budownictwa w poprzednim rządzie był ostro krytykowany przez Kaczyńskiego, zwłaszcza za opóźnienia w programie Mieszkanie Plus, który ma być lokomotywą wyborczą podczas zbliżającego się poczwórnego maratonu wyborczego 2018-20. Choć był murem kandydatem do dymisji, Kaczyński ze względu na Szydło podniósł kciuk do góry – odebrał mu jednak nadzór nad budownictwem.

Na pierwszy rzut oka umocnił się prezydent. Nie chodzi tylko o wyrzucenie znienawidzonego Macierewicza. Przecież Duda najpierw przyłożył rękę do usunięcia swej dawnej przyjaciółki Szydło, z którą przez ostatnie miesiące minionego roku coraz ostrzej walczył. W ostatnim czasie zdecydowanie bliżej mu było do Morawieckiego. Tajemnicą poliszynela jest to, że wicepremier namawiał prezydenta do zawetowania ustaw sądowych PiS latem minionego roku. Był w tej samej drużynie, co Jarosław Gowin, tyle że się otwarcie do tego nie przyznał. – Mateusz nie mógł wystąpić z krytyką ustaw sądowych. Liczy na to, że awansuje w nowym rozdaniu, a to przekreśliłoby jego szanse – mówił mi wówczas jeden z jego stronników w rządzie. Jak widać, miał rację.

Stan euforii prezydenta, któremu ewidentnie bliżej do nowej wersji dobrej zmia-

Przez ostatnie dwa lata
**Morawiecki dostawał
od prezesa wszystko,**
co chciał. Po premierostwie
zgode na drastyczną zmianę
składu rządu.
Czy będzie sukcesorem?

ny, może także – tak jak w przypadku opozycji – skończyć się kacem. Jeśli Morawiecki okaże się zręcznym politykiem, może się stać groźnym konkurentem dla Dudy. Czy mógłby być kandydatem PiS na prezydenta w 2020 r.? Za wcześniej wyrokować, choć takie spekulacje słychać w partii. Na pewno Kaczyńskiemu zależy, aby Duda zrozumiał, że nie jest kandydatem oczywistym i bezkonkurencyjnym. To osłabi jego narowistość.

Ciszej nad tą Unią

Wycięcie z rządu pisowskich twardzieli to brawurowy ruch Kaczyńskiego. Ale ruch przemysłany i mniej ryzykowny, niż mogłoby się wydawać. Przez ponad dekadę – od momentu wdeptania w ziemię Ligi Polskich Rodzin Romana Giertycha – Kaczyński skrupulatnie pilnuje prawej flanki i nie dopuścił, aby powstała tam jakakolwiek alternatywa dla PiS. Najpoważniejsze próby, partie Ziobry i Gowina, spacyfikował, wciągając do współpracy na swych zasadach. Dziś prawicowy wyborca wściekł na Kaczyńskiego za rekonstrukcję nie ma się dokąd udać – a to punkt wyjścia, by PiS mógł się skierować na łowy w centrum. Taki właśnie cel stoi przed Morawieckim.

W obliczu totalnej destrukcji opozycji, która nie ma liderów ani programu, jest rozbita i momentami żalosna, część wyborców może rzec nowe, przypudrowane oblicze PiS. Kaczyńskiemu nie chodzi o wygranie kolejnych wyborów, o to jest spokojny. Od dawna marzy mu się odciśnięcie własnego ostatecznego piętna na Polsce – chce zostawić po sobie nową konstytucję, która na trwałe ułoży kraj wedle jego pomysłu.

Rekonstrukcyjny makijaż to także wyciągnięcie ręki do partnerów z UE. W kierownictwie PiS zapadła decyzja, by złagodzić temperaturę sporu z Unią, bo zaczyna to być kłopotem politycznym, prawnym i wizerunkowym. Dlatego demonstracyjnie wręcz zaraz po rekonstrukcji i pierw-

szym posiedzeniu nowego rządu premier udał się do Brukseli.

Nowy minister środowiska Henryk Kowalczyk ma wyciszyć konflikty z Komisją Europejską wokół Puszczy i nie denerwować wyborców, co przy jego zachowawczym charakterze jest gwarantowane. Podobny cel ma zastąpienie w MSZ Witolda Waszczykowskiego przez dotychczasowego wiceministra Jacka Czaputowicza. To profesor i urzędnik, który nie ma temperamentu politycznego i nie będzie – jak jego poprzednik – zapamiętane z Unią walczył. Inna rzecz, czy przy swej słabej pozycji politycznej nowy szef MSZ będzie poważnie traktowany w europejskich stolicach.

Kontrolowana detronizacja

Przez ostatnie dwa i pół roku Morawiecki idzie jak burza. Mimo że przyszedł do PiS na gotowe, po wygranych wyborach, to na dzień dobry dostał tekę wicepremiera i kontrolę nad gospodarką. Każda rekonstrukcja rządu go wzmacniała, bo pozbywał się przeciwników – najpierw ministra skarbu Dawida Jackiewicza i ministra finansów Pawła Szalamachy, a w finale Beaty Szydło. Wreszcie podyktował Kaczyńskiemu niemal autorski skład rządu, o czym Szydło nie mogła marzyć.

Oczywiście prezes nie jest szaleńcem i w kluczowych miejscach umieścił swe czujki. Ale nie jest ich wiele – szefem gabinetu premiera jest prezesowski cerber Marek Suski, do tego zaufani w resortach siłowych: wspomniany Błaszczak w MON, jego następca w MSWiA Joachim Brudziński oraz Mariusz Kamiński w spec służbach. Szydło jako premier była znacznie bardziej obudowana zausznikami prezesa.

Czy to znaczy, że zbliża się sukcesja? W PiS od niemal dekady spekuluje się o mniej lub bardziej kontrolowanej detronizacji Kaczyńskiego. Najczęściej były to inspirowane i sterowane przez niego samego rozgrywki, które służyły badaniu sytuacji w partii i eliminacji tych wszystkich, którzy mieli chrapkę na schedę. Większość z dawnych delfinów pływa dziś daleko poza akwenem PiS.

Z Morawieckim sytuacja jest inna. Nikt nigdy nie dostał od Kaczyńskiego tak wiele w tak krótkim czasie. Czy to zapowiedź? Jeśli Morawiecki będzie potrafił wykorzystać kredyt na premierostwo, który żyruje mu Kaczyński, ustrzeże się afer i będzie mu sprzyjać gospodarcza koniunktura, to może wyrosnąć na najdorodniejszego delfina w akwenie PiS.

©P

ANDRZEJ STANKIEWICZ



Angela Merkel, Lech Kaczyński, Gordon Brown i Donald Tusk, Bruksela, marzec 2009 r.

PiS w Brukseli, czyli walka z cieniem

DARIUSZ ROSIAK

Jarosław Kaczyński traktuje Europę jako podmiot wrogi, działający metodycznie wedle szkodliwego dla Polski planu. Tymczasem najważniejsze zdarzenia na kontynencie świadczą o czymś przeciwnym.

REKONSTRUKCJA RZĄDU MIAŁA BYĆ GE-
stem władz polskich w kierunku Brukseli, zaproszeniem do zaprzestania wymiany ciosów, której żadna ze stron nie jest w stanie wygrać. Komisja Europejska nie nałoży na Polskę sankcji, bo nie znajduje jednomyślności w Radzie Europy. Rząd nie przekona Komisji, że wprowadza reformy sądów zgodnie z prawem, bo faktycznie co najmniej w kilku punktach je łamie.

Ale nie o prawo tu chodzi, tylko o politykę, a jeszcze ściślej: o wizerunek. Najbliższe miesiące to będzie praca nad tym, jak z Polski – państwa, które lekceważy własne prawo i unijne zobowiązania – uczynić być może krnąbrnego, ale jednak wiarygodnego partnera. By uciszyć głosy porównujące Polskę do Rosji Putina i Turcji

Erdoğana. Ta zmiana wizerunkowa nastąpi tylko wtedy, kiedy obie strony – Polska i KE, a w jej tle najsilniejszy członek Unii, czyli Niemcy – zrobią krok do tyłu i uznają, że warto. Nie zmieni to zasadniczo istoty sporu w dziedzinie reformy sądownictwa, jednak pozwoli go wyciszyć i być może znaleźć kompromis w jego rozwiązaniu.

Znacznie łatwiej o taki ruch w dziedzinie ochrony środowiska czy w sprawach związanych z migracją. „Zauważyłem wyraźną zmianę retoryki Jeana-Claude’a Junckera, jeśli chodzi o zależność pomiędzy budżetem UE a problemem uchodźców” – powiedział premier Mateusz Morawiecki po wtorkowym spotkaniu z przewodniczącym Komisji. Jeśli jeszcze dodatkowo zmieni się retoryka niektórych polityków

PiS-u w sprawie uchodźców, a nowy szef polskiej dyplomacji będzie bardziej dyplomatyczny, zwłaszcza wobec Niemiec, niż jego poprzednik, to o poprawę relacji akurat w tej dziedzinie nie będzie trudno.

Niemcy zdają sobie bowiem sprawę, że ich reakcja na kryzys uchodźczy 2015 r. spowodowała wiele szkód nie tylko w ich kraju, ale w całej Unii. Pokazała również, jak złe skutki przynosi polityka nieprzemyślana i pozbawiona planu.

A jak trzeba będzie siłą?

Jedną z kluczowych dat w sekwencji zdarzeń, którą dzisiaj nazywamy „kryzysem migracyjnym”, był 13 września 2015 r. Dziesięć dni wcześniej Niemcy otworzyły granicę dla uchodźców nadciągających z Węgier przez Austrię. Nie, nie chodziło wówczas o milion ludzi. Granica została otwarta dla garstki uchodźców, którzy szli ze stacji Keleti w Budapeszcie w kierunku granicy austriackiej. Angela Merkel oraz austriacki kanclerz Werner Faymann zdecydowali wspólnie im pomóc: weźmy ich do siebie, podzielmy się nimi, połowa niech zostanie w Austrii, połowa niech idzie do Niemiec.

13 września granica jest wciąż otwarta, coraz więcej ludzi przybywa. Nikt jednak nie wykazuje politycznej woli, by powiedzieć: „Dobrze, pomogliśmy tym, którzy znaleźli się w dramatycznej sytuacji, teraz koniec”.

Z każdym jednak dniem coraz więcej ludzi zmierza w kierunku Niemiec, rząd

kanclerz Merkel podejmuje przygotowania do zamknięcia granicy. Policja dostaje konkretne rozkazy, jak przeprowadzić operację zabezpieczania porządku po wprowadzeniu blokady. Ale tuż przed rozpoczęciem operacji rozpoczyna się dyskusja w samym rządzie. Chodzi o prawne uwarunkowania zamknięcia granic. Poza tym niektórzy pytają, jak to będzie wyglądało w telewizji. Niemieccy policjanci będą odsyłać uchodźców spod granicy? A jak trzeba będzie użyć siły? Mamy się zachowywać jak Węgrzy?

I w ostatniej chwili, za pięć dwunasta, rozkaz dla policji zostaje zmieniony. Niemcy co prawda wprowadzają kontrolę, ale ktokolwiek przekracza granicę i zadeklaruje, że jest uchodźcą i ubiega się o azyl, ma być wpuszczony do Niemiec.

Tak to mniej więcej wyglądało, jeśli wierzyć opisowi zawartemu w niedawno wydanej w Polsce książce „Angela Merkel i kryzys migracyjny. Dzień po dniu”. Jej autor, Robin Alexander, na co dzień dziennikarz „Die Welt”, nie jest wrogiem przyjmowania migrantów, nie nienawidzi też kanclerz Merkel, choć zachowuje wobec jej polityki stosunek krytyczny. Jego książka nie jest jednak zapisem uczuć autora. Alexander pokazuje jedną z najciekawszych i najsilniej obecnych cech współczesnej polityki, nie tylko niemieckiej. Chodzi o jej kunktatorstwo i przypadkowość, oportunizm, brak podstaw intelektualnych i fundamentów ideowych. Co więcej, tak budowana polityka wcale nie musi wiązać się ze spadkiem popularności lidera – po warunkiem, że trafi on/ona w emocje tłumu.

Po prostu się wydarzyło

– Miesiącami zastanawialiśmy się – mówił Robin Alexander w rozmowie, którą niedawno przeprowadziłem z nim dla radiowej Trójki – czy Angela Merkel, wykazując humanitaryzm wobec nieszczęśliwych ludzi, jest może współczesną świętą, czy może odwrotnie: mamy do czynienia z jakąś diabelską czarownicą, która postanowiła wymienić naród niemiecki na uchodźców? Ale kiedy popatrzeć na fakty, to wszystko sprowadza się do serii przypadków, których nikt nie kontrolował. Żaden niemiecki rząd nie planował wpuszczenia miliona migrantów do kraju. To się po prostu wydarzyło.

To się po prostu wydarzyło? Kryzys uchodźczy wywołał dramatyczne pęknięcia między wschodem a zachodem kontynentu. W jego wyniku wzrosły w Europie nastroje protekcyjnistyczne, prawicowe i lewicowe partie nacjonalistyczne zyskały

tysiące nowych zwolenników, w samych Niemczech kryzys uchodźczy wpłynął na wynik wyborów, windując poparcie dla Alternatywy dla Niemiec. Nadwyreżył zaufanie Niemców do instytucji, które dotąd cieszyły się pełną wiarygodnością, zwłaszcza mainstreamowych mediów, pośrednio wpłynął na wynik referendum brexitowego w Wielkiej Brytanii. I to wszystko zdarzyło się przez przypadek?

Nikt w Polsce nie będzie zadowolony z wniosków wypływających z książki Alexandra. Ani ci, którzy uważają, że Merkel uwzględniła się na wschodnich Europejczyków, zwłaszcza na Polaków, i razem z przewodniczącym Donaldem Tuskiem chcą nas zniszczyć, ani ci, którzy uważają ją za ostatnią nadzieję zjednoczonej Europy: mądrą, przenikliwą liderkę polityczną, która pozostaje wierna wyznawanym wartościom wbrew chwilowym kłopotom.

A jednak, jak twierdzi Alexander, jeden z najważniejszych procesów kształtujących współczesną Europę został zapoczątkowany wskutek politycznej abdykacji osoby uważanej – ciągle chciałbym wierzyć, że słusznie – za najwybitniejszego i najskuteczniejszego polityka na kontynencie. Co to mówi o pani Merkel i Niemczech, o Europie, o stosunkach z nią władz Polski, które, jak wiadomo, mają jasno określony plan wobec uchodźców? U nas nic w tej dziedzinie nie dzieje się przypadkiem; przypadki w tej dziedzinie zredukowaliśmy do zera.

Byłe nie decydować

„Wydarzenia, mój drogi wydarzenia” – tak miał odpowiedzieć premier brytyjski Harold Macmillan na pytanie, co najbardziej przeszkadza jego rządowi w prowadzeniu polityki. Te słowa ilustrują pewną zmianę, która dokonała się w myśleniu polityków w ciągu ostatnich kilku dekad.

Polityka w tradycyjnym rozumieniu polega na realizowaniu zamierzonych wcześniej celów przy pomocy dostępnych instrumentów. Zwykle cele te nie są w pełni osiągalne, bo na przeszkodzie stają „wydarzenia”, czyli normalne życie ze swoimi komplikacjami i nieoczekiwanymi zwrotami akcji, jednak trudno sobie wyobrazić polityka, który nie ma żadnych celów ani żadnego planu.

To znaczy, może jednak nie tak trudno. Jeśli popatrzymy na współczesną Europę Zachodnią, to właściwie większość skutecznych polityków trwa na stanowisku dzięki temu, że nic nie robią. A gdy dalej nie da się nic nie robić, to i tak odkładają decyzję tak długo, jak się da, licząc, że

w międzyczasie jakieś inne „wydarzenia” spowodują, iż podjęcie decyzji okaże się zbędne.

Natychmiast przychodzi do głowy premier Donald Tusk i polityka ciepłej wody, która doskonale sprawdzała się przez osiem lat, lecz, jak się okazało w 2015 r., stała się rusztowaniem, po którym Jarosław Kaczyński wdrapał się na szczyt polskiej polityki i rozpoczął jej przebudowę. Rusztowanie runęło, zaczął się trwający do dziś rollercoaster. Ale Polskę zostawmy na koniec tego tekstu.

W świecie liberalnym planowanie, a co gorsza – realizowanie obietnic wyborczych prowadzi prostą drogą do porażki w kolejnych wyborach, albo co najmniej spadku notowań w sondażach. Tony Blair był jednym z najpopularniejszych premierów brytyjskich w historii, dopóki nie podjął decyzji o przystąpieniu do inwazji na Irak. Po niej Brytyjczycy znienawidzili go z równym entuzjazmem, z jakim wcześniej go wspierali. David Cameron – wbrew wielu przewidywaniom – wygrał wybory w 2015 r., po czym realizował swoją obietnicę wyborczą, rozpisując referendum w sprawie wystąpienia Zjednoczonego Królestwa z Unii Europejskiej. Jak się to skończyło – wiadomo.

Brexit jest zresztą przykładem chyba najbardziej kuriozalnego we współczesnej historii dramatu społeczno-politycznego. Piśzę „kuriozalnego” nie po to, by umniejszać wagę decyzji Brytyjczyków. Jest wiele racjonalnych powodów, dla których Brytyjczycy nie czuli się dobrze w Unii, i być może w ogóle nie powinni byli do niej wstępować. Kuriozum polega na tym, że ich wyjście z Unii również odbyło się przypadkiem. Zaledwie 600 tys. głosów, które zdecydowało o wyniku referendum, zmieniło historię Zjednoczonego Królestwa w fundamentalny sposób, a konsekwencje tego wyboru Brytyjczycy będą poznawać przez wiele dekad. Nie stało się tak na skutek przemyślanej strategii polityków, wymyślonej kampanii ani ideowego żaru aktywistów zaangażowanych w kampanię „Leave”.

Główną rolę odgrywały przypadkowość i bezwład. Bezwładni byli zarówno przegrani, jak i wygrani. Brexit nastąpił, bo David Cameron zmęczony ciągłą walką z antyunijnymi nastawionymi członkami własnej partii postanowił się ich pozbyć. Zapomniał przy tym wymyślić plan działania, nie wziął pod uwagę, że w referendum możliwe są dwa wyniki, źle obliczając swoje siły wypuścił z butelki dziła politycznego chaosu, nad którym od 23 czerwca 2016 r. nikt nie panuje.

→

Najłatwiej rządzić dyktatorom

→ Czy wszystko w światowej polityce dzieje się przypadkiem? Oczywiście, że nie. Niemcy mają spójny polityczno-gospodarczy plan budowy rurociągu Nord Stream 2 i realizują go, jak dotąd, skutecznie. Wcześniej, nie odstępując nawet na jotę od swoich interesów, rozwiązały kryzys finansowy w Europie. Każdy kolejny prezydent V Republiki próbował reformować rynek pracy i każdy – Emmanuel Macron jest jak dotąd wyjątkiem – odstępował od planu pod naporem ulicy.

Są również państwa, w których nic nie dzieje się przypadkiem. Oficjalnie zakończona niedawno interwencja Rosji w Syrii była politycznym majstersztykiem, doskonale przemyślaną i wyegzekwowaną realizacją planu wzmocnienia wpływów rosyjskich na Bliskim Wschodzie. Dopiero w jej kontekście widać, jak jałowa była i ciągle jest polityka amerykańska w tym regionie. Rosjanie stosunkowo niewielkim kosztem w sprzeczcie i ludziach przetestowali swoich żołnierzy w teatrze wojennym, wzmocnili pozycję wojskową i gospodarczą, stali się jednym z głównych rozgrywających w Syrii, a równocześnie – mimo że nie rozliczyli się z zarzutów o zbrodnie wojenne – uważani są na Bliskim Wschodzie za aniołów pokoju.

Chiny mają swój własny plan rozwoju i realizują go od lat 70. bez względu na zdanie kogokolwiek. Ba, nawet Korea Północna trwa dzięki trzymaniu się kurczowo rozbudowy programu broni jądrowej – jedynego planu, jaki pozwala temu krajowi przetrwać w obecnej formie. Turcja bez oglądania się na innych buduje autorytarny system łączący elementy polityczne-go islamu i kemalizmu. Jakże musiał ucieszyć się prezydent Erdoğan, gdy na początku 2016 r. kanclerz Merkel pielgrzymowała do niego po prośbie, by ratować Europę przed zalewem uchodźców i migrantów. Z jednej strony autorytarny dumny władca, z drugiej upokorzona, nieznosząca go osobiście najważniejsza liderka na kontynencie.

Oczywiście nie każde planowanie polityczne czy społeczne ma sens, o czym historia ludzkości doskonale nas przekonuje. Realizowano w niej plany zbrodni i ludobójstw, realizowano narodowe i międzynarodowe spiski, w wyniku których ginęły tysiące ludzi i zmieniała się globalna scena polityczna. Często też plany polityków są po prostu niemądre i lepsze, gdy rzeczy dzieją się wbrew nim.

Łatwiej także planować politykę w państwach autorytarnych niż w liberalnych. W liberalnych każde działanie polityczne

W świecie liberalnym
planowanie, a co gorsza: realizowanie obietnic wyborczych prowadzi prostą drogą do porażki w kolejnych wyborach, albo co najmniej spadku notowań w sondażach.

można zastopować przy kolejnych wyborach.

Bezpieczna wycieczka

Ale jest jeszcze jeden czynnik. Liberalne demokracje nie znoszą łatwo „polityków z wizją”, bo na Zachodzie panuje przekonanie, że nie potrzeba już wielkich planów. W takich krajach jak Niemcy, Wielka Brytania, Francja czy USA ideałem jest postęp rozumiany jako proces negocjowany przez różne grupy społeczne przy możliwie najmniejszych kłopotach dla obywateli, i to nie tylko większości – zadowoleni mają być wszyscy. Życie w demokracji liberalnej ma być pozbawione ryzyka, dyskryminacji i innych trudności – na tym m.in. polega jego urok. Postęp w wersji liberalnej polega na tym, by coraz więcej ludzi nie musiało się o nic martwić, a życie było bezpieczną wycieczką, na której człowiek wybiera sobie potrawy z menu dostępnego dla coraz większej liczby klientów.

Angela Merkel nie podejmowała decyzji w sprawie uchodźców, bo nie wiedziała, jak zareagują Niemcy. Kiedy we wrześniu 2015 r. zaczęli przyjeżdżać na dworzec w Monachium, Niemcy masowo wylegli na ich powitanie. Odkrywali siebie jako naród gotowy pomagać, otwarty na innych, wykazujący humanizm, chrześcijańskie miłosierdzie.

I w tej reakcji – jak przypomina Robin Alexander – leży klucz do zrozumienia tego, co robiła Merkel. Niemiecka kultura gościnności nie została narzucona przez władzę, tylko po prostu była naturalnym wyrazem aktywności Niemców. Merkel chciała być liderką, bo to daje jej popularność. Rząd nic nie ryzykował. To władza szła za ludźmi, nie na odwrót.

Plan Kaczyńskiego

Co prowadzi nas znów do Polski i jej obecnego miejsca w Unii. Bo to właśnie w podejściu do ryzyka politycznego i od-

miennego poglądu na liberalną politykę należy upatrywać fundamentalnych powodów starcia Warszawy z Brukselą. Krucjata polityczna prowadzona przez PiS jest w centrum Unii tak silnie krytykowana, bo nikt do końca nie rozumie jej powodów, albo nie wierzy w jej rządowe wytłumaczenie. Jarosław Kaczyński otwarcie mówi, że przebudowuje Polskę po to, by zlikwidować większość instytucjonalnej i kulturowej spuścizny ostatnich 28 lat. W rozumieniu wielu Europejczyków (w tym Polaków) robi to nie tylko niezgodnie z prawem, ale też bez racjonalnych przyczyn. Neguje bowiem owoce wieloletniego rozwoju Polski, którego skutkiem była gospodarcza i polityczna pozycja kraju w 2015 r. Tłumaczenie, że chodzi o likwidację jakichś złogów po komunizmie, jest w Europie kompletnie niezrozumiałe. Abstrahując od tego, że dla wielu Europejczyków doświadczenie komunizmu jest czysto abstrakcyjne, a w Parlamencie Europejskim zasiada wielu posłów, którzy walczyli o wprowadzenie komunizmu we własnych krajach.

Jest jeszcze czynnik czasu: komunizm skończył się w Polsce w 1989 r. Od tego czasu odbyło się wiele wolnych wyborów na różnych szczeblach władzy, Polacy urządzili sobie kraj, tak jak chcieli, więc o jakiej dekomunizacji mamy mówić w 2018 r.?

To są oczywiście sensowne argumenty, które – jak przypuszczam – nie interesują Kaczyńskiego, ponieważ on w ogóle słabo zna i mało interesuje się światem. Jego wizja przebudowy Polski odbywa się jeśli nie w opozycji, to obok Europy, która traktowana jest przez PiS jako siła zewnętrzna – coraz bardziej wroga.

Kaczyński ma plan dla Polski, nie dla Unii Europejskiej, i nie zamierza z niego rezygnować nawet wobec silnego sprzeciwu Europy. Czy dla nas lepiej byłoby, żebyśmy nigdy nie doświadczyli „planu Kaczyńskiego”? To zależy, co jest na jego koncu. Dziś wydaje się, że cena, którą Polska płaci za jego realizację, jest zbyt wielka, ryzyko zbyt duże. Wielu Polaków tęskni za pewnością poprzednich rządów, kiedy Polska nie miała co prawda żadnych rewolucyjnych planów, za to lubiano nas w Europie.

Na szczęście w demokracji każdy plan można kontynuować albo zmienić. W Polsce, podobnie jak w Niemczech czy w Wielkiej Brytanii, wystarczy pójść do następnych wyborów. Oby tylko były wolne i demokratyczne.

©

DARIUSZ ROSIAK



Rozbita limuzyna audi premier Beaty Szydło kosztowała ponad 2,5 mln zł. Oświęcim, 10 lutego 2017 r.

Stłuczka wagi państwowej

RAFAŁ ZYCHAL

Mija prawie rok od wypadku rządowej limuzyny wiozącej Beatę Szydło. Śledztwo niedawno przedłużono po raz kolejny. Czy w rocznicę krakowskiej dowiemy się, jakie były jej okoliczności?

SKĄD TA ZWŁOKA? ŚLEDZCY CZEKALI NA opinię biegłych z Instytutu Ekspertyz Sądowych. Mieli oni zrekonstruować wypadek, do którego doszło 10 lutego ub.r. w Oświęcimiu.

Ostatecznie trafiła ona do prokuratury pod koniec roku. Jej treść jest tajna. – Dalsze czynności będą uzależnione od jej wyników – mówi Krzysztof Dratwa z Prokuratury Okręgowej w Krakowie. To kluczowy materiał.

Audi na drzewie

Ulicą Powstańców Śląskich mknął rządowa kolumna. Otwierający ją samochód wyprzedza fiat seicento. Chwilę potem fiat zaczyna skręcać. Dochodzi do zderzenia z limuzyną, w której jedzie premier. Jej kierowca, chcąc uniknąć wypadku, odbija w bok. Pancerne audi zatrzymuje się

na drzewie. Tak wydarzenia opisuje policja. Błyskawicznie informuje też, że winnym kolizji jest kierowca fiata. Sprawa wygląda na zamkniętą. Ale z każdą godziną rosną wątpliwości.

Nieumyślne naruszenie zasad bezpieczeństwa w ruchu lądowym – taki zarzut usłyszał Sebastian K. Grozi mu za to do trzech lat więzienia. Jednak składając wyjaśnienia przed śledczymi kierowca nie przyznaje się do winy.

Obroncą 21-latką jest mec. Władysław Pociąg. To znany krakowski adwokat z prawie 30-letnim stażem, a do tego powszechnie uważany za jednego z najlepszych specjalistów od spraw dotyczących wypadków komunikacyjnych. Reprezentuje też m.in. wdowy po pilotach Tu-154M, który rozbił się w Smoleńsku. Obrony kierowcy seicento podjął się *pro bono*.

Sprawa od razu wpada w wir polityki. Każda ze stron rozgrywa ją po swojemu. Szef MSWiA błyskawicznie przesądza o winie 21-latka i zapewnia, że BOR zachowało się zgodnie z prawem. Dodaje, że kolumna jechała prawidłowo. I apeluje do „totalnej opozycji”, by powstrzymała falę hejtu.

Dostaje się też obrońcy Sebastiana K. Politycy i sympatycy PiS błyskawicznie wyciągają mu to, że jest kuzynem senatora PO, Aleksandra Pocięja. Swoje trzy grosze dorzuca minister Błaszczak, który ogłasza, że prawnik włączył się w akcję „podważającą pierwsze ustalenia dotyczące sprawy”.

Pociąg reaguje zdecydowanie. Zapewnia, że związki rodzinne nie miały żadnego wpływu na jego decyzję. Co więcej, mówi, że podjąłby się obrony i wtedy, gdyby 21-latek zderzył się z limuzyną z politykiem PO w środku.

Sebastian K. stał się ofiarą, by ukryć błędy BOR – tak w skrócie brzmi teza, którą stawia opozycja. – Jestem mieszkańcem ziemi oświęcimskiej, ale abstrahując od tego, jeśli premier ma wypadek, każdy się nim interesuje – mówi poseł Nowoczesnej Marek Sowa. Jest jednym z polityków, którzy zaangażowali się w tę sprawę. Jak dodaje, matka Sebastiana K. skontaktowała się z jego biurem po tym, co spotkało go tuż po wypadku. – Użyję tego słowa: po zatrzymaniu, w pewnym stopniu, był przymuszany do podpisania protokołu, →

→ w którym przyznaje się do winy – przekonuje Sowa. – To kuriozum, żeby w trzy godziny, bez obrońcy, bez dochodzenia, stawiać zarzuty – mówi dalej. Sąd uzna, że 21-latkę po wypadku zatrzymano bezpodstawnie.

– Dla mnie ten chłopak jest ewidentną ofiarą – podkreśla Sowa. – Błyskawicznie usłyszał zarzut. Potem była konferencja szefów MSWiA i policji, gdzie padły skandaliczne słowa. A tak po ludzku patrząc, taka presja dla wielu osób może być nie do wytrzymania.

Parlamentarzysta zwraca uwagę na kolejną rzecz: na miejscu panował bałagan. – Bulwersujące jest to, że po wypadku wygoniono bezpośrednich świadków. Oni nawet nie zostali spisani. Dla mnie to zaciera nie śladów zdarzenia.

Posłowie PO składają doniesienie do prokuratury na działanie policji i prokuratury. Śledztwo kończy się umorzeniem.

– Prokuratura czyniła starania, by odnaleźć dalszych, bezpośrednich świadków zdarzenia, w tym kierowców oraz pasażerów pojazdów, które poruszały się za autem podejrzanego. Te osoby nie zgłosiły się do prokuratury – mówi dziś prok. Dratwa.

– Skoro śledczy unikają oficjalnych przekazów, to poruszamy się w sferze domysłów. To rodzi pytania – podkreśla Marek Sowa. – A może jest tak, że ekspertyzy tak długo nie było, bo po prostu nikt się nie chce podpisać pod ustaleniami niekorzystnymi dla prokuratury?

Zagadkowa wizyta wiceministra

„Zdajecie sobie sprawę, że pani premier mieszka w tym powiecie i oczekiwałaby, czy chciałaby, żeby to było po jej myśli” – mniej więcej takie słowa miały paść z ust zastępcy Zbigniewa Ziobry podczas spotkania z sędziami w Oświęcimiu. Tam będzie toczył się ewentualny proces.

Co mógł mieć na myśli Łukasz Piebiak? – Nie przypominam sobie, by premier miała tam jakąś inną sprawę niż ten wypadek, w którym zresztą jest tylko świadkiem – mówi Marek Sowa. To on jako pierwszy poinformował o tym zdarzeniu.

– On absolutnie nie mówił, że sprawa musi być załatwiona po myśli premier. To raczej miało być coś w rodzaju wyrażenia oczekiwania. Nie uczestniczyłem w tym spotkaniu, ale otrzymałem informację, że takie słowa padły. Dlatego zadałem oficjalne pytanie – tłumaczy Sowa.

– To *fake news* – komentuje sam Piebiak. Jak dodaje, nie przypomina sobie, by podczas spotkania poruszał tę sprawę. Co więcej, przyznaje, że... nie wiedział, iż wypadek miał miejsce właśnie tam.

Zdziwienia tą opinią nie kryje mec. Pocię. – To zdumiewające – mówi.

Czy jeśli sprawa trafi przed sąd, to mecenas złoży wniosek o jego zmianę? – Oczywiście jest to jedna z opcji, choć do sądu w Oświęcimiu nie mam żadnych zastrzeżeń – podkreśla. – Natomiast nie chcę przesądzać, czy do takiej sytuacji [wypowiedzi ministra Piebiaka] doszło, czy nie. Nie mam żadnych sprawdzonych informacji, że takie słowa padły – zastrzega.

W obliczu zarzutów z obu stron sporu, coraz słabiej brzmi głos prokuratury. W ostatnich miesiącach jej aktywność ograniczyła się do ogólnikowych komunikatów. Tajemnica postępowania przygotowawczego – to kluczowy termin, który sprawia, że wciąż mało wiemy o okolicznościach wypadku.

Co wiedzą śledczy?

Troje poszkodowanych, w tym premier. Kilkudziesięciu przesłuchanych świadków. Dwie ekspertyzy – jedna mówiąca o tym, że pojazdy były sprawne, i druga, rekonstruująca przebieg zdarzeń. To fakty. Reszta to przecieki i domysły.

Nie wiemy, jaki dokładnie zarzut usłyszał Sebastian K. Wiadomo, że zabezpieczono monitoring, ale co zarejestrowały kamery? Tego już śledczy powiedzieć nie mogą. Podobną odpowiedź słyszymy, gdy pytamy o kluczową kwestię: czy kolumna rządowa używała sygnałów dźwiękowych i zachowała odpowiednią odległość?

Świadkowie przed kamerami TVN24 mówili, że nie słyszeli żadnych syren. To trzeźwi alkoholicy, którzy wychodzili wtedy ze spotkania terapeutycznego AA. W obawie, że ich zeznania zostaną podważone, nie zgłosili się do prokuratury. Śledczy ostatecznie ich przesłuchali. Zeznawali w towarzystwie lekarza lub psychologa. Robi się tak wtedy, gdy istnieje wątpliwość co do stanu psychicznego świadka, jego stanu rozwoju umysłowego, zdolności postrzegania lub odtwarzania przez niego postrzeżeń. Co powiedzieli? Tajemnica.

A co zapisały rejestratory? Pozyskane dane objęte są tajemnicą i nie mogą być ujawnione – słyszymy. Na część z tych pytań ma odpowiedzieć opinia biegłych. Wiadomo, że były problemy z ich odczytem. Biegli ustalą też, którzy z uczestników dopuścili się naruszenia zasad bezpieczeństwa w ruchu lądowym oraz jakie to były zasady – tłumaczyła prokuratura.

Niezachowanie ostrożności przez 21-latkę – taką wersję zdarzeń mieli wskazać biegli. Ale to nieoficjalne ustalenia. Pokrywają się one w większości z tym, co wcześniej mówiła policja. Audi tuż przed zde-

rzeniem miało na liczniku ok. 55 km/h. Wciąż jednak nie wiadomo, jak dokładnie poruszała się kolumna i czy używała wszystkich wymaganych sygnałów.

Wiele więcej nie może też powiedzieć obrońca. Jaka jest wersja jego klienta? Czy kierowca seicento był poddawany jakimś naciskom? – Nie mogę odpowiedzieć – słyszymy niezmiennie.

Czy śledztwo trwa zbyt długo? Sprawy dotyczące wypadków komunikacyjnych nie należą do najłatwiejszych. Kluczowe są zwykle opinie biegłych. Zdaniem mec. Pocięja trwa ono „ponadprzeciętnie długo”. Ale zaznacza, że jego zdaniem nie bez powodu jest przedłużane – wszystko przez dodatkowe czynności, które zlecili śledczy.

Zła passa BOR

Przez ostatnie miesiące BOR wielokrotnie gościło na czołówkach mediów. Niestety, głównie za sprawą takich wydarzeń jak w Oświęcimiu. Kłopoty miał przecież i prezydent, i wicepremier Gowin. Na to wszystko nakłada się polityka, która w BOR była zawsze. W Biurze trwają zmiany, które otwarcie krytykują jego byli szefowie. Gen. Mirosław Gawor, oceniając zachowanie kierowcy premier, mówi wprost: gdyby puścił kierownicę i zamknął oczy, to naprawdę lepiej by zrobił. Dni BOR są policzone, zastąpi go Służba Ochrony Państwa. – Zawsze było tak, że BOR nie chciał iść do policji, a teraz policja przyszła do BOR-u i gasi światło – słyszymy od byłych funkcjonariuszy.

Czy kierowca Beaty Szydło przekroczył limit pracy w dniu wypadku? Co zmieniło się w BOR po wypadku? Na te pytania Biuro odpowiedzieć nie może. Tajemnica postępowania. Nieoficjalnie wiadomo, że po wypadku w samochodach ochrony pojawiły się kamery.

Wysoki rangą funkcjonariusz BOR: – To była wina naszego kierowcy. Powinni go ukarać i zabrać z za kierownicy. On tym samochodem nie umiał jeździć. Przyznać się do winy, dać odszkodowanie temu chłopakowi z seicento, wyremontować audi i zakończyć sprawę.

Śledczy mają dwie drogi: umorzenie lub akt oskarżenia. Według obrońcy Sebastiana K. sprawa jest otwarta. Jeśli potwierdzą się nieoficjalne informacje, śledczy zapewne skierują do sądu akt oskarżenia. Na razie milczą, także na temat ewentualnej kary, o jaką mogą wnioskować. 10 lutego minie rok od kraksy. Czy na pewno wtedy będziemy wiedzieli więcej? ©

RAFAŁ ZYCHAŁ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl.

ANNA

Dziewit-Meller:

Kiedy umrze ślonsko godka?



PONIŻSZY TEKST WYGŁOSIŁAM w ubiegły poniedziałek w Sejmie, podczas debaty w komisji nad ustawą o śląskim języku regionalnym. Ponieważ nikt z partii rządzącej się nie zjawił, może tą drogą zwrócić się do nich:

panie i panowie władzo – mamy sprawę. Niektórzy rzekliby, że my to również suweren, więc polecam serdecznej uwadze, jeśli łaska.

Długo nie wiedziałam, kim jestem. Mieszkając pomiędzy Śląskiem a Zagłębiem, godką a językiem polskim, klasą robotniczą a inteligencją, czułam, że coś mnie gniece, coś uwiera i że kiedyś trzeba będzie to ustalić. Ustalić, kim jestem.

Urodziłam się w domu równo podzielonym na pół – mama pniok albo inaczej echt Ślązaczka – prawdziwa, z pokoleń zanurzona w godce, w obyczaju, z chopionami, czyli prababkami chodzącymi w ludowych strojach, w czerwonych koralach na szyi, wyglądającymi przez okna familoków, niemal przyrośniętymi do fensterblatów, czyli parapetów, z chlewikami na placu, z zaginionymi pod ziemią, przysypanymi w kopalniach pradziadkami, z tradycją powstań śląskich, ze strachem śląskich kobiet, które obowiązywały nastoletnim córkom piersi, gdy szła przez te ziemie niosąca ponoć wolność Armia Czerwona, z kompleksami, że wychodzi z tego ludku prostego, co to wydaje na świat jedynie robotników.

Tata ptok, przyjezdny, choć już rodzony w Chorzowie – z rodziców lekarzy, z Polski, nie ze Śląska, z tradycjami, z wykształceniem, z pozycją społeczną, ze studiami w carskiej Rosji, z pensją dla panien w Warszawie i prababkami w drogich sukienkach. Na Śląsku przez przypadek – ze względu na nakaz pracy dla dziadków w szpitalu w Chorzowie.

A jednak Chorzów z mojego ojca uczynił Ślązaka, można powiedzieć: echt, choć w tym domu wydawać się to mogło niemożliwe. Śląski wirus dopadł go na podwórku kamienicy przy ulicy Wolności 95, wśród gizdów, pieronów i podciepów chorzowskich, którzy byli najlepszymi towarzyszami zabaw, w pachnącej kołoczem kuchni sąsiadki, do której przychodził po szkole, gdy rodzice nie wrócili jeszcze z dyżuru w szpitalu, w nastoletnim buncie wobec nich, gdy za wszelką ceną chcesz być inny niż oni.

Gdy pewnego razu, będąc jeszcze małym chłopcem, oświadczył swojej matce, że ożeni się wyłącznie ze Ślązaczką, ta zaśmiała się. Prosty ludek w rodzinie? A jednak stało się, jak zapowiedział, i słowo ciałem się stało, a to

ciało było moje i stanęło na rozdrożu i nie mogło zdecydować, kim jest.

Babcia Aniela godała do mnie, ale rodzice i dziadkowie ze strony taty wyłącznie mówili. Ślonsko godka weszła mi w krew, kiedy słuchałam, jak mówią ujki i ciotki, co przychodzili na klachy do babci, śląskie słowa tryskały wówczas jak fontanny, brzmiały w moich uszach zupełnie zwyczajnie, siednij się na ta ryczka, mosz tu od ujka bombony, chyba, że chcesz kołocz, a tu mosz dziółcha szolka tyju – słowa moje, słowa miłe, słowa nienacelowane w żaden sposób. A jednak – gdy wszystkie one, z właściwą dzieciom naiwną prostolinijnością, przenosiłam do domu drugich dziadków – nagle zmieniały się one w słowa skarłałe, brzydkie, nieprawidłowe. W prosty ludek.

Zajął mi wiele lat zrozumienie, że te słowa, ten język, ta kultura, ta historia wreszcie, inna od historii, którą znam ze szkoły, to moje dziedzictwo, które nie tylko niczego mnie nie pozbawia, jak usiłowano mi wmówić przez wiele lat szkolnej edukacji, gdy wyrwano z korzeniami elementy godki z naszych domowych słowników, ale dodaje mi, czyni mnie podwójną, mówiąc językiem księży – ubogaca mnie. Jestem Polką i jestem Ślązaczką, inaczej być nie może w przypadku tej mieszaniny genów, tradycji i kultur. Jestem wytworem pogranicza, stojącym na brzegu granicznej rzeki Brynicy, która oddziela od siebie moje dwie rodziny, które ja dziś łączę, choćby w swoich książkach, dając głos owemu prostemu ludkowi (tego słowa używam, rzecz jasna, z bolesną ironią).

Walka, którą usiłują toczyć ci, którzy mnie zaprosili do Sejmu, jest też i moją walką. Jak mówi językoznawczyni – profesor Jolanta Tambor – gdy była dzieckiem i wyłącznie godała, skutecznie wmówiono jej, że to wstyd. Ja – podobnie jak ona – w dorosłym życiu postanowiłam zwrócić się z powrotem w stronę tego, czego miałam się wstydić jako dziecko, bo – i tu znów sięgnę po słowa pani profesor – kiedyś Śląsk, Ślązaków i samą siebie zdradziłam.

Profesor Kadłubek użył niegdyś mocnych słów mówiąc, że mamy na Śląsku do czynienia z językowym apartheidem, ponieważ niedopuszczanie śląszczyzny do kultury wyższej, do aspiracji obywatelskich, jest wykluczeniem takim, jakim był apartheid w RPA. Losy tak wielu Ślązaków mogą być na to dowodem. Także w mojej rodzinie. Kiedy więc dziś widzę, jak w programach telewizyjnych w ogólnopolskich kanałach występują młodzi świetni ludzie – kucharze, tancerze – którzy do widzów ino godają, myślę, że wykonaliśmy ogromną pracę, by tu się znaleźć. By przestać się wstydić, by zacząć się szczyć.

Godka niewygodna dla Niemców, nieprzyjemna dla Polaków, a jednak wciąż trwa, a nawet wychodzi z katakumb, czy raczej z kopalnianych chodników. Dziś potrzebuje wsparcia – oficjalizacji, na którą czekamy.

Domagamy się zatem uznania jej za język, tak by móc wspierać jego trwanie, jego rozwój, aby móc cieszyć się tym świadomym zanurzeniem w naszej kulturze, która niczego Polski nie pozbawia, a jedynie ją – znów sięgnę do języka prymasów – ubogaca. Polska potrzebuje odrobiny różnorodności, potrzebuje spojrzenia szerszego, otwartego, bez strachu przed Innym, choćby ten Inny był tak mało inny, taki jak ja.

©

ZROBIŁEM, CO NALEŻAŁO

BP RAFAŁ MARKOWSKI:

Wydawało mi się, że słowo „przepraszam” nie powinno nikogo boleć w Jedwabnem – miejscu, w którym tak wielu ludzi straciło życie. Widocznie jestem zbyt optymistą.

IGNACY DUDKIEWICZ: „Ignorant”, „kłamca”, „Żyd”, „pseudobiskup”. Wie Ksiądz Biskup, o kim mowa?

BP RAFAŁ MARKOWSKI: Domyślam się.

To cytaty z komentarzy po Księdza ubiegłorocznej wizycie w Jedwabnem.

Cóż mogę odpowiedzieć? Zostałem wybrany przewodniczącym Komitetu ds. Dialogu z Judaizmem w polskim Episkopacie i pełniąc tę funkcję byłem tam, gdzie powinienem być w rocznicę mordu w Jedwabnem.

Zresztą, kiedy padła propozycja, bym przejął zadanie kierowania Komitetem po moich poprzednikach – abp. Henryku Muszyńskim, prymasie seniorze, abp. Stanisławie Gądeckim, przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski, i bp. Mieczysławie Ciśle, a są to osobowości szczególnie i znaczące – wcale nie byłem przekonany, czy to powinienem być ja. Wizyta w Jedwabnem była pierwszym i trudnym wyzwaniem, przed którym stanąłem. Jadąc tam, przygotowałem się bardzo starannie. Dlatego nie zgadzam się na nazywanie mnie ignorantem czy kłamcą.

Odpowiedź niby prosta, ale jednak po raz pierwszy w samym Jedwabnem z ust polskiego biskupa padło słowo „przepraszam”. To nie obecność Księdza w tym miejscu wzbudziła takie emocje, ale wypowiedziane słowa.

Kiedy tam przyjechałem i stanąłem, wewnętrznie i duchowo doznałem przekonania, że doświadczam miejsca, w którym dokonała się wielka ludzka krzywda. Nie jestem sędzią i nie zamierzam dokonywać osądu uczestników tego, co się wydarzyło w Jedwabnem. Zrodziło się we mnie jednak głębokie przekonanie, że za tę krzywdę trzeba po prostu przeprosić. Uczyniłem to w duchu nauczania Soboru Watykańskiego II, który w deklaracji „*Nostra aetate*” wyraził z ubolewaniem, że „Kościół oplakuje akty nienawiści, prześladowania, akty antysemityzmu, które kiedykolwiek i przez kogokolwiek kierowane były przeciw Żydom”. Uczyniłem to w imię nauczania kolejnych i współczesnych nam papieży, którzy wielokrotnie nawiązywali do dramatu Holokaustu. Wreszcie uczyniłem to w nawiązaniu do oświadczeń polskiego Episkopatu, szczególnie listu pasterskiego z okazji 25. rocznicy ogłoszenia „*Nostra aetate*”.

Moja wizyta i słowa nie były rewolucją, ale kontynuacją. Wydawało mi się, że słowo „przepraszam” nie powinno nikogo boleć w miejscu, w którym tak wielu ludzi straciło życie. Widocznie jestem zbyt daleko idącym optymistą i zachowuję zbyt dużą ufność w ludzką wrażliwość. Ale nie żałuję tego i na pewno tej ufności nie utracę.

Oberwało się Księdzu Biskupowi nie tylko od anonimowych hejterów, ale też od części dziennikarzy, również

tych bliskich Kościołowi. Nie spodziewał się Ksiądz takich reakcji?

Wiedziałem, że to, co uczynię w Jedwabnem, będzie różnie przyjmowane i interpretowane. Nie byłem zaskoczony różnorodnością ocen. Niekiedy zaskakiwała mnie uszczypliwość i brak delikatności w odniesieniu do tak wielkiego dramatu. Przecież to nie chodzi o mnie, lecz o ludzi, którzy tam stracili życie. Ale nie chcę się na tym skupiać. Zrobiłem to, co należało uczynić. Zrobiłem to jako człowiek, kapłan i biskup.

Niechęci czy nierozumienia można było się spodziewać, skoro z różnych badań wynika, że większość z nas denerwuje, gdy wciąż mówi się o zbrodniach popełnianych przez Polaków na Żydach.

Fakty historyczne pozostają jednak faktami. A o historii trzeba pamiętać, bo kształtuje ona również nasz współczesny świat. II wojna światowa była nie tylko największym dramatem w historii całej ludzkości, ale również niesłychaną tragedią narodu żydowskiego. Po raz pierwszy w dziejach podjęto plan eksterminacji i zagłady całego narodu. Tego nie było wcześniej w światowej historii wojen i konfliktów. I o tym nie można zapominać, nie można tego lekceważyć. A skoro tak, to nie można też zapomnieć o poszczególnych przypadkach ludzkiej krzywdy, której Żydzi doznali w trakcie II wojny świa-



BISKUP RAFAŁ MARKOWSKI jest przewodniczącym Rady Konferencji Episkopatu Polski ds. Dialogu Religijnego oraz Komitetu ds. Dialogu z Judaizmem. W latach 1987-93 był prefektem w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym w Warszawie. Były dyrektor Radia Józef oraz były rzecznik prasowy Archidiecezji Warszawskiej. Od 2013 r. biskup pomocniczy Archidiecezji Warszawskiej.

towej – nie tylko ze strony Niemców. Nie obrażamy się na historię, tylko wyciągamy z niej wnioski. Bo dziś świat także nie jest wolny od konfliktów i wojen.

Czy antysemityzm, specyficznie zmieszany z islamofobią, podnosi dziś w Polsce głowę?

Co ma pan na myśli?

Na przykład hasła wznoszone podczas ostatniego Marszu Niepodległości, odnoszące się do rasy, czystości krwi i sugerowania całym grupom, że – delikatnie rzecz ujmując – nie są mile widziane w Polsce.

Nie umiem ocenić, czy są to wydarzenia tylko marginalne, czy jest to stała tendencja. Niezależnie od tego, należy im się jasno i wyraźnie sprzeciwić. Można do tego posłużyć się choćby cytatami z dokumentu Rady Episkopatu ds. Społecznych na temat chrześcijańskiego rozumienia patriotyzmu. To te treści są reprezentatywne dla stanowiska Kościoła, czyli przekonania, że miłość do ojczyzny nigdy nie powinna być skierowana przeciwko komukolwiek. Część tego, co wydarzyło się 11 listopada na polskich ulicach, z pewnością jest przejawem nacjonalizmu, który nie powinien mieć miejsca.

Wzrost liczby ataków i wypowiedzi rasistowskich czy islamofobicznych jest jednak faktem. I to pomimo tego, że oficjalne nauczanie Kościoła i papieży jest w tej sprawie jasne: rasizm, antysemityzm i islamofobia są grzechem.

To, że rasizm czy antysemityzm są grzechem, jest ewidentne. Nie jest jednak łatwo powiedzieć o tym w obecnych czasach, które są bardzo wymagające dla osób przekonanych o wartości tego bogactwa, jakie przynosi różnorodność świata. Musimy starać się tę wartość pokazywać, uczyć radzić sobie z różnorodnością bez wrogości, a także edukować. Edukować, by unikać złe pojętego patriotyzmu czy niebezpiecznego nacjonalizmu. Postawy o charakterze →

*Biskup Rafał Markowski,
Warszawa, kwiecień 2014 r.*

→ rasistowskim wynikają często z niewiedzy oraz nieznamości ludzi i kultur.

Dobrze to widać na przykładzie islamofobii – nie znamy islamu, postrzegamy go w sposób uproszczony i wypaczony. Trudno się temu dziwić również wtedy, gdy muzułmanów w Polsce jest tak niewiele – to uprzedzenie skierowane wobec nieobecnych. A niewiedza zawsze służy kształtowaniu postaw wrogości i strachu.

Może więc jako Kościół ponieśliśmy porażkę, skoro nie dotarliśmy z chrześcijańskim przesłaniem na ten temat do tak wielu Polek i Polaków?

Przeżywamy przede wszystkim z obrazem kreowanym przez media. Wielu ludzi uwierzyło w kształtowany przez nie wizerunek uchodźców jako zagrożenia. W takiej sytuacji liczne propozycje Kościoła, pomysły na to, jak pomóc uchodźcom, wypowiedzi kardynała Kazimierza Nycza czy biskupa Krzysztofa Zadarki, okazały się wołaniem na puszczy.

To chyba zbyt proste. Bo czy na pewno jako Kościół zrobiliśmy wszystko, co można było, by przekonać wiernych do większej otwartości na uchodźców?

Zawsze można zrobić więcej. Ale wydaje mi się, że wykorzystaliśmy wszystkie możliwości organizacyjne i instytucjonalne, by zorganizować jak najlepszą pomoc dla ofiar wojny w Syrii – na przykład poprzez dzieła Caritas. Trudno było zrobić więcej w przypadku braku współpracy ze strony państwa. I skoro rząd ma swoje stanowisko w tej sprawie, to Kościół wykorzystuje te możliwości, które leżą w jego gestii.

BP RAFAŁ MARKOWSKI:

Wielu uwierzyło w kształtowany przez media i polityków wizerunek uchodźców jako zagrożenia. Liczne propozycje Kościoła, jak im pomóc, okazały się wołaniem na puszczy.

Wszystkie? To dlaczego Episkopat wciąż nie napisał do wiernych listu pasterskiego w tej sprawie?

Listy pasterskie Episkopatu są ważne, mają swoją rangę. Kluczowe jest jednak to, żeby podejmować działania w ramach poszczególnych diecezji i parafii. Zgodzę się, że pewnie nie wszystkie możliwości w tej przestrzeni wykorzystano, że można było jeszcze więcej o tym mówić. Ale sytuacja społeczna jest bardzo trudna i argumentacja Kościoła, wywiedziona wprost z Ewangelii, napotyka na opór formułowany przez dziennikarzy oraz polityków. Także księża nie są wolni od jej oddziaływania – kapłani przecież słuchają mediów, polityków, czytają, co się pisze na temat uchodźców. Mają prawo ulegać sugestiom. Nie mam więc jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, co powinien był zrobić i co jeszcze może zrobić Kościół. Poza tą podstawową prawdą: być wiernym Ewangelii, głosić, „że byłem głodny, a daliście mi jeść...”, i wspierać nauczanie papieża Franciszka, który także

spotyka się z nieufnością i powierzchowną krytyką.

Przy okazji organizowania obchodów Dnia Judaizmu w Kościele katolickim – w tym roku przypadły na 17 stycznia – powiedział Ksiądz, że Kościół musi być otwarty na inne religie. Ktoś mógłby zapytać: po co to nam w tak monoetnicznym społeczeństwie?

Rozpatrywanie tego w tych kategoriach to pułapka. Potrzeba otwartości na inne religie dotyczy nie tylko Kościoła w Polsce, ale świata – ludzkość potrzebuje dialogu, zrozumienia i poznawania się przedstawicieli różnych wyznań. Intensyfikująca się migracja sprawia, że do tego zetknięcia i tak dojdzie. Należy zrobić wszystko, by to zetknięcie przerodziło się w prawdziwe spotkanie z drugim człowiekiem – innym, ale nie obcym.

Czy dla chrześcijanina w ogóle powinna istnieć taka kategoria jak „obcy”?

Nie powinna. Siła chrześcijaństwa polega na tym, że jest ponad wszelkimi cywilizacjami, kulturami, ideologiami i poglądami politycznymi, że jest skierowane do ludzi wszystkich czasów. Na tym polega niezwykle uniwersalizm chrześcijaństwa i powszechność Kościoła. Żaden człowiek nie jest obcy, każdy jest współbratem, dzieckiem Bożym, który przynależy do jednej rodziny. Bóg zaś pragnie zbawienia całej rodziny ludzkiej.

Rodziny, której brakuje pokoju, o którym Ksiądz Biskup mówił? To dlatego hasło tegorocznego

Polscy biskupi o zagładzie Żydów

MIMO TAK LICZNYCH heroicznych przykładów pomocy ze strony chrześcijan byli i tacy, którzy pozostali obojętni na tę niepojętą tragedię. Szczególnie boleję nad tymi spośród katolików, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do śmierci Żydów. Pozostaną oni na zawsze wyrzutem sumienia także w wymiarze społecznym. Choćby tylko jeden chrześcijanin mógł pomóc, a nie podał pomocnej ręki Żydowi w czasie zagrożenia lub przyczynił się do jego śmierci, każe to

nam prosić nasze Siostry i Braci Żydów o przebaczenie.

■ List pasterski z okazji 25. rocznicy ogłoszenia soborowej deklaracji „*Nostra aetate*”, 30 listopada 1990 r.

MOTTO NASZEGO OBECNEGO zgromadzenia brzmi: „Modlitwa Episkopatu Polski za pomordowanych w Jedwabnem i w innych miejscach”. Chcemy, jako pasterze Kościoła w Polsce, stanąć w prawdzie przed Bogiem i ludźmi, zwłaszcza przed naszymi żydowskimi braćmi i siostrami, odnosząc

się z żalem i skrucą do zbrodni, która w lipcu 1941 r. wydarzyła się w Jedwabnem i gdzie indziej. Jej ofiarami stali się Żydzi, zaś wśród sprawców byli także Polacy i katolicy, osoby ochrzczone. (...) Boleję głęboko nad postępowaniem tych, którzy w ciągu dziejów – szczególnie w Jedwabnem i innych miejscach – przysporzyli Żydom cierpień, a nawet zadali im śmierć. Odnosimy się do tej zbrodni także dlatego, abyśmy mogli owocnie podjąć odpowie-

dzialność za przewyżczanie wszelkiego zła występującego dzisiaj. Wsłutek „oczyszczania pamięci” staje się dla nas trudnym zadaniem „oczyszczania sumień”. Podejmujemy to zadanie i raz jeszcze potępiamy wszelkie przejawy nietolerancji, rasizmu i antysemityzmu, o których wiadomo, że są grzeszne.

■ Wprowadzenie bp. Stanisława Gądeckiego do liturgii pokutnej w warszawskim kościele Wszystkich Świętych, 27 maja 2001 r.

Dnia Judaizmu brzmi: „Pokój! Pokój dalekim i bliskim”?

Świat ogromnie potrzebuje tego wezwania i opamiętania. Izajasz napisał te słowa, gdy niewola babilońska dobiegała końca – jego słowa były zapowiedzią pokoju, dobrobytu i szczęścia dla narodu wybranego: dla bliskich, którzy przebywali wtedy w Jerozolimie, i dla dalekich, którzy byli rozproszeni po świecie. To wezwanie brzmiało niezwykle dramatycznie w trakcie II wojny światowej i brzmi też dramatycznie dziś – w czasie, gdy tak wielu ludzi ginie z powodu wojny, nienawiści, przemocy, i opuszczają swoje domy. Owi „dalecy i bliscy” oznaczają po prostu wszystkich – takie przesłanie ma dla świata zarówno judaizm przez swoją szczególną historię przymierza z Bogiem, jak i chrześcijaństwo. Chcemy razem przypominać światu o tym pragnieniu i potrzebie.

Dobrze, że to wołanie rozlegać się będzie w Warszawie, pozostającej miejscem, gdzie wołanie o pokój ma niezwykle wymowną symbolikę. To miasto doświadczyło terroru, okupacji, cierpienia i śmierci. Doświadczał ich naród żydowski, zwłaszcza w getcie, i naród polski – na przykład na Pawiaku.

Co jednak zrobić, żeby z owym przesłaniem pokoju i braterstwa, a także z zachętą do spotkania z judaizmem, do przyjrzenia się mu i odnajdywania w nim siebie – dotrzeć nie tylko do już przekonanym?

Aby tak się stało, musimy dbać o to, by ten apel rozlegał się nie raz do roku, ale realizował się w codziennej praktyce przybliżania bogactwa judaizmu i przypominania o dziedzictwie ludności żydowskiej, która przez całe wieki była obecna w Polsce. Musimy pokazywać, że judaizm pielęgnuje wiele wartości bliskich katolikom. Powinniśmy też otaczać szacunkiem i pamięcią wszelkie miejsca, które są pamiątką obecności Żydów na terenie Polski. Dobrym przykładem są cmentarze żydowskie, które domagają się pielęgnowania. Jeśli będziemy to robić na co dzień, to dotrzemy z przesłaniem Dnia Judaizmu naprawdę szeroko i naprawdę do serc.

Czyli po prostu „róbmy swoje”? Tylko i aż tyle?

I poznawajmy się nawzajem. Wiedza jest nam absolutnie niezbędna do tego, by budować postawę rzeczywistej otwartości. To brzmi jak slogan, ale naprawdę dopiero wiedza i poznanie pozwalają nawiązywać prawdziwe relacje. ©

Rozmawiał IGNACY DUDKIEWICZ

Jazda z zaciągniętym hamulcem

JÓZEF MAJEWSKI I MACIEJ MÜLLER

Wydarzenia ekumeniczne ubiegłego roku, w którym obchodziliśmy 500-lecie reformacji, nie pozostawiają złudzeń: ekumenizm, przynajmniej ten z udziałem Kościoła katolickiego, znalazł się w stanie zawieszenia.

WYPOWIEDZI, SPOTKANIA, DIALOGI i nabożeństwa miały w gruncie rzeczy na celu podtrzymanie ruchu ekumenicznego, ale niewiele konkretnych z nich wynika. Rytualnie przypomina się osiągnięcia dialogów, powtarza, że wiele pozostaje do zrobienia, zaklina, że nie ma odwrotu, wzywa do modlitwy, podkreśla, jak to wzajemnie się wzbogacamy – ale w kotle wciąż jest ta sama zupa i nie robi się gęstsza. Jedność pozostaje gdzieś daleko za horyzontem.

W dyskusjach coraz częściej akcentuje się znaczenie nowych form jedności: ekumenizm miłosierdzia, ekumenizm męczeństwa, ekumenizm zaangażowania społecznego czy kultury. To oczywiście zjawisko korzystne, tyle że na wokandzie cichną jednocześnie zagadnienia doktrynalne, tradycyjnie najbardziej angażujące uczestników dialogu. A tym samym mgłą zachodzi cel: wspólna Eucharystia.

Wspólnie wyznajemy...

Ruch ekumeniczny liczy już ponad wiek i jego osiągnięcia są niewątpliwe. Doprowadził do powstania w 1948 r. Światowej Rady Kościołów, do której należy dziś 348 wspólnot. Kościół katolicki nawiązał z nią współpracę po Soborze Watykańskim II, wnosząc w ekumenizm niebywały entuzjazm. Soborowy Dekret o ekumenizmie „*Unitatis redintegratio*” bez ogródek stwierdzał, że podział między chrześcijanami sprzeciwia się woli Chrystusa, jest zgorszeniem dla świata i szkodzi głoszeniu Ewangelii. Kościół katolicki prowadzi dziś dialogi z trzynastoma Kościołami i związkami Kościołów. Ich efektem było wiele uzgodnień i deklaracji – koniec końców jednak nie osiągnął jedności z żadnym innym Kościołem.

Do największego osiągnięcia w ekumenizmie doszło w 1999 r. „Wspólnie wyznajemy: tylko z łaski i w wierze w zbawcze działanie Chrystusa, a nie na podstawie naszych zasług zostajemy przyjęci przez Boga” – głosiła „Wspólna deklaracja ws. nauki o usprawiedliwieniu” podpisana przez Kościół katolicki i Światową Federację Luterancką. Spór o to, co czyni człowieka godnym zbawienia (łaska? uczynki?), ciągnął się od czasów Marcina Lutra. „Dziękujemy Panu za ten decydujący krok ku przezwyciężeniu rozłamu” – cieszyli się sygnatariusze. Wydawało się, że jedność katolików i protestantów jest na wyciągnięcie ręki, że wspólnymi siłami obalono największą barierę na drodze do wspólnej Eucharystii.

I wtedy Kościół katolicki zaciągnął hamulec.

Przypadkowe twory

Po prawdzie – głosy sprzeciwu zabrzmiały po obu stronach. Wskazywano na pięknoduchostwo i niejednoznaczności zawarte w Deklaracji, punktowano, że zgoda w sprawie nauki o usprawiedliwieniu nie przekłada się na konsensus w innych kwestiach. Chodziło przede wszystkim o wizję Kościoła: protestanci nie znają czegoś takiego jak urząd nauczycielski.

Rok po podpisaniu Deklaracji po związanym z nią optymizmem nie było już śladu, a watykańska Kongregacja Nauki Wiary, kierowana przez kard. Josepha Ratzingera, wydała słynną deklarację „*Dominus Iesus*”, która odmówiła wspólnotom protestanckim miana autentycznych, prawdziwych Kościołów. Podkreślano przede wszystkim brak sukcesji apostoelskiej, czyli nieprzerwanego od czasów Apostołów ciągu biskupów. W wywiadzie udzielonym „Frankfurter” →



Papież Franciszek wraz z patriarchą Karekinem II, katolikiem wszystkich Ormian, podlewają sadzonkę drzewa podczas spotkania ekumenicznego w Erywaniu, czerwiec 2016 r.

→ „Allgemeine Zeitung” Ratzinger poszedł jeszcze dalej, nazywając wspólnoty protestantów „przypadkowymi twórcami historycznymi”.

Fatalnego wrażenia nie zmyły słowa Jana Pawła II, który przekonywał, że „jeśli dokument ten wraz z Soborem Watykańskim II głosi, że »jedyny Kościół Chrystusowy trwa w Kościele katolickim«, nie zamierza przez to umniejszać roli innych Kościołów i wspólnot kościelnych”. Papież twierdził, że „*Dominus Iesus*” wyraża „tę samą pasję ekumeniczną, która leży u podstaw encykliki »*Ut unum sint*« (1995 r.)”. Mimo wszystko jednak nie wyraża – i do dziś straszy.

Na ostrzu noża

Nauczanie „*Dominus Iesus*” oraz brak możliwości wspólnego celebrowania Eucharystii (protestanci nie przechenowali – tłumaczyła Deklaracja o ekumenizmie – „właściwej i całkowitej rzeczywistości eucharystycznego misterium, głównie przez brak sakramentu kapłaństwa”)

spowodowały trwający od dwóch dekad kryzys dialogu ekumenicznego. Mówił o nim już w 2001 r. kard. Walter Kasper, przewodniczący Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan, zaznaczając przy tym: „Termin »kryzys« rozumiem tu (...) jako sytuację, w której sprawy są nierozstrzygnięte i pozostają na ostrzu noża”.

Kard. Kasper starał się scharakteryzować trwający okres przejściowy. Zauważył, że o ile w „*Tertio millennio adveniente*” (1994 r.) Jan Paweł II wyraził nadzieję, iż do roku 2000 przybliżymy się do komunii z Kościołami prawosławnymi, to po Jubileuszu – w „*Novo millennio ineunte*” – był ostrożniejszy, pisząc, że wciąż jeszcze czeka nas „długa droga”. Czas entuzjazmu ekumenicznego minął.

Kolejny problem według Kaspera to uwypuklenie sprawy tożsamości w dzisiejszej kulturze. „Kim jesteśmy? W jaki sposób możemy uniknąć wchłonięcia przez anonimową większą całość? (...) W tym kontekście ekumenizm często jest oskarżany o znoszenie tożsamości wyznaniowej i wprowadzanie na drogę arbitralnego pluralizmu”.

Trzecim wskazanym zjawiskiem są poważne podziały wewnątrz samych Kościołów – niekiedy nie mniej znaczące niż zewnętrzne. W Kościele katolickim to np. stosunek do samego ekumenizmu, mszy trydenckiej, do Soboru Watykańskiego II, komunii dla rozwiedzionych, do antykoncepcji i *in vitro*, do sprawy uchodźców czy

do... papieża Franciszka. Kościoły protestanckie są rozrywane przez takie problemy, jak ordynacja kobiet i jawnych homoseksualistów, biskupia konsekracja homoseksualistów czy podejście do kwestii bioetycznych.

Istotną nową przeszkodą na drodze do jedności chrześcijan stały się kwestie etyczne właśnie, dotychczas pomijane w dialogach ekumenicznych. Etyka jawi się jako problem dużo trudniejszy niż doktryna i bardziej „podziałogenny”. Różnice teologiczne można prędzej czy później sprowadzić do wzajemnie się dopełniających „uprawnionych różnic”. W sferze etycznej to niemożliwe: dopuszczenie i sprzeciw wobec aborcji wykluczają się, a nie dopełniają.

I wreszcie – przyczyną zastoju w ekumenizmie jest dystans czasowy do Soboru. Dla pokolenia kard. Kaspera ekumenizm był nowym doświadczeniem, dla współczesnych katolików jest oczywistością. A właściwie gorzej: jest hasłem, które kojarzy się z czymś teoretycznym, nieangażującym. Tymczasem, jak mówił niedawno w „Tygodniku Powszechnym” abp Grzegorz Ryś, ekumenizm leży w samym centrum tożsamości chrześcijańskiej i wymusza pytanie: „jak my dzisiaj przeżywamy doświadczenie podziałów. Czy widzimy swoją winę, jeśli nie robimy nic, aby je przezwyciężyć?”. Ekumenizm to nie opcja, to obowiązek.

Kard. Kasper z kolei zauważa: „Wyrośli nowe pokolenie katolików i młodych księ-



MACIEJ MÜLLER będzie gościem Grzegorza Chłasty w środę 17 stycznia

o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

ży, którzy (...) nie rozumieją w gruncie rzeczy, co, jak i dlaczego uległo zmianie. (...) Wielu nie wie, o co w ogóle chodzi w doktrynie katolickiej lub protestanckiej i na czym polegają różnice. Ludzie często mają tylko powierzchowną i niespójną wiedzę, zaczerpniętą z mediów”.

Schizma facebookowa

Dużą rolę odgrywają przemiany religijności związane z rewolucją technologiczno-medialną. W ich efekcie tradycyjne autorytety lądują na marginesie, religijność decentralizuje się, demokratyzuje, komercjalizuje i przyjmuje postać eklektyczną. Traci na wartości argumentacja racjonalna, rośnie znaczenie emocji. O ile w religiach tradycyjnych komunikacja miała charakter wertykalny i jednolity, to w erze Facebooka przekaz jest horyzontalny i poddawany nieskończonym obróbkom. Religia traci swój obiektywny status, stając się sprawą przekonań i preferencji.

Dlatego internet raczej nie jest szansą dla ekumenizmu; pozornie daje wiele narzędzi do jego promowania, jednak specyfika mediów społecznościowych, w których – jak wykazało już wiele badań – mamy tendencję do odcinania się od poglądów innych niż własne, nie sprzyja budowaniu „jedności w różnorodności”.

W meandrach ekumenizmu porusza się dzisiaj, a raczej gubi, młode pokolenie. Oznacza on dla wielu z nich nudny i niedostrzegalny element tła. O ile dzieci Soboru „zadawały pytania” (jak głosił tytuł kanonicznej książki, w której kato-

liccy intelektualiści rozliczali polski Kościół z wdrażania nauk Soboru), to wnuki nie bardzo rozumieją i nawet nie chcą rozumieć, o co chodzi w dogmatycznym przeciąganiu liny między Kościołami.

Ku jednej Eucharystii

Czy czeka nas więc niekończący się, frustrujący, bezowocny kryzys ruchu ekumenicznego? „Pozostawiliśmy za sobą dawną wrogość i obojętność, odkryliśmy braterstwo wszystkich chrześcijan (...). Musimy jednak wystrzegać się projektowania abstrakcyjnych modeli jedności, które prowadzą tylko do nowych rozczarowań” – ostrzegał kard. Kasper.

Problemów, które dzielą chrześcijan, nie da się wyeliminować zza biurka, poznając inne Kościoły i ich doktrynę z książek, choćby były to dzieła najwybitniejszych teologów. Nie wystarczą też rozmowy ekspertów. Autentyczny dialog potrzebuje wzajemnego dopuszczenia się do udziału w swoich doświadczeniach przeżywania wiary, jest on przecież „nie tylko wymianą myśli, ale zawsze w jakiś sposób »wymianą darów«” – podkreślał Jan Paweł II w „*Ut unum sint*”. Do tego potrzebna jest zgoda na jakąś formę niepełnej, ale realnie odczuwalnej jedności między Kościołami.

Takie rzeczy już się dzieją – żeby wymienić tylko wspólnotę ekumeniczną w Taizé i organizowane przez nią spotkania młodych czy wspólnoty Chemin Neuf, skupiające katolików, luteranów, kalwinów i prawosławnych. Tacy publicyści jak prof. Thomas Reese SJ wskazują z kolei, że eku-

menizm wysokiej próby wykuwa się nie w debatach teologów, ale w mieszanych małżeństwach, stojących wobec wyzwań związanych z wychowaniem dzieci (w jakim duchu? gdzie je prowadzić na katechezę?) i modlitwą (według jakiej tradycji?). Małżonkowie prędzej osiągną naturalną zgodę i jedność niż teolodzy zapatrzeni w doktrynę. Tym bardziej, że ci ludzie świeccy, zniecierpliwieni zastojem oficjalnego dialogu, bywają też gotowi na swoiste nieposłuszeństwo, związane np. z uczestnictwem w sakramentach „tego drugiego” Kościoła. „Pary małżeńskie są już połączone sakramentalną miłością, w której odbija się jedność Chrystusa i Jego Kościoła; powinny też mieć możliwość, by zjednoczyć się w Eucharystii” – wzywa Reese.

Warto tu postawić pytanie, czy nie powinniśmy przestać patrzeć na Eucharystię jak na cel, a zacząć jak na drogę do jedności. Katolicy wchodzą tu w te same koleiny, jak w przypadku komunii: w katechezie i popularnym duszpasterstwie na ogół traktuje się ją jako nagrodę za dobre sprawowanie, a nie jako pokarm na drogę. Wspólne dziękczynienie Bogu za to, że przychodzi do nas pod postaciami eucharystycznymi, jest istotniejsze niż zgoda co do tego, na czym dokładnie polega przeistoczenie – wskazuje nie bez ironii Reese.

Doświadczenie wspólnej Eucharystii może poskutkować tym, że osiągnięcie konsensusu przez teologów znowu będzie na wyciągnięcie ręki. ©P

JÓZEF MAJEWSKI, MACIEJ MÜLLER

Papieża a ekumenizm

BENEDYKT XVI – w duchu deklaracji „*Dominus Iesus*”, którego jest autorem – jakkolwiek w wielu wystąpieniach podkreślał konieczność dążenia do jedności chrześcijan (a nawet nazwał Lutra wspólnym nauczycielem wiary katolików i protestantów), to jednak konsekwentnie trzymał się podziału na Kościoły (katolicki i prawosławny) oraz wspólnoty wyznaniowe. Skutkowało to „zwrotem na Wschód” – służyło dialogowi z prawosławiem, ale utrudniając relacje z protestantyzmem.

Za pontyfikatu Franciszka nie doszło jak dotąd do przełomu w relacjach ekumenicznych, choć trzeba odnotować jego uczestnictwo w obchodach 500-lecia reformacji w Lund w Szwecji, na co – jak się zdaje – Benedykt XVI raczej by się nie zdecydował. W ekumenicznym nabożeństwie nie brakło ordynowanych kobiet. Papież konsekwentnie w przemówieniach do luteranów określa się jako „biskup Rzymu”, co stanowi istotny gest w kontekście problemu prymatu papieża, jednego z najważniejszych w dialogu ekumenicznym. Kontynuując z kolei politykę Benedykta XVI, Franciszek spotkał się w lutym 2016 r. na Kubie z patriarchą mo-

skiewskim Cyrelem; wydarzenie to okrzyknięto „historycznym”, a papież wielokrotnie powtarzał: „jesteśmy braćmi”.

Protestanci: wspólnota Stołu

W 1973 r. 45 Kościołów luteranckich, reformowanych i zjednoczonych z Europy podpisało Konkordię Leuenberską, na mocy której Kościoły te, opierając się na wspólnym rozumieniu Ewangelii, „służą sobie wzajemnie wspólną Stołą Pańską i kazalnicy”. W 1991 r. Kościół Anglii oraz Kościoły

ewangelickie Niemiec sygnowały Deklarację z Miśni, ustanawiającą między nimi wspólnotę eucharystyczną. Rok później cztery Kościoły anglikańskie z Wysp Brytyjskich i sześć luteranckich z północy Europy podpisało Porozumienie z Porvoo, zgadzając się na wzajemne sprawowanie posługi duszpasterskiej oraz sakramentu Wieczerzy Pańskiej. Uznały też konieczność wprowadzenia u siebie sukcesji apostołskiej poprzez udział w konsekracjach biskupów zachowujących tę sukcesję. Konkordia Leuenberska, Deklaracja z Miśni i Porozumienie z Porvoo to najważniejsze uzgodnienia w dziejach ekumenizmu. ©P

JM, MAM

Zagrożona adopcja

KATARZYNA PIOTROWIAK

Od pięciu lat katolickie ośrodki adopcyjne walczą o byt. Pomóc im może nowelizacja ustawy o wsparciu rodziny i systemie pieczy zastępczej.

KIEDY PIERWSZA Z MATEK CHCIAŁA oddać dziecko, duchowny zaczął odwiedzać parafie, dyskretnie wypytywać, czy znaleźliby się chętni na adopcję. Takie były początki Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego i Opiekuńczego w Opolu – jednego z dziesięciu istniejących w kraju. Powstał on rok po założeniu w tym mieście katolickiego domu matki i dziecka. – W 1993 r. otrzymaliśmy od władz miasta hotel robotniczy na ten cel – wspomina ks. Jerzy Dzierżanowski, dyrektor Diecezjalnej Fundacji Ochrony Życia prowadzącej ośrodek adopcyjny.

W pierwszym roku przeprowadzono kilka adopcji, później średnio 40-50 rocznie, po 2012 r. ich liczba spadła do ok. 25-30 na rok. Obecnie 48 par czeka na pierwsze dziecko, a 24 pary na drugie.

Katolickie ośrodki adopcyjne są prowadzone przez diecezje, Caritas, Stowarzyszenie Rodzin Katolickich, Towarzystwo Jezusowe. Mają status ośrodków niepublicznych. Najstarszy z nich powstał w 1989 r. w Łodzi. Do 2012 r. funkcjonowało w Polsce dwadzieścia takich ośrodków. Ta liczba systematycznie topnieje. Ich byt jest obecnie zagrożony.

Nie tylko katolik

– Większość par, pytana o powód zgłoszenia się do naszego ośrodka, podaje, że zależało im, by był to ośrodek katolicki – tłumaczy Barbara Słomian, dyrektor ośrodka adopcyjnego w Opolu.

Choć katolickie ośrodki adopcyjne preferują małżeństwa sakramentalne, nie należy tego traktować jako bezwzględного wymogu. Ks. Grzegorz Koss, dyrektor Diecezjalnego Centrum Służby Rodzinie i Życiu w Sosnowcu, które prowadzi Diecezjalny Ośrodek Adopcyjny, zauważa: – Katolik? Nie jest to wymóg, który decyduje o moż-

liwości przygotowania do adopcji w naszym ośrodku. Funkcjonujemy w ramach porządku prawnego, określonego przez ustawę o wspieraniu rodziny i, jak każdy ośrodek, temu prawu podlegamy.

Zgodnie z prawem kandydatem na rodzica adopcyjnego może zostać małżeństwo lub osoba samotna niepozostająca w związku małżeńskim.

Ks. Koss dodaje, że choć ośrodki katolickie opierają swoją działalność na jasno określonym systemie wartości, to nie przekreślają z góry osób, które zaniedbują praktyki religijne. – Małżonkowie określający się jako niewierzący nie zostają tak po prostu odesłani z kwitkiem. Zdarza się, że do ośrodka zgłaszają się osoby przyznające, że są katolikami, ale z wiarą w wymiarze praktycznym mają trochę na bakier. Zawsze z nimi rozmawiamy i jeśli widzimy, że są gotowe zaakceptować proponowany przez nas program przygotowania zawierający elementy religijne, to przygotowanie rozpoczynają u nas – mówi ks. Koss.

Ks. Dzierżanowski dodaje, że zwykle osoby niewierzące, które wybierają ośrodek katolicki, tłumaczą, iż kierują się opinią o ośrodku i nie odzégnują się od wychowania katolickiego. – Oczywiście tłumaczymy im, że prowadzimy warsztat religijnego wychowania, a oni z tego korzystają. Jeśli wszystkie inne kryteria są spełnione, nie robimy problemów.

Duchowni podkreślają, że dla niektórych par adopcja w ośrodku katolickim stanowi okoliczność sprzyjającą nawróceniu, a ośrodek w pewnym sensie spełnia misję ewangelizacyjną. – Znam dwie pary niewierzące, które systematycznie przyjeżdżają na organizowane przez nas dwa razy do roku zjazdy rodzin adopcyjnych, gdzie punktem centralnym jest zawsze msza – mówi ks. Dzierżanowski.

To dotyczy również par, które nie mają ślubu kościelnego. Ośrodki katolickie nie ukrywają jednak, że para bez sakramentu małżeństwa powinna się liczyć z pytaniem: „dlaczego?”.

– Chcę jednak zaznaczyć, że to nikogo nie dyskwalifikuje, bo i w naszym ośrodku zdarzały się śluby – mówi Magdalena Lesiak, dyrektor Archidiecezjalnego Ośrodka Adopcyjnego w Łodzi oraz prezes powołanego niedawno Stowarzyszenia Katolickich Ośrodków Adopcyjnych.

Są też pary mieszane, np. katolicko-ewangelickie. – Mieliliśmy ewangelików, także mariawitów za zgodą biskupa – opowiada Lesiak.

Trudne czasy

W 2012 r., po wejściu w życie ustawy o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej, niektóre katolickie ośrodki adopcyjne zaczęły znikać. – Nie miały wymaganej liczby procedur adopcyjnych, więc nie spełniały warunku dalszego istnienia





KSENIJA GLAZKOVA / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

– mówi Lesiak. – Od ośrodków publicznych wymagano tylko dziesięciu procedur w ciągu roku, natomiast od niepublicznych minimum 20. Jeżeli któryś z naszych ośrodków miał ich kilkanaście, to samorządy województw nie podpisywały z nimi umów – dopowiada.

Jej zdaniem ustawa wprowadziła niesprawiedliwy wymóg. – Powinno być odwrotnie, bo ośrodki niepubliczne w oparciu o swoje niewielkie dochody, mniejszą liczbę pracowników, mniej etatów, pracę w gorszych warunkach lokalowych, i tak miały sporo adopcji – mówi Lesiak.

Wspólnie zmagać się z problemami jest łatwiej. Dlatego dziewięć ośrodków założyło Stowarzyszenie Katolickich Ośrodków Adopcyjnych. W październiku 2016 r. inicjatywa uzyskała akceptację Konferencji Episkopatu Polski. Pod koniec tamtego roku przedstawiciele Stowarzyszenia spotkali się z przedstawicielami Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. – W ministerstwie obiecywano nam, że katolickie ośrodki adopcyjne przetrwają, że planują zmiany. Jednak przez ten rok nic się nie wydarzyło. Czekamy – mówi Lesiak.

Stowarzyszenie chce wypracowania systemowych rozwiązań, które pozwoliłyby ujednolicić przyznawanie dotacji na działalność ośrodków. Według jego przedstawicieli w niektórych województwach, na poziomie urzędów marszałkowskich, jest z tym problem.

– W ministerstwie mówiliśmy o dysproporcjach między liczbą adopcji a wysokością dotacji przyznawanej przez urzędy marszałkowskie i samorządy województw. Zwróciliśmy też uwagę na fakt, że w województwach nie ma jednolitych zasad przyznawania tych dotacji – mówi Lesiak.

Sygnalizowano również utrudniony dostęp do dzieci z powodu „zawładnięcia terenu” (tj. placówek czy szpitali, skąd są zgłaszane dzieci do adopcji) przez niektóre ośrodki publiczne. W rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym” kilku przedstawicieli stowarzyszenia podkreśla, że jest to kwestia delikatna, bo każdy region ma swoją specyfikę i czasami ta współpraca niekoniecznie źle się układa; poza tym istnieje potrzeba funkcjonowania ośrodków o różnym profilu, ale potrzebne są też rozwiązania, które ułatwią to współistnienie.

Według danych zebranych z dziewięciu katolickich ośrodków adopcyjnych w latach 2012–15 przysposobionych zostało w kraju ponad 13,8 tys. dzieci, z czego w ośrodkach katolickich prawie 1,9 tys., co stanowi ok. 13 proc. wszystkich adopcji. W tym okresie katolickim ośrodkom zostało przekazane 7,3 proc. całkowitej kwoty dotacji celowej z budżetu państwa, przeznaczonych na organizację i prowadzenie ośrodków adopcyjnych. Istnienie dysproporcji potwierdzają też dane z poszczególnych województw. Przykładowo w tym samym okresie w województwie opolskim ośrodek doprowadził do adopcji 34 proc. dzieci przysposobionych w województwie, a uzyskał środki stanowiące niecałe 25,5 proc. dotacji dla województwa. Z kolei w 2015 r. w województwie śląskim Diecezjalny Ośrodek Adopcyjny w Sosnowcu przysposobił 8,9 proc. dzieci, otrzymując środki odpowiadające 3,2 proc. całkowitej kwoty dotacji dla tego województwa.

Według członków stowarzyszenia nieadekwatność przy przyznawaniu środków prowadzi m.in. do mniejszej liczby osób zatrudnionych na umowę o pracę w pełnym wymiarze godzin; braku możliwości zapewnienia pracownikom wynagrodzenia adekwatnego do wykształcenia i doświadczenia, które „byłoby zbliżone do wynagrodzenia pracowników publicznych ośrodków adopcyjnych wykonujących takie same zadania”; a wobec gorszych warunków placowych do trudności w utrzymaniu w zespole pracowników o wysokich kwalifikacjach merytorycznych oraz w zatrudnieniu wystarczającej liczby osób.

Kolejnym punktem na liście postulatów jest ujednolicenie okresu zawierania umów. Katolickie ośrodki działają w opar-

ciu o umowy zlecające realizację zadania prowadzenia ośrodka adopcyjnego jednostkom Kościoła katolickiego. W niektórych województwach, jak podają, prowadzenie ośrodka adopcyjnego jest zlecone w formie powierzenia zadania publicznego (co wiąże się z udzieleniem dotacji na finansowanie jego realizacji), w innych natomiast w formie wsparcia zadania publicznego (co wiąże się z udzieleniem dotacji na dofinansowanie realizacji zadania i wymogiem wkładu własnego). Część z nich posiada umowy na pięć lat, inne na okres krótszy. Umowa z Archidiecezjalnym Ośrodkiem Adopcyjnym w Łodzi została np. zawarta na okres od 1 stycznia 2012 r. do 31 grudnia 2012 r. i jest nadal przedłużana.

Listy do Pana Boga

Osoby prowadzące katolickie ośrodki adopcyjne wydają się być zgodne co do tego, że pięcioletni okres od wejścia w życie ustawy o wsparciu rodziny i systemie pieczy zastępczej był najtrudniejszy w ich ponad 20-letniej historii.

Ks. Dzierżanowski wspomina, że dawniej było o wiele więcej przypadków oddawania dzieci do adopcji zaraz po urodzeniu. – Na to składa się wiele czynników, jednak cały czas przewija się myślenie, że dziecko powinno wrócić do rodziców biologicznych. Nie wiem, czy dobre jest ciągle dawanie im szansy, kiedy wszyscy dookoła monitują, że jest źle – mówi ks. Dzierżanowski. – Często rodziny zastępcze czy pracownicy socjalni alarmują, że na wychowanie dziecka nie ma żadnych szans, a jego rozwój może być w dużym stopniu zagrożony. Wtedy trzeba działać natychmiast, bo dziecko nie powinno latami czekać w rodzinie zastępczej na decyzję sądu o pozbawieniu rodziców biologicznych władzy rodzicielskiej. Tymczasem są przypadki, kiedy tak się dzieje. Moim zdaniem brakuje tu rozwiązania systemowego.

Wiele dzieci obarczonych jest różnymi problemami natury emocjonalnej, fizycznej, skutkami płodowego zespołu alkoholowego (FAS), wymagającymi pilnej rehabilitacji. Ks. Dzierżanowski uważa, że trzeba skrócić okres oczekiwania przed sądem na uregulowanie sytuacji prawnej dziecka. Nie wszyscy podzielają jego poglądy. Zdaniem niektórych wszystko zależy od sprawności poszczególnych sądów, ponadto uważa się, że jeżeli istnieje choć niewielka szansa na poprawę relacji w rodzinie, nawet dysfunkcyjnej, należy ją rozpatrzyć. Jeszcze inni uważają, że w tak delikatnej sprawie nigdy nie znajdzie się złotośrodek. Ks. Dzierżanowski jest jednak przekonany, że „zawieszenie” dziecka lub ↪

→ rodzeństwa pomiędzy rodziną zastępczą, w której przebywa do czasu uregulowania sytuacji prawnej, a adopcją może spowodować ogromne szkody. I podaje przykłady.

Niedawno do rodziny zastępczej trafił noworodek wymagający rehabilitacji. Była to rodzina spoza ośrodka katolickiego, która szukała pomocy w całym kraju. – Cztery miesiące trwały procedury, zanim rodzice zostali pozbawieni praw. W tym czasie rodzice zastępczy robili, co mogli, żeby pomóc dziecku, ale z powodu masy przeszkód proceduralnych skorzystanie z pomocy fachowej stało się niemożliwe. A w przypadku tak małego dziecka liczy się każdy dzień – dodaje ks. Dzierżanowski.

Są dzieci, które na uregulowanie sytuacji prawnej czekają latami. Ks. Dzierżanowski wspomina trójkę rodzeństwa, która w rodzinie zastępczej spędziła niemal pięć lat. Najstarsza dziewczynka pisała listy do Pana Boga z prośbą o rodziców. Nie mogła zrozumieć, dlaczego inne dzieci już dawno mają rodziców adopcyjnych, a ona nie. Kiedy rodzeństwo trafiło do rodziny zastępczej, dzieci miały rok, cztery lata i pięć lat. Rodzinny dom dziecka trzykrotnie występował o pozbawienie praw rodziców biologicznych. – Oboje z żoną uważamy, że sądy dają szansę rodzicom, którzy niekoniecznie o taką szansę się starają, a tu trzeba dać ją dzieciom – mówi rodzic zastępczy z 20-letnim doświadczeniem. Sprawa ciągnęła się latami, dzieci dorastały i nie znaleziono dla nich rodziców adopcyjnych w Polsce („Gdy jak dziecko ma 9-10 lat, to jest już z tym problemem” – mówi rodzic zastępczy). Rodzinę dla tej trójki znaleziono we Włoszech.

Ministerstwo przegląda

Działalność ośrodków adopcyjnych reguluje kilka aktów prawnych, w tym ustawa o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie, ustawa o finansach publicznych, ustawa o dochodach jednostek samorządu terytorialnego. Fundamentalnym dokumentem jest ustawa o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej. – W oparciu o jej zapisy organy jednostek samorządu terytorialnego mogą, a nie muszą, powierzyć nam zorganizowanie ośrodka, jednak do zlecania realizacji tych zadań stosuje się ustawę o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie – mówi Barbara Słomian.

Zapytaliśmy Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, czy planowana jest nowelizacja ustawy o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej. Biuro rzecznika ministerstwa odpowiedziało, że trwa przegląd tej ustawy „w kierunku podjęcia ewentualnych prac nad jej nowelizacją”. ©

KATARZYNA PIOTROWIAK

Franciszek o prawach człowieka

EDWARD AUGUSTYN

Nieprzestrzeganie praw podstawowych jest najważniejszą przyczyną problemów współczesnego świata – przekonywał Franciszek dyplomatów.

WATYKAŃSKI „RAPORT O STANIE ŚWIATA” – czyli coroczne styczniowe przemówienie papieża do korpusu dyplomatycznego – to zawsze precyzyjna, przygotowana przez Sekretariat Stanu, analiza najważniejszych problemów, jakie Kościół obserwował w mijającym roku i jakich spodziewa się w nadchodzącym. Nie da się ukryć, że tego typu wystąpienia od lat wyglądają podobnie: punktów zapalnych trochę przybywa, trochę ubywa, czasem zmienia się ich położenie na mapie. Do nieustannych apeli o pokój i ponadnarodową solidarność wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić.

W tym roku Franciszek, jakby tego świadom, osią przewodnią wystąpienia uczynił całkiem inny temat. Z bogatej listy jubileuszy, które w 2018 r. będziemy świętować, wybrał przypadającą na grudzień rocznicę uchwalenia Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, pokazując tym samym, jak niewiele – wbrew pozorom – zmienił się świat w ciągu siedmiu powojennych dekad i jak wciąż aktualna i trudna do zrealizowania pozostaje wizja twórców dokumentu przyjętego na posiedzeniu ogólnym ONZ w grudniu 1948 r.

IDEA PRAW CZŁOWIEKA, która w nowoczesnej Europie pojawiła się wraz z Rewolucją Francuską, nie zawsze była w smak Kościołowi. Papieże uznawali ją za przejaw buntu wobec prawa Bożego i zbyt daleko posuniętą emancypację świeckiego społeczeństwa, pragnącego wydostać się spod kurateli władzy duchowej. Celem katolickiej wspólnoty było wprowadzanie królestwa Bożego na ziemi, zatem prawa człowieka mogły zostać zaakceptowane tylko wtedy, gdy okazywały się w tej misji pomocne – np. kiedy laickie dyktatury próbowały ograniczać wolność religijną katolikom. Jeszcze w 1948 r., komentując zapowiedź uchwalenia przez ONZ deklaracji, dziennik „L'Osservatore

Romano” pisał sarkastycznie: „To już nie Bóg, ale człowiek ma ogłaszać ludziom, że są wolni i równi”. Na akceptację prawa do swobodnego wyboru religii i wyznania katolicy musieli poczekać aż do Soboru Watykańskiego II.

I DO TEJ SOBOROWEJ REWOLUCJI, podobnie jak do nauczania swych poprzedników, Jana XXIII i jego encykliki „*Pacem in terris*”, nawiązał papież w przemówieniu do dyplomatów. Podkreślił zbieżność pomiędzy uchwaloną przez ONZ deklaracją a ewangelicznym orędziem: „Sam Pan Jezus uzdrawiając trędowatego, przywracając wzrok niewidomemu, spotykając się z poborcą podatkowym, ocalając życie kobiecie cudzołożnej i zachęcając do leczenia poranionego podróżnego, dał do zrozumienia, że każda istota ludzka, niezależnie od swego stanu fizycznego, duchowego lub społecznego, zasługuje na szacunek i uwagę”.

Nieprzestrzeganie praw człowieka jest najważniejszą przyczyną problemów współczesnego świata: konfliktów zbrojnych, terroryzmu, religijnego fanatyzmu, handlu ludźmi. Spotykamy jednak – mówi papież – „bardziej wyrafinowane formy” ich łamania, jak aborcja, eutanazja czy przemoc w rodzinie. Co gorsza, legalizacja aborcji i eutanazji dokonuje się właśnie pod sztandarami „walki o prawa człowieka”, a powodem takiego pomieszczenia pojęć jest – zdaniem Franciszka – pamiętny rok 1968 (gdy na Międzynarodowej Konferencji Praw Człowieka w Teheranie dopisano tzw. prawa reprodukcyjne) oraz późniejsze modyfikacje praw podstawowych, sprzeczne z pierwszym i najważniejszym z nich: prawem do życia. A zmuszanie krajów słabo rozwiniętych do przyjmowania „nowych praw”, obcych ich kulturze i tradycji, jest – według Franciszka – przejawem nowoczesnej „ideologicznej kolonizacji”. ©®

SZYMON

Hołownia:

W roli służącego



NA DZIEŃ PRZED WYLOTEM DO Zambii (gdzie moja Fundacja Kasisi finansuje największy w tym kraju dom dziecka prowadzony przez polskie siostry służebniczek) dostaję wiadomość: mamy nagły kryzys w rozkręcającej się dotąd wolno od października epidemii cholery. Liczba zachorowań w ciągu kilku dni wzrosła lawinowo. Szybki skan pamięci, co wiem o cholery: wysoka szansa na przeżycie pod warunkiem wczesnego rozpoczęcia leczenia; pierwsze objawy pojawiają się od dwóch godzin do pięciu dni po spożyciu zakażonej wody lub żywności; objawy: biegunka, wymioty, odwodnienie. Cholera (zabijająca na świecie kilkadziesiąt tysięcy ludzi rocznie) jest wprost sprzężona z biedą. Szerzy się w obozach uchodźców, na ubogich przedmieściach, wszędzie tam, gdzie stłoczeni ludzie nie mają możliwości w godny sposób załatwić swoich fizjologicznych potrzeb, gdzie nie sposób utrzymać higieny, a ujęcia wody sąsiadują z latrynami. Dokładnie tak wygląda to teraz w Lusace. Epidemia zaczęła się od biednych przedmieść zambijskiej stolicy, co roku notuje się sporadyczne zachorowania; tym razem coś poszło jednak nie tak i fala zachorowań rozlała się po okolicy. Oficjalne rejestry podają, że zachorowało trzy tysiące osób, niepełna setka zmarła (nieoficjalnie mówi się, że te wartości trzeba by pomnożyć co najmniej przez pięć).

Rząd staje na rzęsach: stadion narodowy zamieniono w szpital, na miejsce wezwani zostali specjaliści ze Światowej Organizacji Zdrowia i epidemiolodzy z Izraela. Wprowadzono godzinę policyjną, zakaz zgromadzeń (w ubiegłą niedzielę wyganiano nawet ludzi z kościołów). Wojsko – w bojowym rynsztunku – nadzoruje akcję burzenia ulicznych straganów, co spotyka się z protestem tych, dla których uliczny handel jest jedynym źródłem utrzymania. Wybuchają zamieszki, bo ludzie widzą, że bieda, która doprowadziła do epidemii, skończy się dla nich jeszcze większą biedą. Życie stało się logistycznym wyzwaniem. Ludzie z ubogich dzielnic często pracują przecież w bogatszych okolicach jako stróż, opiekunki do dzieci, robotnicy i dostawcy. Teraz, z dnia na dzień, mogą stracić źródła utrzymania. Gdzie mają kupić żywność, skoro zlikwidowano stragany, zamknięto piekarnie, a władze chwają się, że zasypały już ponad dwa tysiące chałupniczo wykopanych studni (w prawie połowie z nich znaleziono bakterie przecinkowca cholery)? Ludzie próbują normalnie żyć, ale jak tak dalek pójdzie, Lusaka za parę tygodni zmieni się w miasto widmo.

Kasisi (odległe do centrum Lusaki o 30 km) odcięliśmy na razie od świata. Mamy tu ponad dwusetkę dzieci. Siostry wprowadziły zakaz odwiedzin, pracownicy

mają wstrzymane wyjścia i urlopy albo dostali dni wolne. Chleba nie ma, zapasy jedzenia wystarczą na miesiąc, zapasy „wojenne” (mąka, olej) na jakieś dwa. Mając parę godzin do wyjazdu, zdążyłem jedynie zapakować do walizek, ile się dało preparatów ratujących życie w przypadku odwodnienia.

Podczas podróży po Afryce wiele razy przerabiałem już graniczne kontrole sanitarne, z mierzaniem temperatury ciała, myciem rąk i butów dezynfektantami czy obowiązkowym doszczepianiem nieszczęśników, którzy zapomnieli zrobić to w domu. Tym razem jednak na lusackim lotnisku spokój i cisza. Jedyna zmiana to lateksowe rękawiczki na rękach personelu. W Kasisi wszystkie siostry, również miejscowe i te, które są tu od wielu dekad, zgodnie twierdzą, że tak poważna sytuacja zdarza się po raz pierwszy.

W ciągu ostatnich paru lat pracy w Afryce wiele razy miałem bezpośrednio do czynienia z HIV, trądem, przeróżnymi chorobami; pierwszy raz jestem jednak w środku aktywnej pandemii. Jasne, przede wszystkim staram się wykonać swoją pracę: zorganizować jak najszybciej dostawę wszystkich leków i preparatów oraz środków do dezynfekcji (miejscowe apteki i sklepy są już puste), dzięki którym będziemy w stanie zabezpieczyć nasz dom w razie „W” (co prędzej czy później nastąpi: przecież nie odmówimy przyjęcia chorego dziecka albo takiego, którego rodzice zmarli na skutek epidemii). Z tyłu głowy wciąż jednak pracuje dziwne uczucie, które – gdybym w 1986 r. nie był ledwie dziesięcioletkiem – pamiętałbym pewnie z historii z Czarnobylem. Gdy idzie na ciebie widoczna armia, czołgi, samoloty, facet z kałachem, wiesz, co jest grane. Gdy chce cię zabić, czego nie widzisz – coś, co wisi w otaczającym cię powietrzu, przenika tkanki, co czai się w kubku wody albo na kanapie – zupełnie inaczej patrzysz na niezmieniający swoich fizycznych właściwości świat. Nadal świeci słońce, wiatr gania po niebie chmury, woda tak samo chlupie, ziemia identycznie chrzęści pod nogami. A ty wiesz, że gdzieś w tym jest twoja potencjalna śmierć. Z godziny na godzinę obserwujesz swoje kolejne reakcje przy stole, w łazience, przy witaniu się z innymi i uczysz się, jak w takiej sytuacji nie wpaść w histerię, jak normalnie żyć. Tak jak ci, którzy tu zostaną, gdy ty wrócisz do swojej sterylnej Europy. Dla których coś, co dla ciebie jest obecnie laboratorium patogenów, w którym ćwiczysz epidemiologiczny *survival*, jest jedynym domem, jaki mają.

Podjęmuję decyzję, że tym razem skróć swój pobyt do minimum. Postaram się wrócić za chwilę z potrzebną pomocą, ale znów na krótko. Mimo że to autentycznie kusi wciąż jeszcze jakoś dziennikarską duszę – być w środku zdarzeń, mieć później materiał na reportaż, do CV i do gawęd. Ale to nie jest historia o mnie, ale o tych, którym z każdym dniem mojego pobytu wyjadą zapasy jedzenia, które za chwilę będą na wagę złota. Którzy – gdy zachoruję – będą mieli na głowie kolejny problem, i którzy naprawdę mają teraz na głowie inne rzeczy, niż sprawdzać co pół godziny, czy władze nie zamknęły drogi na lotnisko... Wolę zdejmować ludziom problemy z głów, a nie je dokładać. Trzeba pogodzić się z rolą służącego swoje miejsce służącego. Bohaterem próbować być sobie kiedy indziej. ©

CZŁOWIEK ZA TYSIĄC DWIEŚCIE

W Libii coraz prężniej rozwija się rynek handlu niewolnikami. Jego funkcjonowanie ułatwia polityka Europy, której celem jest zatrzymanie imigrantów w Afryce.

MARCIN ŻYŁA

NA IMIĘ MA DAVID. DZIŚ 20-LETNI, POCHODZI z Gambii – małego, dwumilionowego kraju w Afryce Zachodniej. Aby dotrzeć do Rzymu, gdzie dziś mieszka, David pokonał ponad 7 tys. kilometrów, w tym pustynię i morze.

Wędrował przez dwa lata. W rozmowie telefonicznej z „Tygodnikiem” opowiada, że początkowo nie sądził, iż potrwa to tak długo. Przecież już po trzech tygodniach pokonał połowę trasy i był w nigerskim Agadezie, na Saharze, gdzie imigranci przesiadają się z autobusów na pick-upy przemysłowców. Tam, za miastem, droga się urywa: trzeba dojechać do końca pasa startowego lotniska, raz skręcić w lewo, raz w prawo, minąć posterunek. Dalej drogę zna tylko kierowca.

W ten sposób David dotarł do Gardonu w Libii, gdzie na dwa miesiące zatrudnił się jako pomoc domowa. Kolejny etap zapamiętał także pozytywnie: poznany w Sabhcie Libijczyk kupił mu jedzenie i zapła-

cił za bilet do Trypolisu. Po jakimś czasie chłopak wsiadł na kuter płynący do Europy. Lecz statek przechwyciła libijska straż przybrzeżna. David trafił do więzienia. Tam zobaczył, jak to jest być współczesnym niewolnikiem.

Targowisko ludzi

Listopad 2017 r. Telewizja CNN emituje reportaż z Libii, który – gdyby wtedy były kamery – równie dobrze mógłby powstać w XVII w., gdzieś na zachodnim wybrzeżu Afryki. Słychać głos dochodzący zza kadru: „Osiemset... Dziewięćset... Tysiąc... Tysiąc sto...”. Kamera pokazuje młodego czarnego mężczyznę. Głos zachwala: „Duży, silny, dobry do pracy w polu”. Człowiek – jak usłyszymy, pochodzący z Nigerii – zostaje w końcu sprzedany za 1200 libijskich dinarów (równowartość ok. 3 tys. zł).

Po tym, gdy otrzymali to wideo – nagranie było amatorskie – reporterzy CNN pojechali do Libii i samodzielnie nagrali po-

dobne sceny. Byli świadkami aukcji niewolników: widzieli, jak imigranci z Afryki „idą pod młotek”, i jak po transakcji oddaje się ich nowym właścicielom. Dzieje się to szybko: wystarczy 10 minut, aby sprzedać kilkanaście osób.

ONZ już rok temu przedstawiała dowody na istnienie rynku pracy przymusowej w Libii. Ale dopiero ten filmowy materiał wywołał szok. Widzowie na Zachodzie zobaczyli, że sceny, o których myśleli, iż są częścią historii – ludzi w kajdanach, kupców sprawdzających im uzębienie – rozgrywają się obecnie.

I choć niektóre z krążących potem w internecie zdjęć „niewolników w Libii” okazały się pochodzić z innych miejsc, to Peter Tinti, amerykański dziennikarz zajmujący się sytuacją na Saharze, nie ma wątpliwości: – Cienka linia rozgranicza zwykle przemysł ludzi przez granicę od handlu nimi. Jednak po materiale CNN stało się jasne, że w Libii możemy mówić



THE WASHINGTON POST / CONTRIBUTOR / GETTY IMAGES



Imigranci z Afryki subsaharyjskiej w kolejce do samochodu przemytników, który zabierze ich do Libii. Kolejki, mimo informacji o niewolnictwie w tym kraju, ustawiają się do dziś. Agadez, Niger, 2015 r.

o niewolnictwie. Zdarza się też, że imigranci sami zgadzają się, aby pracą spłacać długi, jakie zaciągnęli u ludzi, którzy zorganizowali im transport. I stopniowo się od nich uzależniają – mówi Tinti „Tygodnikowi”.

Mnie udało się uciec

W libijskich ośrodkach zatrzymań Peter Tinti rozmawiał z imigrantami, którzy po aresztowaniu byli „wypożyczani” lokalnym przedsiębiorcom i zmuszani do pracy, zwykle na budowach lub w rolnictwie. – Niektórzy dostawali jedzenie co dwa, czasem co trzy dni. Spali na posadzkach, słóczeni w pomieszczeniach pełnych innych ludzi – mówi dziennikarz.

– Trwało to pięć miesięcy – David opowiada o czasie, który spędził w libijskim ośrodku zatrzymań. – Zdarzało się, że bito mnie do nieprzytomności, kolbą pistoletu, kijem, metalowym prętem. Bywało, że traciłem z tego wszystkiego rachubę czasu.

Kontakt do Davida dostałem od znajomej, która poznała go na włoskiej Lampedusie i pierwsza spisała jego doświadczenia. Ludzi z podobnymi przeżyciami było tam więcej, ale on jest jedynym świadkiem niewolnictwa, który zgodził się na rozmowę i na publikację jej treści.

Mówił z wysiłkiem, z każdą minutą coraz krótszymi zdaniem. Opowiadał: – Niektórych zabierano do miejsc, gdzie ludzie przedstawiający się jako ich pracodawcy sprzedawali ich innym... Cena? Czasem 200, czasem 1000 dinarów... Uniknąłem ich losu... Razem z innymi więźniami udało mi się zbiec z ośrodka zatrzymań – pamiętam, że był wtedy piątek... Ktoś inny się mną zaopiekował, ten ktoś już płacił...

Libia po Kaddafim

Mieszkańcy Afryki subsaharyjskiej przyjeżdżali do Libii za pracą od dekad. Od lat 60. XX w. miejscowa gospodarka, oparta na ropie, należała do najszybciej roz-

wijających się na kontynencie. Dyktator Muammar Kaddafi lokował wpływ w eksportu ropy w szczodrym systemie dotacji. Pod koniec jego rządów tylko do żywności i paliw Libia dopłacała rocznie równowartość 11,5 mld euro. Dlatego ceny wielu towarów były tu niższe niż w sąsiednich krajach, a ich wywóz z Libii i sprzedaż w Czadzie czy Nigerze stały się wyjątkowo opłacalne.

Dyktator sprawnie lawirował między gospodarką centralnie sterowaną a rozdawaniem przywilejów klanom i grupom interesu. Tolerował czarny rynek – Kaddafi zwał go „rynkiem ludowym”. Za jego przyzwoleniem powstały prywatne sieci kontrolujące handel i transport towarów przez Saharę. W państwie, gdzie największa grupa etniczna stanowi 15 proc. populacji, system „dziel i rządź” sprawdzał się dobrze. Różne strefy kontroli obejmowały też „prywatne” systemy opłat i negocjacje przewozu. Od dekad łapówki płaciło się więc →

→ władzom lokalnym, policji i różnym grupom zbrojnym.

Ale dwa czynniki zakłóciły rozwój saharijskiego handlu. Pierwszy: w drugiej połowie XX w. coraz więcej towarów zaczęto transportować morzem (dziś statki przewożą 90 proc. światowego handlu), więc rolę ośrodków handlowych przejęły od Timbaktu, Agadezu czy Sabhy porty Afryki Zachodniej. Drugi czynnik: po upadku Kaddafiego w 2011 r. rozsypał się stworzony przez niego system przywilejów. Tuaregowie i plemię Tubu, dwie grupy dominujące na południu Libii, zaczęli walkę o szlaki przez pustynię. Ich nowym ładunkiem – prócz paliwa, broni i narkotyków – stali się imigranci z Południa.

Apetyt po Syryjczykach

Ale skąd w Libii rynek pracy przymusowej? Peter Tinti, który jest także współautorem książki *„Migrant, Refugee, Smugler, Saviour”* (analizy przemytu i handlu ludźmi na Saharze), wyjaśnia: rozwinął się on wtedy, gdy na libijskim wybrzeżu zabrakło uchodźców z Syrii.

– Przed 2012 r. imigrantów z Afryki rzadko było stać na podróż do Europy. Kiedy klientami przemytników stali się uchodźcy z Syrii, statystycznie dużo bogatsi, z początku na morze wysyłano w miarę sprawne łodzie. Aby pokryć straty związane z ich utratą, dopełniano je pasażerami z innych krajów. Afrykanie płynęli pod pokładem, płacąc mniej – tłumaczy Tinti.

Tak nakręciła się spirala wzrostu: coraz więcej statków, coraz sprawniejszy transport, coraz większe tzw. domy przejściowe, gdzie uchodźcy i imigranci byli przekazywani kolejnym w łańcuchu przemytnikom.

Sieci przestępcze stały się tak potężne, że – przy niedołężnej polityce europejskiej i wewnętrznym chaosie w Libii – ostatecznie same zaczęły kreować rynek. Oraz szukać nowych źródeł zarobku, m.in. na pracy przymusowej imigrantów.

Jest tu jeszcze jedna okoliczność: wielu Libijczyków postrzega czarnoskórych Afrykanów jako zwolenników byłego dyktatora. Także dlatego, że do swej ostatniej wojny (zakończonych przegraną i egzekucją) Kaddafi zaangażował najemników z zagranicy.

– Kiedyś imigranci mieszkali głównie na obrzeżach libijskich miast. Kaddafi budował dla nich bloki. Tak powstała np. dzielnica mauretańska w Trypolisie – wyjaśnia pochodząca z Libii dr Magdalena El Ghamari, która obecnie pracuje naukowo w warszawskim Collegium Civitas jako ekspertka od bezpieczeństwa kulturowego. – Wielu dostawało pensje od rzą-

Szef włoskiego MSW uważa, że jego „pustynna dyplomacja” przynosi efekty: w 2017 r. do Włoch dotarło morzem 119 tys. ludzi, o 60 tys. mniej niż rok wcześniej. Ale ci, którzy nie dotarli, nie zniknęli. Niemal pół miliona imigrantów przebywa dziś w Libii – w potrzasku.

du. Libijczycy uważali, że cudzoziemcy nie pracują. Dla imigrantów Kaddafi był „ojcem Afryki”. Oni zaś w oczach wielu moich rodaków byli jego wierną gwardią. Upadek reżimu nie zatarł pamięci.

Niewidzialne

Najgorzej mają kobiety. Aby zmniejszyć ryzyko, imigrantki przebywające w Libii dopasowują się do otoczenia: na co dzień mówią po arabsku, ubierają się konserwatywnie. Nawet chrześcijanki, stanowiące 70 proc. cudzoziemek, zakładają hidżaby.

Strategia bycia „niewidzialną” to pochodna lęku przed donosicielstwem. Taksówkarze, sprzedawcy, pielęgniarze, nauczyciele – oni wszyscy mogą donieść policji. Szpitale nie przyjmują tzw. nieregularnych (tj. przebywających nielegalnie) imigrantek. W październikowym raporcie Urzędu Wysokiego Komisarza NZ ds. Praw Człowieka cytowani są lekarze odmawiający ich leczenia, z obawy – jak twierdzą – przed zarazkami. Od 10 lat przed ich dziećmi zamknięte są szkoły publiczne – matki organizują się i popołudniami uczą najmłodszych samodzielnie.

Dla wielu kobiet pierwszym krokiem do niewolnictwa są przepisy. Żeby kupić kartę SIM do telefonu, trzeba okazać dokument. Jeśli imigrantki ich nie mają, załatwiają karty SIM u pośredników (cena to nawet 70 dinarów, równowartość 180 zł). Nie mogą, jak mężczyźni, wystawać na skrzyżowaniach, czekając na ofertę pracy – w tym też pomagają im pośrednicy.

Jeśli dodamy do tego okoliczność, że czarnoskóre kobiety z Afryki Zachodniej bywają w Libii stygmatyzowane jako po-

tencjalne prostytutki (zwłaszcza gdy przyjeżdżają same i bez dzieci, a tak przybywa większość), to okaże się, że niewiele trzeba, aby pośrednicy mogli je od siebie uzależnić. Wystarczy odpowiednio zadziałać psychologicznie.

Stąd już krok do uwięzienia. W tzw. domach przejściowych, gdzie imigranci są przekazywani z rąk jednej grupy do drugiej, czekając na dalszy etap podróży, kobiety przetrzymuje się w osobnych pomieszczeniach. Są tam narażone na wykorzystywanie seksualne. W ankiecie UNICEF-u z 2016 r. kobiety opowiadały o braku dostępu do sanitariatów (nawet w czasie menstruacji). Albo że były zmuszane rodzić bez żadnej asysty medycznej. Zmusza się je tu także do gotowania dla „opiekunów” – lub do prostytucji.

Unia: zmiana strategii

Na początku kwietnia 2017 r. Marco Minniti, minister spraw wewnętrznych Włoch, zaprosił do Rzymu przedstawicieli ok. 60 frakcji i grup etnicznych z Libii. To wtedy ustalono, że w zamian za pieniądze z Europy zajmą się one „zabezpieczeniem” granic swojego kraju. Czytaj: zatrzymają imigrantów. „Dopiero kiedy upewniłem ich, że pochodzę z Kalabrii, regionu, gdzie umowy pieczętuje się krwią, zgodzili się podpisać” – chwalił się Minniti.

Od tego czasu politykę „outsourcingu” w sferze pilnowania południowej granicy Unii krytykowali urzędnicy ONZ (że jest „niehumanitarna”) i organizacje praw człowieka (że „sprzyja nadużyciom”).

Jaki związek ma strategia Europy z niewolnictwem w Libii?

Peter Tinti waży słowa: – Mówienie, że Unia jest bezpośrednio uwikłana w handel niewolnikami, to nadużycie. Jednak materiały, które zebrałem w 2017 r., dały mi pewność, że efektem polityki europejskiej jest wspieranie libijskiego „przemysłu zatrzymań”. Taka polityka skłania władze w Trypolisie – oraz strony, które częścią libijskiego rządu jednocy narodowej są tylko na papierze – do aresztowania imigrantów. Unia finansuje Libię z pełną świadomością, że nie jest w stanie monitorować losu ludzi przetrzymywanych w tym kraju. Jeśli niektórzy z nich trafiają na rynek niewolników, to znaczy, że Europa jest współodpowiedzialna za system, w którym jednych ludzi sprzedaje się drugim.

Nowe nazwy, stare armie

Tymczasem przybywa podejrzeń, że pieniądze z Europy trafiają do grup przestępczych. SLA/MM, SLA/Al-Nur, JEM, FACT, CCMSR, RFC, RSF: to akronimy sudań-

skich i czadyjskich grup zbrojnych, które działają na południowych rubieżach Libii.

Ostatnia z tych organizacji nazywała się z angielska: Rapid Support Forces (Siły Szybkiego Wsparcia). W istocie składa się z byłych członków Dżandżawidzów – muzułmańskich milicji, które w latach 2003-04 dokonywały masakr ludności chrześcijańskiej w sudańskim Darfurze. W kwietniu 2016 r. Unia ogłosiła, że prześle Sudanowi 155 mln euro pomocy, z czego 5 mln, rozdysponowanych w ramach mechanizmu Better Migration Management (Lepsze Zarządzanie Migracją; nazwa cokolwiek eufemistyczna), otrzymało sudańskie ministerstwo spraw wewnętrznych. I tu niespodzianka: od kilku miesięcy w skład sił podległych temu ministerstwu wchodzi właśnie RSF.

Przykład drugi: libijska straż przybrzeżna. Szczególnie złą sławą cieszy się odcinek wybrzeża patrolowany przez jej oddział z miasta Az-Zawija, przy granicy z Tunezją. Stojący na jego czele Abdurahman al-Milad (pseudonim: Al-Bija) dostał tę posadę dzięki wsparciu rodziny Koshalafa, uwikłanej w przemysłowy biznes. Al-Bija lubi obnosić się z bogactwem, na profilu na Facebooku opublikował np. zdjęcie nowego jachtu – i zaproszenie na szkolenie z prowadzenia akcji ratowniczych wysłane mu przez rząd Szwajcarii.

Magdalena El Ghamari: – Gdy Europejczyk słyszy nazwę „straż przybrzeżna”, myśli o instytucji, która przestrzega procedur. Ale w Libii niektórych jej „oddziałów” nikt nie szkolił, nie wydawał mundurów. Tacy ludzie dostają dofinansowanie z Europy. A ja widzę ich w telewizji i pamiętam, jak kilka lat temu publicznie nawoływali do wstępowania do Al-Kaidy.

Rywalizacja o granty

Sudańskie oddziały RSF i ludzie podający się za oficerów libijskiej straży przybrzeżnej nie wystawiają oczywiście Unii faktur księgowych. Oficjalnie dofinansowanie dostają rządy Sudanu i Libii. Ale prawdopodobieństwo, że część pieniędzy trafia do struktur kryminalnych, jest bardzo wysokie.

Imigrantów zatrzymanych na wybrzeżu lub cofniętych z morza przez „straż” Al-Biji więzi się m.in. w prywatnym areszcie, który klan Koshalafa prowadzi na przedmieściach Az-Zawiji, na terenie byłej rafinerii. W połowie 2017 r. grupa ekspertów ONZ przedstawiła Radzie Bezpieczeństwa dowody, że tu oraz w innych podobnych centrach w północno-zachodniej Libii – w Al-Chums, Trypolisie i Misracie – ludzie przetrzymywani są w nielud-

Niewolnictwo: historie mniej znane

Według ostrożnych szacunków pracę przymusową wykonuje dziś w świecie więcej ludzi niż 200–300 lat temu – jednak wiedza na ten temat jest na Zachodzie niewielka. Oto dwa przykłady:

SUDAN. W latach 1987-88, podczas wojny domowej, nawet 2 tys. dzieci z plemienia Dinka mogło zostać sprzedanych Arabom z północy kraju (wtedy jeszcze zjednoczonego). Dla wielu dzieci był to zapewne jedyny ratunek przed skutkami katastrofalnej suszy. W literaturze na ten temat odnajdziemy opisy, jak te dzieci, które okazały się zbyt słabe do pracy w domach „opiekunów”, były wyrzucane i błąkały się po wsiach Północy, czasem umierając na bezludziu.

KONGO. Dekadę później, gdy wybuchła wojna w Demokratycznej Republice Kongo, oddziały, które przejęły kontrolę nad bogatą w minerały wschodnią częścią kraju, nie miały sprzętu do ich wydobywania. Zaprzęgli tysiące ludzi do przymusowej pracy: niewolnikami została jedna piąta mieszkańców. Z badań ogłoszonych w 2010 r. w „Journal of the American Medical Association” wynika, że na skutek tych przeżyć co szósty przymusowy robotnik próbował popełnić samobójstwo. ©©

ŻYM

kich warunkach, torturowani, a kobiety są sprzedawane jako niewolnice seksualne. Imigrantów mami się obietnicą: praca uczyni was wolnymi.

I choć w mieście Zuwara sami Libijczycy (ściślej: Amazigowie, ludność berberyjska, dominująca na pograniczu z Tunezją i marzącą o niezależności od Trypolisu) zwrócili się przeciw handlarzom ludźmi (efekt: z Zuwary wciąż odpływają łodzie z imigrantami), to w innych miejscowościach kraju trwa rywalizacja o pieniądze z Unii.

I to dosłowna: – W październiku w Sabracie, ważnym punkcie przerzutowym imigrantów, doszło do starć, trwały one trzy tygodnie – mówi Peter Tinti. – Jedne grupy, które wcześniej przemycaly ludzi, zaatakowały inne, pragnące zajmować się teraz zatrzymywaniem ruchu imigrantów.

Na rubieżach

Libia stała się w praktyce wysuniętą granicą zewnętrzną Unii Europejskiej.

Magdalena El Ghamari rysuje ponury obraz pustynnych regionów kraju: – Nie wiadomo, kto tam rządzi. Kręcą się tam

byli członkowie Boko Haram [muzułmańskiej organizacji terrorystycznej z Nigerii – red.], weterani z Afganistanu, uzbrojeni kontraktorzy z branży naftowej. O wpływy walczą tam też obce państwa: Francuzi są w Mali i Nigrze, na całej Saharze coraz śmielej poczynają sobie Chińczycy. Słyszałam o selekcji imigrantów już na południu kraju: mężczyźni kierują się do przymusowej pracy, kobiety do domów publicznych. Przybywa informacji o handlu organami, które mają trafiać m.in. do Turcji.

Co na to sami imigranci? Kilka tygodni temu Peter Tinti był w Agadezie. Rozmawiał tu z dwójką mężczyzn jadących na północ. Opowiada: – Pierwszy z nich nie uwierzył materiałowi w CNN. Sądził, że to przemyślana próba zniechęcenia imigrantów do podróży do Europy. Drugi odwrotnie, wziął sobie ten reportaż do serca: „Sprawy w Libii przybrały zły obrót – mówił mi – zostanę więc w Agadezie, poszukam tu zajęcia, będę szukał informacji o mniej ryzykownej drodze” – relacjonuje Tinti.

Dziennikarz przypomina, że na przełomie roku Niger, Nigeria i Gwinea zorganizowały – we współpracy z ONZ – powrót do domu kilkuset imigrantom. Przynajmniej tyle.

Statystyki i ludzie

Według włoskiego ministra Minnitiiego – tego, który żartował, że umowy pieczętuje krwią – jego „pustynna dyplomacja” (sam nazywa tak swoje działania w Afryce Północnej) przynosi efekty: w 2017 r. do Włoch dotarło przez morze 119 tys. ludzi, o 60 tys. mniej niż rok wcześniej.

Tak wygląda statystyka. Ale ci ludzie przecież nie zniknęli: można ich znaleźć – i to również w statystykach. W listopadzie 2017 r. Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji naliczyła w Libii 433 tys. imigrantów, czyli o 50 tys. więcej niż wiosną 2017 r., gdy Włochy porozumiały się z miejscowymi strukturami władzy i z klanami.

David, od którego zaczęła się ta opowieść, dotarł do Europy właściwie w ostatnim momencie: 17 kwietnia 2017 r. łódź, na której płynął, przybiła do brzegu Lampedusy.

Natomiast dla tego niemal już pół miliona ludzi – bo można założyć, że raczej ich przybywa, a nie ubywa – którzy są dziś na terenie Libii, dalsza podróż do Europy jest obecnie mocno utrudniona. Z kolei samodzielny powrót przez pustynię – właściwie niemożliwy.

Tym większe jest prawdopodobieństwo, że trafią na libijski rynek niewolników.

©©

MARCIN ŻYŁA

Polowanie na słonie

AGATA KASPROLEWICZ

Od stycznia Chiny zamknęły legalny rynek kości słoniowej. Pytanie, czy to uratuje afrykańskie słonie przed wyginieciem.

JULIUS LOKINYI MIAŁ SWÓJ SPOSÓB NA ZABIJANIE. Gdy widział stado słoni, wybierał jednego i strzelał. Wystraszone zaczynały biec, a on celował w ich nogi. Rano nie zwierzęta dobijał precyzyjnym strzałem w ucho i przechodził do najważniejszego: odcinania ciosów. A potem sprzedawał łupy, które ostatecznie lądowały w Azji. W swym 28-letnim życiu uśmiercił ponad setkę słoni.

Kłusownik z północnej Kenii stał się gwiazdą mediów, gdy przeszedł przemianę – z pogromcy słoni zostając ich wybawcą. Dziennikarze z całego świata – w tym Jeffrey Gettleman na łamach „New York Timesa” w 2012 r. – opisywali „nawróconego”. On zaś w wywiadach podkreślał, iż żywy słon wart jest więcej niż martwy. Każdy słon, którego uratował, miał wymazać grzechy z poprzedniego życia.

Biorąc pod uwagę, że cios słonia afrykańskiego waży średnio 23 kg, a w Pekinie pół kilo kości słoniowej wyceniano na tysiąc dolarów, Julius wprowadził na chiński rynek ok. 2,3 mln dolarów. Dużo, choć jeśli mierzyć skalą rozbuchanego apetytu Chińczyków na kość słoniową – niewiele. W ciągu ostatniej dekady co roku z rąk kłusowników ginęło ponad 30 tys. słoni, a 70 proc. ciosów z czarnego rynku trafiało właśnie do Chin.

Malejąca populacja

Liu Fenghai, chiński artysta, uważa, że kość słoniowa jest najlepszym materiałem rzeź-

biarskim. „Na kawałeczku wielkości ziarnka ryżu można wyrzeźbić wiersz” – mówił w wywiadzie dla telewizji BBC. Ewentualne porzucenie rękodziela z kości słoniowej uważa za grzech wobec przyszłych pokoleń i zdradę wielowiekowej tradycji chińskiej sztuki.

Chińczycy zawsze kochali kość słoniową, choć dopiero od niedawna mogą sobie na nią pozwolić. – 40 lat temu w Chinach w ogóle nie było klasy średniej, dziś liczy ona nawet 200 mln ludzi – mówi mi profesor Steve Tseng, który wykłada na University of London.

Mao Zedong pozostawił rodaków w wielkiej żałobie i jeszcze większej nędzy. Nowy rozdział w dziejach Chińskiej Republiki Ludowej, napisany przez Deng Xiaopinga, miał dopiero nadejść. W tym samym czasie Japonia zdążyła powstać z powojennych ruin, przejść cud gospodarczy – i wzorem Europejczyków oraz Amerykanów oszaleć na punkcie kości słoniowej. Wykonana z niej biżuteria ozdabiała nadgarstki i szyje kobiet, popiół z cygar strzepywano do popielniczek rzeźbionych z drogocennych ciosów. Robiono z nich też kule bilardowe, klawisze fortepiano, a nawet sztuczne zęby.

Populacja afrykańskich słoni zaczęła się kurczyć. Na początku XIX w. było ich w Afryce 20 mln. W 1960 r. zostały dwa miliony. W latach 80. XX w. liczba zabijanych zwierząt zbliżyła się do 100 tys. rocznie. Pojawiła się realna groźba, że gatunek

wyginie. Dlatego w 1989 r. na mocy Konwencji Waszyngtońskiej (CITES) międzynarodowy handel kością słoniową został zabroniony. Politycy i ekologowie gratulowali sobie sukcesu. Nie wiedzieli, że zakaz nie przetrwa dekady.

Rosnące apetyty

W 1989 r. władze Kenii nakazały spalić zgromadzone w kraju zapasy kości słoniowej. Podobnej decyzji nie podjęły kraje południa Afryki: Botswana, Namibia, Zimbabwe i RPA. Nie chciały rezygnować z biznesu.

W 1999 r., w ramach jednorazowego „eksperymentu”, na który zezwoliła Konwencja Waszyngtońska, 40 ton kości słoniowej z Botswany, Namibii i Zimbabwe popłynęło do Japonii. Dla kłusowników i przemysłowców był to sygnał, że czas wrócić do gry. A przyszłość wyglądała obiecująco. W Chinach gospodarka rosła w zawrotnym tempie, mieszkańcy się bogacili. Wkrótce głównym kierunkiem tras przemysłowych stały się porty Państwa Środka.

W 2008 r. Chiny przekonały CITES, że najlepszą odpowiedzią na rosnący czarny rynek jest zezwolenie na kolejną „jednorazową” sprzedaż legalnej kości słoniowej z Afryki. 101 ton z Botswany, Namibii, Zimbabwe i RPA popłynęło do Chin i Japonii. Ale apetyty Chińczyków rosły. W 2013 r. Pekin oświadczył, że potrzeba 200 ton rocznie, by zaspokoić popyt. W praktyce legalny rynek kości słoniowej w Chinach stał się przykrywką dla działalności kłusowników i przemysłowców – zorganizowanej siatki przestępczej, która rosła w siłę. Z pomocą skorumpowanych urzędników ciosy pochodzące od afrykańskich kłusowników i nielegalnie transportowane do Chin trafiały do legalnych fabryk i sklepów. A w Afryce co 15 minut z rąk kłusowników ginął słon.



Rezerwat Mashatu Game w Botswanie, 2017 r.

Trendy i interpretacje

Czy obecna decyzja o zamknięciu legalnego rynku w Chinach będzie skuteczna? Istnieje obawa, że skorzystają na niej kłusownicy, którzy zmonopolizują obrót towarami i będą czerpać jeszcze większe profity.

Tak może się stać pod warunkiem, że biznes będzie się opłacać. Tymczasem od końca 2015 r., gdy przewodniczący ChRL Xi Jinping ogłosił gotowość zamknięcia legalnego rynku kości słoniowej, ceny surowca poszły mocno w dół. Według szacunków organizacji Save the Elephants, w 2014 r. kilogram kosztował 2100 dolarów, pod koniec 2015 r. cena spadła do 1100 dolarów, a w lutym 2017 r. do 730 dolarów. Dziś nie przekracza pół tysiąca.

Istnieje jednak inne, mniej optymistyczne wytłumaczenie tego trendu. Zdaniem Daniela Stilesa – przyrodnika z parku narodowego w kenijskiej Laikipii – ceny kości słoniowej poszły w dół, bo jest jej zbyt dużo na rynku. Aktywność kłusowników sprawia, że podaż przewyższyła popyt.

Tom Milliken z organizacji Traffic mówi, że w ciągu ostatnich pięciu lat zanotowano największy od ćwierćwiecza wzrost nielegalnego eksportu kości słoniowej z Afryki. Kluczowy udział mają w nim chińscy przemytnicy. Dlatego zdaniem Aidana Hartleya, kenijskiego dziennikarza, zamknięcie rynku w Chinach nie powstrzyma kłusowników przed zabijaniem słoń.

– W Afryce jest kilka miejsc, które odniosły sukces w walce z kłusownictwem, np. RPA oraz kilka krajów wschodniej Afryki, z Kenią na czele – mówi Hartley. – Ale są też miejsca, które poniosły klęskę. To Kongo czy Sudan Południowy, gdzie w ciągu krótkiego czasu kłusownicy wybiłi 90 proc. żyjących tam słoń. W tych krajach trwają wojny i lokalnym bojówkom chodzi o towar, za który mogą kupić broń. Hartley zwraca uwagę, że problemu kłusownictwa nie można wyabstrahować

z afrykańskich realiów. Bo kłusownictwo to suma kilku afrykańskich grzechów. Jednym z nich jest wojna. Pozostałe to bieda i korupcja.

Co skończy się najpierw

Biedę z korupcją łączy nic, z której utkana jest tu niejedna tragiczna historia. Hartley tłumaczy: – Zaczyna się od dylematu człowieka, który, aby wyżywić rodzinę, musi pociągnąć za spust. Czy to kłusownik? Czy raczej człowiek zdesperowany? Ale odpowiedź na to pytanie i tak nie ma znaczenia, bo ciosy zabitego słońa trafiają w ręce bezwzględnego chińskiego syndykatu, który współpracuje ze skorumpowanymi afrykańskimi politykami.

Kimkolwiek jest kłusownik – bandytą czy ojcem głodnych dzieci – będzie zabijać słoń, dopóki ciosy będą przynosić mu pieniądze. Kłusownictwo jest chorobą Afryki, ale lekarstwo na nie znajduje się w Azji. Najważniejsze zaś pytanie brzmi: co skończy się najpierw – moda na kość słoniową w Chinach czy słoń w Afryce? Hartley uważa, że powodem do optymizmu są zmiany, które dokonały się w krótkim czasie w Europie i USA, gdzie kość słoniowa stała się konsumenckim tabu (podobną zmianę widać w podejściu zachodnich społeczeństw do noszenia naturalnych futer).

Problem w tym, że słoń w Afryce nie są zabijane tylko dla kości słoniowej. Także dlatego, że zagrażają ludziom, szczególnie w biednych krajach subsaharyjskich. – Słoń to zwierzęta wędrownie, przebywają długą drogę w poszukiwaniu jedzenia. Ich szlaki przebiegają często przez ziemie należące do biednych farmerów. Gdy słoń zjadają ich skromne uprawy, dla tych ludzi to katastrofa. Zabijają więc zwierzęta, np. przy pomocy zatrutych strzał – tłumaczy Michael Schwartz, dziennikarz „National Geographic”.

Afrykańskie paradoksy

Dlatego zdaniem Daniela Stilesa z Laikipii całkowity zakaz legalnego handlu kością słoniową może – paradoksalnie – spowodować większą śmiertelność słoń w Afryce. Zwolennicy zakazu zapominają bowiem, że w Afryce słoń dzielą ziemię z ludźmi. I to głównie od tych ludzi zależy, czy słońce przetrwają. – W zachodniej wyobraźni dominują romantyczne obrazy afrykańskiej dziczy, po której zwierzęta wędrują na tle zachodzącego słońca, wolne od obecności człowieka – mówi Stiles i tłumaczy, że to fantazje wyniesione z parków narodowych, odwiedzanych przez turystów.

Tymczasem rzeczywistość jest inna. Nawet w tak nastawionym na turystykę kraju jak Kenia aż 70 proc. dzikich zwierząt żyje poza terenami chronionymi. Do konfliktów człowieka z przyrodą dochodzi więc codziennie. Stiles obawia się, że jeśli słońce stracą wartość, którą dziś nadaje im kość słoniowa, staną się tylko szkodnikami. Ludzie nie będą mieli hamulców, aby się ich pozbyć.

Obawy Stilesa potęguje demografia: szybko rosnąca populacja Afryki. Dziś mieszka tu 1,2 mld ludzi, a szacuje się, że do 2050 r. liczba ta wzrośnie do 2,5 mld. Wielkie obszary, kiedyś zamieszkane przez dzikie zwierzęta, przejmują ludzie.

– Nawet jeśli wyeliminujemy handel kością słoniową, pozostaje pytanie: gdzie słońce będą mieszkać? – zastanawia się Aidan Hartley. I dodaje, że nie chodzi tylko o słońce. Czy można sobie wyobrazić np. świat bez lwów? Tymczasem zostało już tylko 26 tys. sztuk...

Afryka zaludnia się, a priorytetem większości rządów (podobnie jak w innych częściach świata) jest rozwój gospodarczy. Jak Afryka ma się rozwijać, nie niszcząc swego skarbu, jakim jest dzika przyroda?

Okiełznanie chińskiego apetytu na kość słoniową tu nie wystarczy. ©



Waniliowa oligarchia za Tatrami

DARIUSZ KAŁAN Z BRATYSŁAWY

Skąd się wzięli oligarchowie na Słowacji? I jak funkcjonuje słowacka odmiana „grupy trzymającej władzę”?

WIDMO KRAŻY PO EUROPIE ŚRODKOWEJ – widmo oligarchii.

System rządów, w którym władzę sprawuje niewielkie grono ludzi z jednego środowiska, rozdzielające między siebie aktywa polityczne i gospodarcze, nie jest dziś specyfiką postsowieckich krajów Europy Wschodniej. Od kilku lat jest on z powodzeniem realizowany na Węgrzech Viktor Orbána. W podobnym kierunku zmierzają Czechy po wyborczym zwycięstwie miliardera Andreja Babiša jesienią 2017 r. A Polska? Jeśli Jarosław Kaczyński chce iść śladem Orbána, jednym z kolejnych kroków może być tworzenie przyjaznego „zaplecza” biznesowego.

A może prezes Prawa i Sprawiedliwości powinien rzucić okiem na doświadczenia sąsiadów zza Tatr? W przeciwieństwie do Węgier i Czech, gdzie fenomen oligarchii jest nowy, na Słowacji grupa zamożnych biznesmenów współdecyduje o państwie już od niemal ćwierć wieku. Jej geneza to lata 90. XX wieku: epoka, gdy Polska, Czechy i Węgry swym priorytetem uczyniły wejście do struktur Zachodu i robiły wszystko, aby cel ten osiągnąć, niepodległa od niedawna Słowacja zaś przeciwnie – robiła krok w tył.

Długi cień Mečiar

Po rozdzieleniu od Czech, Słowacja stała się państwem prywatnym Vladimira Mečiar, charyzmatycznego trybuna o cechach leśnego watażki. Z dzisiejszej perspektywy ówczesny premier Słowacji jawi się jako nieco bardziej swojski poprzednik naszych antyliberałów. Mečiar przygarnął funkcjonariuszy komunistycznej bezpieki, a media zamienił w propagandową maszynkę. Samowolnie pozbawił mandatu niepopularnego posła i anulował wiążące referendum. Szerzył strach i nacjonalizm, doprowadzając do międzynarodowej izolacji kraju.

Jak wszyscy w Europie Środkowej, Słowacja stanęła przed dylematem, co zrobić ze schedą po komunizmie – państwowy-

mi firmami-molochami. Mečiar wybrał rozwiązanie najprostsze: rozdał je za tanie kredyty albo symboliczną koronę. Oficjalnie chodziło o to, aby firmy trafiły w rodzime ręce, a nie do międzynarodowych korporacji. W praktyce najsmaczniejsze kąski zabrali przybocznicy Mečiar, który zresztą przez pewien czas zajmował funkcję ministra prywatyzacji i szefa Funduszu Majątku Narodowego.

„Wszystko dostali jego ludzie” – mówi bez ogródek Ľuboš Jurík, nestor słowackich dziennikarzy, w filmie dokumentalnym Terezy Nvotovej o Mečiarze, który jesienią 2017 r. wszedł do słowackich kin.

Na ekranie widzimy byłego premiera jako zażywnego emeryta, który nie wystawia nosa poza pilnie strzeżoną willę „Elektra” w uzdrowisku Trenčynské Cieplice. Nie komentuje dziś zarzutów Juríka. Wtedy, w latach 90., stanowczo zaprzeczał.

– Oligarchowie są produktem słowackiej dzięki prywatyzacji – nie ma wątpliwości Marián Leško, jeden z najbardziej znanych komentatorów politycznych i autor czterech książek o czasach Mečiar. – Czasem wszystko działo się błyskawicznie. Wczoraj nie miałeś nic, rano budziłeś się jako milioner. Oczywiście jeśli byłeś zausznikiem premiera.

W ten sposób w latach 1995-98 za 31 mld ówczesnych koron rozdano majątek wart ponad trzy razy więcej.

Tylko jakie to ma dziś znaczenie dla Słowacji? Przecież w tym roku minie 20 lat, odkąd Mečiar stracił władzę. Kraj przeszedł długą drogę, od państwa prywatnego do stabilnego i przewidywalnego członka Unii Europejskiej i NATO. Wszedł do strefy euro, nie ma nic przeciw dalszej integracji. Teraz to jego północni i południowi sąsiedzi muszą się tłumaczyć z niedemokratycznych ciągów.

Operacja „Następca”

Jedną z pierwszych scen w przywoływanym filmie Nvotovej jest archiwalne nagranie ze starszymi Słowakami, którzy



mówią o Mečiarze jak o Mesjaszu. Nie kryją wzruszenia, rozplývają się nad jego geniuszem. Słowacja potrzebuje takiego batuszki, mówią otwarcie, ręki każącej i ręki głaszczącej.

Nie byłoby to dziś nic innego, jak tylko świadectwo epoki słusznie minionej, gdyby sama Nvotová nie przeprowadziła podobnej sondy. Spotkane przez nią osoby z takim samym entuzjazmem wypowiadały się teraz o Robertcie Fico – obecnym premierze. To właśnie on został politycznym dziedzicem Mečiar. Fico jest – obok Angeli Merkel – najdłużej sprawującym władzę premierem w Unii i założycielem socjal-konserwatywnego ugrupowania SMER – Socjalna Demokracja, które rządzi Słowacją już dekadę (najpierw w latach 2006-10, a potem od 2012 r. do dziś).

– Oligarchia nie wyginęła razem ze swoim twórcą – mówi Marek Vagovič, dziennikarz śledczy portalu Aktuality.sk i autor bestsellerowej książki o słowackich oligarchach. – Pod koniec lat 90. ci, którzy zdobyli pieniądze dzięki Mečiarowi, zwrócili się



PETR DAVID JOSEK / AP / EAST NEWS

*Protesty przeciw korupcji i oligarchii.
Na niszczonym plakacie – premier Fico.
Bratysława 2012 r.*

Co na to wszystko SMER–SD? O oligarchach partia rozmawiać nie chce. Jej rzeczniczka Ľubica Končalová napisała w mailu, że nie czuje się kompetentna, aby wypowiadać się na ten temat. Europosel Boris Zala z krytycznego wobec Ficy skrzydła partii zgodził się na rozmowę, ale ostatecznie na pytania (wysłane także pocztą elektroniczną) nie odpowiedział.

Partia jak spółka

– Każdy polityk jest świadomy związków łączących głównych aktorów ekonomicznych i partię na Słowacji – przyznaje Ivetta Radičová, była premier. Między pierwszym a drugim rządem Ficy w latach 2010–12 kierowała chaotycznym gabinetem, wspieranym przez cztery ugrupowania centroprawicowe. Za jego upadek Radičová wini właśnie wielki biznes. Nazywa Słowację „demokracją oligarchiczną”.

– W ciągu niespełna dwóch lat udało nam się zmienić większość niekorzystnych dla państwa kontraktów w sektorach infotechnologicznym i transportu, czyli tych, które przynoszą największe przychody. To wywołało ogromny gniew – wspomina była premier. Radičová twierdzi, że jako szefowa rządu nie miała kontaktu z oligarchami, za to dostawała od nich listy i prośby o spotkanie przez posłańców. – Żaden nie odważyłby się do mnie zadzwonić.

Według analizy Marka Vagoviča, przeprowadzonej na podstawie publicznie dostępnych umów, za Radičovej wartość kontraktów państwowych, jakie zdobyła „złota czwórka” oligarchów, spadła o połowę (do 350 mln euro) w porównaniu z pierwszym rządem Ficy z lat 2006–10. Potem, po powrocie Ficy do władzy, kwota ta wyrzuciła do 2 mld euro w latach 2012–16. Ponadto za rządów SMER–SD pozwolono im umieścić swoich ludzi w służbach, ministerstwach i spółkach skarbu państwa.

– Sama SMER–SD jest spółką akcyjną bez programu ani tożsamości ideowej – mówi Vagovič. – Oligarchowie pokrywają koszty kampanii wyborczych, a po wyborach partia wypłaca im dywidendy w postaci rozszerzania wpływów na życie gospodarcze.

Jedna wielka rodzina

Skoro pozycja wybranych liderów biznesu jest rzeczywiście tak silna, to czy słowacki pomysł na oligarchię bardziej przypomina model rosyjski, czy ukraiński? W tym

pierwszym polityczny „samiec alfa” – Władimir Putin – trzyma oligarchów pod butem. W drugim to oni z tylnego siedzenia kierują decydentami, przynajmniej niektórymi.

Marek Vagovič twierdzi, że model słowacki nie przypomina ani rosyjskiego, ani ukraińskiego: – On jest bardziej partnerski i cywilizowany.

Po pierwsze, różni go skala. Pieniądze, jakimi obracają Brhel, Poór, Široký czy Výboh to jednak inny poziom niż majątki np. Abramowicza w Rosji albo Achmetowa, niedysiejszego „króla Donbasu”. A po drugie, na Słowacji problemy rozwiązuje się przy stole, negocjacyjnym. Nie podrzuca się bomb do samochodów, nikogo nie zamyka się dla przykładu w więzieniu – jak ostatnio w Rosji.

Tu można nawet odnieść wrażenie, że biznesmeni i czołowi politycy stanowią jedną wielką rodzinę. Przykładowo, córka Širokiego poślubiła syna Brhela. A syn Výboha mieszka w tym samym budynku co premier Fico.

– W latach 90. nazywaliśmy czeską mafię „waniliową”, bo w porównaniu z nią mafia słowacka działała bardzo brutalnie. Dziś, gdyby zestawili naszą oligarchię z rosyjską albo ukraińską, powiedziałbym właśnie, że nasza jest waniliowa – uśmiecha się dziennikarz Vagovič.

Protest młodych i spadające sondy

Do śmiechu nie jest za to organizacjom zwalczającym praktyki korupcyjne.

W małym, niespełna 5-milionowym kraju łatwo zatrzeć granicę między koleżeńską czy rodzinną przysługą a przestępstwem. Transparency International ocenia, że tylko sześć państw w Unii gorzej sobie radzi z korupcją. Z kolei zdaniem World Economic Forum Słowacja jest drugim – razem z Ukrainą i po Mołdawii – najbardziej skorumpowanym państwem w Europie.

– W niemal każdej aferze, która wstrząsała Słowacją w ostatnich latach, a było ich wiele, przewijało się nazwisko przynajmniej jednego oligarchy – przypomina komentator Marián Leško.

Sprzeciwiając się mętным kontaktom polityków z biznesem, w 2017 r. na ulice słowackich miast trzykrotnie wyszły kilkudziesięczne manifestacje, zorganizowane przez uczniów szkół średnich. Młodzież protestowała, bo widzą, że hermetyczna struktura psuje mentalność ludzi, wpływa na niską jakość usług publicznych i ogranicza szanse osobom spoza „układu”.

– Nie chodzi nam o zmianę systemu. Raczej o zmianę mentalności. Starsi →

w stronę Ficy, ambitnego adwokata, który budował własną partię.

Za Mečiara wyrosło pięciu oligarchów: Jozef Brhel (obecnie infotechnologia i energetyka), Vladimír Poór (przemysł ciężki), Juraj Široký (branża budowlana), Ivan Kiňo oraz Ján Gabriel. Tylko pierwszych trzech zachowali wpływy po dziś dzień. Na początku XXI stulecia dołączył do nich czwarty: Miroslav Výboh, rekin przemysłu zbrojeniowego, zaufany „consigliere” Ficy i obecnie najbardziej rozpoznawalny oligarcha związany z partią SMER–SD.

Oprócz nich wokół Ficy kręci się jeszcze duża grupa mniejszych graczy.

W swojej książce Vagovič ujawnił przykładowo kontrakt z 2002 r., podpisany przez szefa kampanii wyborczej SMER–SD i jednego ze sponsorów, który zapewnia, że będzie dalej wspierać partię, jeśli jego ludzie wystartują z jej list i dostaną posady w państwowych firmach. Reporter cytuje też współzałożyciela SMER–SD (od siedmiu lat poza polityką), który twierdzi, że widział podobną umowę z podpisem samego Ficy.

→ załamują ręce, ale nic nie robią. Przywykli, że Słowacja jest zdemoralizowana. My mamy energię, żeby działać – mówiła w czerwcu 2017 r. „Tygodnikowi” 18-letnia Karolína Fariská, jedna z organizatorek [patrz „TP” nr 26/2017 – red.].

Demonstranci domagali się rezygnacji Roberta Kaliňáka, ministra spraw wewnętrznych i najbliższego współpracownika Ficy, który został oskarżony o przyjęcie 260 tys. euro od lokalnego dewelopera w podzięciu za to, że instytucja mu podległa umorzyła biznesmenowi śledztwo podatkowe.

Ale Kaliňák jest niezatapialny, choć poparcie dla partii i samego premiera stopniowo spada. Fico do niedawna bił rekordy popularności – tymczasem według badania z listopada 2017 r. nie ufa mu już 63 proc. ankietowanych.

Jeszcze nie jest tragicznie

Żeby powstrzymać topniejące poparcie w sondażach, politycy SMER–SD ogłosili zwrot na Zachód. Zadeklarowali, że Słowacja jest proeuropejską wyspą w eurosceptycznym morzu Europy Środkowej, i że chce dołączyć do „jądra” decyzyjnego Unii.

Jak na razie – bez efektów. Pod koniec zeszłego roku Fico przegrał dwa prestiżowe konkursy: jeden o funkcję przewodniczącego strefy euro (dla swojego ministra finansów Petera Kažimíra), drugi o siedzibę Europejskiej Agencji Leków (dla Bratysławy).

Marián Leško uważa, że takie ruchy świadczą o amatorstwie rządzących. Unia obserwuje, co się dzieje na Słowacji, i nie zaufa krajowi, w którym relacje między aktorami politycznymi a ekonomicznymi są tak nieprzejrzyste.

– Sytuacja nie jest jeszcze tragiczna – twierdzi Leško. – Mamy relatywnie wolne media. Nadal można u nas robić uczciwy biznes. Oligarchowie generalnie nie ingerują w politykę, dopóki nie wkracza ona w obszar ich zainteresowań gospodarczych.

– Ale myślę sobie – dodaje autor książki o „mečiaryzmie” – że to smutne, iż od czasów Mečiara tak niewiele się tu zmieniło.

©

DARIUSZ KAŁAN

Autor jest korespondentem z Europy Środkowej, stałym współpracownikiem m.in. agencji Euronews. Mieszka w Bratysławie.

Kim Dzong Un w czasach postprawdy

ROMAN HUSARSKI

Filmowcy i blogerzy – także z Polski – sympatyzujący z Koreą Północną twierdzą, że chcą pokazać codzienność kraju, który jest czymś więcej niż tylko ponurym reżimem. Jednak robią to na warunkach reżimu.

ZPERSPEKTYWY RESZTY ŚWIATA KOREA Północna to czarna plama na mapie: totalitarny reżim, który dzięki propagandzie i represjom (na niewyobrażalną skalę) wyeliminował u siebie wszelką opozycję, a przez zbrojenia nuklearne nie daje o sobie zapomnieć światu.

Ale fakt, że jest to jeden z najbardziej zamkniętych krajów świata, sprawia też, że łatwo jest przyjmować nawet najbardziej nieprawdopodobne wieści na jego temat. W internecie krążą więc historie, że np. metro w stołecznym Pjongjangu jest tylko dla turystów, albo że wszyscy muszą nosić fryzurę „na Kima”. Często powstawały jako żart, ale czasem kończyły jako fakty powielane przez portale informacyjne. Na fake news o rzekomym materiale propagandowym Północy, który miał mówić o wysłaniu kosmonauty na Słońce, nabrał się nawet magazyn „Times”...

W atmosferze zmęczenia takimi fake newsami i spadkiem zaufania do tradycyjnych mediów rosła w siłę grupa internetowych blogerów, którzy postanowili powiedzieć „sprawdzam” – pojechali zobaczyć Koreę Północną na własne oczy. I wpadli w pułapkę...

Miły kraj, mili ludzie

Jeszcze kilkanaście lat temu Korea Płn. była broniona na Zachodzie jedynie przez radykalną lewicę i nielicznych wyznawców ideologii „dżucze” (koreańskiej odpowiedzi na maoizm). Tymczasem dziś apologetyczne komentarze słysząc nie ze strony marksistów, którzy zwykle dawno odrzucili już idee Kimów, lecz zachodnich indywidualistów.

Najgłośniejszy przykład to Dennis Rodman. Czarnokóry koszykarz i showman odwiedził Północ w 2013 r. na zaproszenie dyktatora, fana ligi NBA. Podczas wizyty Rodman nie żałował Kimowi dobrych słów, nazywając go przyjacielem. Ozdo-

biony piercingiem i tatuażami, kontrastował na zdjęciach z lokalną wierchuszką. Zapewne nie zdawał sobie sprawy z rasiistowskiej narracji, będącej stałym elementem propagandy Północy, albo z tego, jak opresyjnie reżim traktuje homoseksualistów (Rodman jest biseksualny).

Na Zachodzie koszykarza krytykowano, ale najwyraźniej zaintrygował on niektórych internautów do dzielenia się swymi odkryciami. „To jeden z najbardziej unikatowych i tajemniczych krajów na ziemi” – opowiada np. Jacob Laukaitis w filmie „My Daily Life in North Korea (Mysterious 7 Day Trip)”, zamieszczonym ponad rok temu na YouTube.

Film, który miał ponad 8 mln wyświetleń, jest kompilacją najciekawszych miejsc turystycznych i innych „atrakcji” – jak wojskowa parada. W jednej scenie turyści zostają zaproszeni, by dołączyli do dzieci, które śpiewają pieśń na cześć Kim Dzong Una. Autor filmu opowiada, że jego przewodnicy byli miłymi ludźmi, którzy kochają swój kraj (istotnie, nie mogło być inaczej – ten zawód otrzymują ludzie najbardziej lojalni).

Jacob zdobywa się przynajmniej na krytycyzm wobec charakteru swej wycieczki. Podróż tylko w grupie i sztywne regulacje ograniczające swobodę okazały się dlań uciążliwe. „Wiele dni po [tej] podróży nie mogłem uwierzyć, że mogę robić wszystko, na co mam ochotę” – wyznaje.

Za to całkowicie pozbawiona krytycyzmu jest seria filmów o podróży do Korei Północnej Louisa Cole’a. To autor kanału „FunForLouis” na YouTube, który śledzi 2 mln internautów. Jego filmy pokazują, jak przyjemnie można spędzić tam czas. Zobaczymy więc park wodny, restaurację, plażę w Wonson, jazdę na deskorolce i sporo okrzyków „yeah!”. Nagraniom towarzyszy słoneczna muzyka, a jeden z odcinków nazywa się „Wild Growing Canna-



YOUTUBE

Kadry z filmów Louisa Cole'a o jego podróży do Korei Północnej, 2016 r.

bis”: Cole zachwycą się rosnącą przy drodze konopią siewną (niemającą zresztą substancji psychoaktywnych). I co chwila podkreśla, że chce pokazać pozytywne aspekty kraju, który w mediach ma tylko negatywny wizerunek. Właściwie jedyne, na co się użala, to brak internetu.

Pasjonat znad Wisły

Fenomen youtuberów zafascynowanych Koreą Północną nie ominął też Polski. Emil Truszkowski jeździł tam wielokrotnie, a swoje spostrzeżenia prezentuje na blogu „PozdrozKRLD” i vlogu o tym samym tytule. Strona zapowiadała się jako ciekawa alternatywa dla szukających informacji o Północy. Jednak dziś Emil Truszkowski organizuje wycieczki do Korei Północnej i jego portal zajmuje się właściwie wyłącznie jej reklamowaniem.

W dodatku – w przeciwieństwie do próżnych raczej aktywności wszelakich towarzystw propółnocnokoreańskich – w jego wersję ocieplania wizerunku dyktatury łatwiej jest uwierzyć. Tytuły filmów Truszkowskiego mówią za siebie: „FAIL u fryzjera w Korei Północnej”, „Sushi u mistrza Kim Jong Ila – Rowerem po Pjongjangu, Supermarket w Korei”, „Sexy stewardessy w Korei Północnej – Air Koryo An-148” itp. A wszystko podane w lekkiej, żartobliwej formie.

Na swoich filmach Truszkowskiemu zdarza się pojawić w północnokoreańskiej ludowej marynarce (kor. *inminbok*; jej krój skopiowano od chińskich komunistów) z flagą kraju w klapie. Nie uważa, aby taki *image* był wyrazem poparcia dla reżimu. Truszkowski zgadza się, że kult jednostki na Północy przypomina religię – dochodzi jednak do konkluzji (niebezpiecznej w gruncie rzeczy), że należy go traktować jako ciekawostkę kulturową.

Blogerzy publikujący swoje wrażenia z podróży na Północ często spotykają się

z krytyką. Broniąc się, Laukaitis podkreśla w swoim filmie, że dla niego wolność do wyboru odwiedzenia jakiegokolwiek miejsca na ziemi jest fundamentalna. „Liczy się twoje własne doświadczenie” – przekonuje z kolei Louis Cole i dodaje, że jego „miłość” zmieni Koreańczyków. Również Emil Truszkowski w opublikowanym niedawno nagraniu przekonuje, że turyści odmieniają kraj.

Fasada i kulisy

Jednak wśród ekspertów zdania co do pozytywnych rzekomo skutków podróży do Korei Północnej są podzielone. Podczas starannie przygotowanych wycieczek kontakt ze zwykłymi ludźmi jest ograniczony (zresztą sami mieszkańcy dobrze wiedzą, kiedy mają się kontrolować). Reżim pilnuje, by turyści zobaczyli to, co chce on pokazać światu. Znamca Korei Północnej Nicolas Levi podważa też przekonanie, że turystyka jest ważna dla obywateli tego kraju (ekonomicznie dużo większe znaczenie ma handel z Chinami).

Rodman, Laukaitis, Cole czy Truszkowski deklarują, że odcinają się od polityki. Tyle że w przypadku Korei Północnej takie odcięcie jest niemożliwe. Niby drobiazg: każdy z uczestników wycieczki zobowiązany jest po przyjeździe pokłonić się przed pomnikami Kimów (stosowne zdjęcia pojawiają się później w gazetach). W wielu biurach turyści podpisują zobowiązanie dotyczące weryfikacji materiałów publikowanych po podróży. Prowadzi to do autocenzury blogerów, zwłaszcza tych, którzy planują tu wrócić.

Blogerzy twierdzą, że nie mają nic wspólnego z Kimem. Ale sposób, w jaki przedstawiają realia kraju, legitymizuje jego władzę. Podobny mechanizm funkcjonował kiedyś np. w przypadku Związku Sowieckiego: fasada pokazywała codzienne życie, rodziny w wesołych mia-

steczkach itd., gdy za kulisami funkcjonował system łagrów i represji.

Jeszcze jeden mem

Blogerzy sympatyzujący z Koreą Płn. zdają się mówić za Fryderykiem Nietzsche: „Nie ma czegoś takiego jak fakty, są tylko interpretacje”. Ale choć mają rację, gdy krytykują fake newsy na temat Północy, zapominają, że są one efektem ubocznym wolności słowa i każdy może poddać je krytyce – takiego przywileju nie mają mieszkańcy Północy. Ich próby pokazania codzienności Korei Płn. mogłyby zasługiwać na uwagę, gdyby nie fakt, iż robią to na warunkach reżimu.

Internet zmienia sposób, w jaki postrzegamy informacje, rzeczywistość wirtualna kształtuje nasze opinie. Zabawne obrazy z Kim Dzong Unem czy nagranie z picia piwa w Pjongjangu prowadzą nie tylko do relatywizmu, ale też do pesymizmu poznawczego. Bo czy w chaosie informacyjnym można powiedzieć coś o tym kraju na pewno?

Tymczasem, według najnowszych badań Reporterów bez Granic, Korea Północna jest najbardziej opresyjnym krajem na świecie. Nadal uważasz, że jest śmieszna?

©

ROMAN HUSARSKI jest kulturoznawcą, ekspertem Centrum Studiów Polska-Azja. Prowadzi bloga wloczykij.org. W „Tygodniku” opublikował szereg tekstów o Półwyspie Koreańskim.



ROMAN HUSARSKI będzie gościem Jakuba Janiszewskiego w audycji „Połączenie”

w środę 17 stycznia o godz. 14.00.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg
| 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



DOMENA PUBLICZNA

Ukraińscy studenci i uczniowie powstrzymują marsz bolszewików na Kijów w bitwie pod Krutami, w styczniu 1918 r. Obraz A. Klimko.

ZACZEŁO SIĘ POD KRUTAMI

Mija wiek od momentu, gdy Ukraińcy podjęli próbę zbudowania własnego państwa. Inaczej niż Polakom, wtedy im się to nie udało.

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

WÓWCZAS, STO LAT TEMU, ZRAZU ZBYT mała okazała się determinacja i gotowość do ofiar. Potem zabrakło przede wszystkim „świętej zgody” – poczucia, że do czasu ugruntowania niepodległego bytu wszystko inne ma drugorzędne znaczenie. Zbyt wielka okazała się też przezwaga bolszewickiej Rosji – tym bardziej że Ukraina nie miała żadnego sojusznika. Gdy w końcu wiosną 1920 r. zawarła sojusz z Polską, było już za późno.

Ta tradycja, tradycja Ukraińskiej Republiki Ludowej – bo tak nazwało się pierwsze

ukraińskie państwo – została spotwarzona i zakłamana przez komunistów, a także wyparta z pamięci narodu. Również po odzyskaniu niepodległości w 1991 r. wracano do niej niechętnie, z trudnych do zrozumienia przyczyn. Powraca dopiero dziś, po stu latach – i na fali wojny z Rosją.

Bój pod stacją

To wioska w obwodzie czernihowskim, nieopodal Niżyna (starej stolicy hetmańskiej, w wieku XVIII miasta większego i znacniejszego od Kijowa). Położona na

otwartej równinie Zadnieprza, w pobliżu traktu wiodącego z Kijowa do Moskwy – Kruty to wioska, jakich wiele. Dziś liczy 1300 mieszkańców; bliższy stacji kolejowej przysiółek Pamjatne ma ich 400. Rosyjskim zwyczajem stację zlokalizowano parę kilometrów od wsi.

Dziś to ledwie lokalny przystanek. Ale sto lat temu była to węzłowa stacja kolei żelaznej – kluczowego i strategicznego wówczas środka transportu i zaopatrzenia, zarówno dla wojsk, jak też dla funkcjonowania państw całej Europy.



29 stycznia 1918 r. pod stacją Kruty ok. 600 żołnierzy Ukraińskiej Republiki Ludowej (ukraiński skrót: UNR) zastąpiło drogę kilkutysięcznemu zgrupowaniu bolszewickiej Gwardii Czerwonej. Bolszewicy parli na Kijów, gdzie od kilku dni trwało powstanie zwrócone przeciw Republice.

W pierwszym rzucie czerwoni mieli około tysiąca ludzi, dwa pociągi pancerne i baterię dział polowych. Ukraińcy za całe wsparcie mieli improwizowany pociąg bojowy z jednym lub dwoma działami. Część z tych 600 żołnierzy stanowili nieodświadczeni studenci, gimnazjaliści i jun-krzy (podchorążowie). Można spotkać też wyższe szacunki tak ogólnej liczebności, jak i strat obu stron – żadna z nich nie miała wówczas porządnej ewidencji. Ani służb pogrzebowych.

Bój trwał prawie dziesięć godzin. Ukraińcy ponieśli dotkliwą porażkę i musieli się wycofać. Stracili prawdopodobnie ok. stu zabitych i kilkudziesięciu jeńców, rozstrzelanych przez zwycięzców. Te dane są prawdopodobniejsze od podawanych wcześniej ponad trzystu zabitych: niedo-

świadczono oddziały, które straciły połowę stanu (nie licząc rannych), nie byłyby zdolne do dalszej walki. A Ukraińcy wycofywali się spod Krut w porządku, niszcząc za sobą mosty, przepusty i częściowo nawet tory kolejowe.

Straty bolszewików wyniosły, jak się ocenia, ok. trzystu zabitych (lub łącznie zabitych i rannych). Wygrali oni bitwę, utrzymali pole walki. Ale musieli się zatrzymać, a potem kontynuować natarcie nie pociągami, lecz na podwodach, w błocie nagłych roztopów. Nie dotarli na czas do Kijowa. I w wymiarze strategicznym – przegrali. Przynajmniej chwilowo.

Wojna o niepodległość Ukrainy trwała już wówczas od miesiąca. Pod koniec grudnia 1917 r. bolszewicy zdobyli Charków, a w połowie stycznia ruszyli na Kijów. Mieli wówczas na Ukrainie prawdopodobnie ok. 7 tys. ludzi, gdy Ukraińcy – tylko ok. 4 tys. Czerwoni górowali nie tylko uzbrojeniem, lecz i zdecydowaniem. Przy tak nieznacznych siłach ta faza wojny toczyła się wzdłuż linii kolejowych, zmuszając nacierających do ich nieustannego naprawiania.

Kilka dni przed Krutami, 24-27 stycznia, inne formacje ukraińskie bezskutecznie broniły Bachmacza. Na początku lutego trwały walki o węzeł kolejowy w kijowskiej już Darnicy. Ale to Kruty przeszły do legendy jako chrzest bojowy pierwszej armii nowoczesnej Ukrainy.

Miedzy Arsenalem a Brześciem

Zakłady zbrojeniowe Arsenal – największy ośrodek przemysłowy ówczesnego Kijowa – pozostawał pod wpływem bolszewików (jak wiele, może większość centrów wszechrosyjskiego przemysłu ciężkiego). Ci 25 stycznia wywołali drugie już powstanie w mieście, licząc na szybkie wsparcie ze wschodu i obalenie UNR, która trzy dni wcześniej proklamowała niepodległość.

Siły bolszewickich powstańców szacowano na 7 tys., ukraińskie rządowe na 8 tys. ludzi. Jedni i drudzy byli źle wyszkoleni, słabo zorganizowani i niedyscyplinowani. Walki trwały do 4 lutego, padło w nich kilka tysięcy zabitych, w tym trzystu rozstrzelanych po kapitulacji Arsenalu (potem bolszewicy po zajęciu miasta w ciągu kilku dni rozstrzelają 5 tys. kijowian).

Gdy kilka dni później Czerwona Gwardia dotarła do mostów na Dnieprze, władze Republiki zdecydowały się oddać stolicę bez walki, ratując ośrodek polityczny i pozostałe 3 tys. żołnierzy. Ale Republika nie była już sama.

Pod Bachmaczem, Krutami i Darnicą nie chodziło o pokonanie bolszewików, któ-

rych przewaga była zbyt wielka. Chodziło o czas dla ukraińskiej delegacji, prowadzącej w Brześciu Litewskim (dziś Brześć nad Bugiem) rokowania pokojowe z Niemcami i Austro-Węgrami.

Ostatecznie traktat pokojowy (nie należy go mylić z późniejszym o miesiąc traktatem pokojowym mocarstw centralnych z Rosją) zawarto 9 lutego 1918 r., na dzień po oddaniu przez UNR Kijowa. Gdyby bolszewicy zajęli miasto wcześniej, około 30 stycznia (a tak byłoby bez bitwy pod Krutami), wtedy rokowania brzeskie najpewniej zostałyby zerwane, na co przez cały czas nalegali negocjatorzy sowieckiej Rosji. A wówczas Ukraińska Republika Ludowa podzieliłaby losy wielu efemerycznych państw, powstających i upadających w toku tamtej wszechrosyjskiej rewolucji i wojny domowej.

Dziesięć dni po zawarciu traktatu armia niemiecka, zajmująca pozycje na froncie wschodnim, wkroczyła na Ukrainę – jako zaproszony sojusznik, nie jako okupant. Armia ukraińska musiała wytrwać na wschodnim Wołyniu w walce z na poły imperialnymi jeszcze, na poły już bolszewickimi oddziałami starej armii rosyjskiej. A gdy pod koniec lutego nawiązała kontakt z wkraczającymi na Ukrainę Niemcami, powróciła do Kijowa 1 marca. Później jej oddziały, zreorganizowane i dozbrojone, pójda na wschód i południe, wkroczą nawet na Krym...

Ale Niemcy i Austriacy dość szybko okazali się okupantami. Interesowały ich tylko dostawy żywności dla głodujących Niemiec i możliwość odpoczynku dla umęczonych wojną okopową żołnierzy. Pokój na wschodzie pozwolił im też znów myśleć o zwycięstwie na zachodzie – gdzie wciąż trwała wojna światowa. A że tym konserwatywnym monarchiom nie w smak był socjalistyczny charakter Ukraińskiej Republiki Ludowej, zatem w kwietniu 1918 r. poparli zamach stanu gen. Skoropadskiego, który jako hetman (dyktator z ambicjami monarchicznymi) rządził już nie republiką, lecz Państwem Ukraińskim.

Rewolucyjna droga do niepodległości

Ukraińska Republika Ludowa powstawała na fali wszechrosyjskiej rewolucji, gdy po obaleniu caratu powszechnie oczekiwano przebudowy młodej republiki w państwo federacyjne. A także na fali wiary w socjalizm, „powszechną federację pracy”, która sama z siebie zniesie przeciwieństwa narodowościowe, wprowadzi powszechne braterstwo. Pułki i korpusy starej armii carskiej przebudowywano na zasadach naro-

→ dowościovych (polonizowano, ukrainizowano, finlandyzowano), jednocześnie znosząc dyscyplinę wojskową (w czasie wojny!).

Rewolucjonści – nie tylko ukraińscy – byli przekonani, że stała armia nie jest potrzebna, bo wystarczy powszechne uzbrojenie ludu, że nie jest potrzebna policja, biurokracja, państwo w ogóle... Chyba tylko kierownictwo bolszewików rozumiało, że rewolucyjna retoryka to jedno, a realna polityka – to zupełnie co innego. I póki sami nie sięgnęli po władzę, promowali przede wszystkim zamęt, pojęciowy i realny, dążąc do tego, aby żadne inne ugrupowanie (poza ich własnym) nie stało się rzeczywistą siłą polityczno-wojskową.

Na ówczesnej ukraińskiej scenie politycznej dominowała lewica: socjaliści-rewolucjonści (eserowcy), widzący główną siłę rewolucyjną w biedocie i proletariacie wiejskim, oraz socjaldemokraci (programowo zbliżeni do rosyjskich mieniszewików), odwołujący się do proletariatu przemysłowego. Oprócz tego było jeszcze kilka ugrupowań centrowych, w tym tylko jedno – konsekwentnie niepodległościowe. Prawicy nie było wcale: na Ukrainie była wówczas jedynie prawica rosyjska, negująca jakąkolwiek odrębność „Małorosji” (jak w Rosji zwano ziemie zamieszkałe przez Ukraińców).

Nacjonalizm ukraiński – w jego europejskim rozumieniu, bo dla Rosjan nacjonalizmem była już sama myśl o odrębności „Małorusów” od narodu rosyjskiego – właściwie wówczas nie istniał. Mykoła Michnowśkyj, pierwszy konsekwentny niepodległościowiec i nacjonalista, cieszył się niewielkim poparciem (głównie w kręgach wojskowych) i przegrał walkę o wpływ na kształt rodzącego się państwa. Zaś Dmytro Doncow, późniejszy twórca założeń ukraińskiego nacjonalizmu integralnego, przebywał w tym czasie na emigracji. Wróci do Kijowa już po upadku Republiki, a i wtedy nie odegra żadnej roli (jego czas przyjdzie dopiero po klęsce).

Powołana w marcu 1917 r., wkrótce po obaleniu caratu, Ukraińska Centralna Rada – zgromadzenie przedstawicieli partii politycznych i organizacji społecznych, a później też rad delegatów ludowych (robotniczych, chłopskich i żołnierskich), swoisty „przed-parlament” – oraz utworzony przez Radę w czerwcu Sekretariat Generalny, rząd ukraiński (ale nie rząd Ukrainy), zmarnowały wielki potencjał poparcia dla idei niepodległości, jaki istniał wiosną 1917 r.

Poprzestali na wynegocjowaniu z Rządem Tymczasowym Rosji – powstałym

Dziś w publicystyce ukraińskiej można spotkać oceny, że to w styczniu 1918 r. na polu bitwy pod Krutami zaczęła się stuletnia, wciąż trwająca wojna o niepodległość Ukrainy.

po abdykacji cara – dość szerokiej autonomii. Ukraińscy politycy nie dojrżeli do myśli o niepodległości, o odrębnym bycie państwowym. Wielu z nich nie dojrzało do niej do końca. Jeśli budowali ją w kolejnych miesiącach i latach, to pod presją wydarzeń.

Odrębna, ale nie niepodległa

Dopiero po przewrocie bolszewickim, 20 listopada 1917 r., Centralna Rada proklamowała powstanie Ukraińskiej Republiki Ludowej, jednak – to dosłowny cytat! – „nie oddzielając się od Republiki Rosyjskiej”, tj. w federacyjnym związku z Rosją. Jednocześnie Rada ogłosiła wywłaszczenie wielkiej własności ziemskiej bez odszkodowania, zniesienie kary śmierci i inne posunięcia o charakterze rewolucyjnym, socjalistycznym.

Nowa Ukraina miała być więc odrębna, ale nie – niepodległa.

Najważniejsze okazało się określenie przez Radę granic Ukraińskiej Republiki Ludowej, obejmujących gubernie: wołyńską, podolską, kijowską, czernihowską, połtawską, katerynosławską, charkowską oraz chersonską z wyłączeniem Krymu. Była to praktycznie całość ziem byłego Imperium Rosyjskiego o przewadze Ukraińców, łącznie z większą częścią Donbasu (gdzie wówczas wieś była niemal czysto ukraińska). Tymczasem republikańska, a potem bolszewicka Rosja odmawiała Ukrainie praw do przemysłowego wschodu i ziem nadmorskich.

Przypomnienie tego ostatniego jest ważne: to nie bolszewicy „wymyślili” granice Ukrainy, jak dziś można usłyszeć w Moskwie. Oni jedynie poczuli się zmuszeni do realizacji programu ukraińskiej lewicy niepodległościowej, bo bez kontroli nad Ukrainą ich państwo nie mogło przetrwać. Powołując w grudniu 1917 r. Sowiecką Ukraińską Republikę Ludową, zaakceptowali ten program (później kierownictwo sowieckie nie poparło projektu odłączenia od Ukrainy wschodnich okręgów przemy-

słowych jako Doniecko-Krzyworoskiej Republiki Sowieckiej).

Siła i determinacja oporu Ukraińców w następnych latach doprowadziły też do zorganizowania powstającej „ojczyzny światowego proletariatu” jako państwa federacyjnego. I nieważne, że sowieckie republiki związkowe były państwami czysto formalnie – gdy w 1991 r. wybiła godzina upadku Związku Sowieckiego, ten właśnie formalny status pozwolił im sięgnąć po niepodległość, a wspólnocie międzynarodowej – uznać legalność ich emancypacji.

Zaniechania i błędy

Reakcją bolszewików na powołanie Ukraińskiej Republiki Ludowej była inwazja.

Zapewne zdawali sobie sprawę ze słabości nowego tworu – i lepiej niż ich przeciwnicy z Kijowa rozumieli też znaczenie czasu. Władze polityczne Republiki zbyt wiele razy lekcewały postulaty swoich wojskowych, żądających proklamowania pełnej niepodległości. Nawet proklamujący UNR III Uniwersał [tj. manifest – red.] został uchwalony pod presją obradującego w tym czasie w Kijowie Zjazdu Wojskowego (3 tys. jego uczestników było siłą zdolną obalić Radę).

Wcześniej, w lipcu 1917 r., rządzący socjaliści zdołali udaremnić pucz zorganizowanych w Kijowie ukraińskich jednostek wojskowych i wyprowadzić je na front (pamiętajmy – po abdykacji cara Republika Rosyjska wciąż toczyła wojnę z Niemcami i Austro-Węgrami). Nie zrobiono nic, by związać z Ukraińską Republiką zukrainizowane jednostki armii rosyjskiej (tj. przeorganizowane na zasadach etnicznych; były wśród nich m.in. trzy Korpusy Polskie) – choć jesienią 1917 r. to właśnie dowodzony przez gen. Skoropadskiego (przyszłego hetmana) zukrainizowany korpus zapewnił spokój na centralnej Ukrainie, zwalczając bandy zbolszewizowanych dezertów.

W efekcie zamiast 300 tys. żołnierzy, nominalnie podporządkowanych Centralnej Radzie w lipcu-sierpniu 1917 r., na początku 1918 r. w obronie Ukraińskiej Republiki Ludowej przed bolszewikami stanęło zaledwie 7-8 tys. ludzi, i to w znacznej mierze członków improwizowanych ochotniczych formacji, pozbawionych zaplecza kwaterymistrzowskiego i nietworzących jednolitej struktury. Byli bitni, w dużej mierze byli weteranami I wojny światowej. Ale stworzenie z nich armii wymagało czasu. A czasu nie było.

Dopiero po miesiącu wojny, 22 stycznia 1918 r., Centralna Rada zdecydowała się wydać IV Uniwersał, proklamujący niepodległość UNR. Zdaniem części hi-

storyków uczyniła to pod presją Niemiec, w pokoju z którymi Ukraina szukała ocalenia. Ci zaś – całkiem rozsądnie – nie widzieli możliwości zawarcia pokoju z autonomiczną prowincją państwa, z którym skądinąd także chcieli zawrzeć pokój.

Godzina próby

Ale nawet wtedy kijowscy socjaliści nie wyobrażali sobie pełnej niepodległości, samodzielnego bytu państwowego: w ostatnich zdaniach IV Uniwersału czytamy, że przyszła ukraińska Konstytuanta „będzie decydować o federacyjnym związku z republikami ludowymi byłego państwa rosyjskiego”. Widzieli więc przyszłość Ukrainy jako czegoś w rodzaju Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki, tyle że nie bolszewickiej.

Jednocześnie zapowiedziano... rozpuszczenie armii stałej z chwilą zawarcia pokoju i powołania w jej miejsce „milicji ludowej, aby wojsko nasze chroniło lud roboty, a nie słuchało życzeń warstw panujących”.

Był to krok samobójczy, pieczętujący upadek Republiki. Późniejsze wydarzenia – nie tylko na Ukrainie – pokazały, że zanarchizowana i zdemoralizowana „stara” armia miała potencjał odrodzenia. Skorzystała z tego potencjału tak biała, jak też czerwona Rosja. Ukraina nie zdołała. Czy raczej – nie zechciała.

Potem były Kruty, utrata Kijowa, pokój brzeski i obalenie Republiki, rządu hetmana i ich obalenie przez socjalistów po krótkiej wojnie domowej, nowy najazd rosyjski, tym razem podwójny – biały i czerwony, kolejna katastrofa i wymuszony sojusz z Polską w 1920 r., który odwlekał ostateczny upadek niepodległej Ukrainy ledwie o pół roku.

Gdyby nie zlekceważenie w 1917 r. wojskowego aspektu niepodległości, bieg wydarzeń mógł być inny.

Ale też – dzięki tym wydarzeniom powstało autonomiczne państwo z własnym aparatem biurokratycznym, możliwe było dziesięciolecie sowieckiej ukrainizacji, umacniające język i kulturę narodu przed kolejną falą rusyfikacji oraz katastrofą kolektywizacji i Hołodomoru. Pokraczna poczwarka, w której naród czekał odmiany losu. A zaczęło się pod Krutami.

Powrót do Krut

W Kijowie do dziś nie ma pomnika poległych pod Krutami – oprócz nagrobka na bratniej mogile kilkudziesięciu studentów, ekshumowanych wiosną 1918 r. Tam, przy klasycystycznej cerkwi, w czasach sowieckich przebudowanej na rotun-

dę, odbywają się coroczne oficjalne obchody pamięci poległych.

Pod Krutami, w szczerym polu (bo budynek stacji jest dziś w innym miejscu), najpierw usypano kurhan zwieńczony krzyżem. Potem, jakieś 10 lat temu, dodano drugi, na którym stanęła kolumna z tryzubem, godłem państwowym.

Gdy się od nich odwrócimy, widzimy prawdziwy pomnik: lokomotywę i wagon kolejowy. Ta forma ma przypomnieć, że ówczesną wojnę toczono na torach oraz o tory: pojedyncza lokomotywa, na jednej z lor – armatka, lufą zwrócona na wschód. W wagonach skromna ekspozycja, pokazująca, kto i o co wówczas walczył. A także – jak wyglądało ówczesne żołnierskie życie: w jednym z wagonów zachowano polową odzież, wówczas podstawowy środek walki z dziesiątkującymi armie epidemiami tyfusu.

Niedawno w jednym z wagonów urządzono ekspozycję, poświęconą współczesnej wojnie w Donbasie. Także skromną, głównie fotograficzną. Most przerzucony nad stuleciem.

Bo dziś Kruty nabrały nowej wagi symbolicznej. Powstrzymanie wrogiej inwazji (choćby na chwilę) przez słabo przeszkolonych ochotników kojarzy się z początkowym okresem wojny donieckiej wiosną i latem 2014 r., gdy – wobec rozkładu ukraińskich sił zbrojnych – opór musieli stawiać ochotnicy. Stawili i dotrwali aż do odbudowy zdolności bojowych regularnego wojska.

Przeciwnik też jest ten sam. Zimą 2016/2017 r. w strefie walk z Rosjanami pojawiły się ulotki „Pamiętaj o Krutach”. W tym roku też pewnie się pojawią. A w publicystyce ukraińskiej można niekiedy spotkać – nieważne, że mocno przesadzone – oceny, że pod Bachmaczem i Krutami zaczęła się stuletnia, wciąż trwająca wojna o niepodległość Ukrainy.

Major Zakwaliński

W broszurze, którą rozdają w Krutach, w tamtejszym muzeum, można znaleźć m.in. listę poległych i ocalałych junkrów, studentów i gimnazjalistów. Z pewnym zaskoczeniem przeczytałem tu co następuje (w tłumaczeniu): „Zakwaliński, elew Pierwszej Ukraińskiej Wojskowej Szkoły Elewów (Junkrów) im. Bohdana Chmielnickiego w Kijowie. Po pierwszej wojnie światowej – major Wojska Polskiego”.

A zatem: major Zakwaliński. Obrońca Kijowa przed czerwonymi w styczniu 1918 r.

Może w polskich archiwach wojskowych znalazłby się o nim bliższe informacje? Choćby imię, którego brak w zapisach z epoki? ©

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI (ur. 1950) jest emerytowanym analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie. Autor książek, m.in. „Historia Ukrainy w XX wieku”, „Trud niepodległości. Ukraina na przełomie tysiącleci”, „Czwierćwiecze niepodległej Ukrainy. Wymiary transformacji”.

Ś.†P.

Michał Jan Henryk Giedroyc

ur. 25 stycznia 1929 w Łobzowie k. Dereczyny
zm. 29 grudnia 2017 w Oxfordzie

zesłaniec na Sybir, absolwent Junackiej Szkoły Kadetów
na Środkowym Wschodzie, absolwent Southampton College, London University,
specjalista ds. konstrukcji samolotów oraz doradca ds. planowania przemysłowego,
członek Senior Common Room, Oriel College, Oxford,
wyróżniony magisterium h.c. Uniwersytetu Oksfordzkiego, historyk,
publicysta i przyjaciel Instytutu Literackiego (Maisons-Laffitte)

pozostawił pograżonych w smutku

ŻONĘ ROSY
ORAZ DZIECI MIKO, KASIE, COKY I MEL Z RODZINAMI

DARWIN NA TROPACH ZBRODNI

Klasyczna kryminologia uznawała przemoc za odstępstwo od normy, dewiację lub objaw zaburzeń. Dziś jednak wiemy, że to ewolucja ukształtowała w nas skłonności do agresji wobec bliźnich.

KASPER KALINOWSKI

WIELE RODZAJÓW PRZESTĘPSTW – JAK morderstwa, przestępstwa seksualne, przemoc wobec partnerów – najczęściej popełnianych jest przez specyficzną grupę społeczną: młodych mężczyzn. Na gruncie tradycyjnych nauk społecznych tego oraz wielu innych fenomenów związanych z przemocą nie da się satysfakcyj-

nie wyjaśnić. Pozwala na to dopiero przyjęcie ewolucyjnej perspektywy.

Tymczasem na 19 najbardziej wpływowych książek z zakresu kryminologii wydanych po 2000 r. blisko połowa nie uwzględniała kontekstu ewolucyjnego. Nawet na prestiżowej konferencji Amerykańskiego Towarzystwa Kryminologicz-

nego tylko 23 na 147 autorów wystąpień wśród przyczyn przemocy wymieniło czynniki ewolucyjne.

Dlaczego dla wielu uczonych ewolucyjna geneza przemocy stała się naukowym tabu? Z jednej strony lubimy czuć się wyjątkowi i negować swoją „zwierzęcą naturę”. Ewolucyjne wyjaśnienie zachowania



ludzi współczesnych budzi często opór o podłożu emocjonalnym bądź ideologicznym. Dobrą ilustracją takiej reakcji jest polskie tłumaczenie najsłynniejszego podręcznika do psychologii społecznej Elliota Aronsona – oryginalne „Zwierzę społeczne” („*The Social Animal*”) przetłumaczono jako „Człowiek. Istota społeczna”.

Z drugiej strony w życiu codziennym często ulegamy różnym zniekształceniom poznawczym. Jednym z nich jest tzw. błąd naturalistyczny, polegający na nieuprawnionym wyprowadzaniu tego, jak „powinno być” (czyli praw moralnych), z tego, co „jest”. W praktyce błąd ten stawia znak równości między próbą znalezienia ewolucyjnej przyczyny zjawiska a jego usprawiedliwieniem. William McKibbin, psycholog z Uniwersytetu w Michigan, w artykule dotyczącym gwałtu spuentował go w następujący sposób: „Żadna rozsądna osoba nie będzie twierdzić, że naukowiec badający przyczyny raka w jakiś sposób usprawiedliwia bądź promuje nowotwory. Jednak niektórzy twierdzą, że przyjęcie ewolucyjnej perspektywy w analizie gwałtu usprawiedliwia sam gwałt”.

Powszechność przemocy

Jeżeli skłonność do przemocy jest wynalazkiem ewolucji, to powinna być czymś dość rozpowszechnionym i uniwersalnym międzykulturowo. Czy tak jest w istocie?

Każdy z nas może przeprowadzić prosty eksperyment. Zastanów się, czy kiedykolwiek zdarzało ci się fantazjować o zabiciu drugiej osoby. Jeżeli odpowiedziałaś(eś) twierdząco, nie oznacza to jeszcze, że jesteś potworem. W eksperymencie psychologa ewolucyjnego Davida Bussa do fantazjowania o zabójstwie – intensywnego i pełnego detali – przyznało się 91 proc. mężczyzn i 84 proc. kobiet.

Buss oraz Joshua Duntley twierdzą, że w toku historii naturalnej ludzie napotykali na cały szereg stale powtarzających się adaptacyjnych problemów, takich jak konieczność samoobrony, ochrony krewnych czy niepewność ojcostwa, w których stosowanie przemocy było mniej kosztowne niż rozwiązania „pokoju”. Dlatego ewolucja wyposażyla nas w specyficzne – często subtelne – mechanizmy psychologiczne odpowiedzialne za przemoc. Już na początku lat 80. XX w. przeprowadzono eksperyment polegający na prezentacji 53 więźniom skazanym za przestępstwa z użyciem przemocy nagrania 60 osób przechadzających się po Nowym Jorku. Więźniowie byli zgodni w typowaniu osób, które wybrałoby na ofiarę.

Czy to się komuś podoba, czy nie, teza o powszechności przemocy wydaje się obecnie nie do odrzucenia. Wzmacniają ją również odkrycia archeologiczne. Najstarsze kamienne topory liczą 400 tys. lat. Bardzo wymowny obraz prehistorii daje cmentarz z Jebel Sahaba na terenie dzisiejszego Sudanu. Blisko połowa z odnalezionych szkieletów sprzed ok. 15 tys. lat p.n.e. nosi wyraźne ślady przemocy – obrażenia czaszek, szyi i kończyn. Niegdyś popularny obraz „szlachetnego dzikusa” nie jest do utrzymania w obliczu faktów oraz obserwacji ostatnich społeczności łowiecko-zbierackich.

Społeczności takie to prowadzące koczowniczy tryb życia grupy, złożone z ok. 150 osób. Dominowały przez większą część historii *Homo sapiens* i to w nich ewoluował nasz gatunek, nasz mózg i funkcje poznawcze. Najprawdopodobniej z rajem czy hippisowską komuną nie miały wiele wspólnego. Carol Ember, antropolog z Yale University, wyliczyła, że aż 64 proc. społeczności łowiecko-zbierackich znanych współczesnej nauce bierze udział w wojnie przynajmniej raz na dwa lata. Celem takich wojen jest zabicie przeciwników – bardzo często włącznie z kobietami i dziećmi. Sugerują to m.in. obserwacje Indian Yanomamö, wśród których udział w potyczkach regularnie bierze 40 proc. mężczyzn. Lawrence Kelsey, antropolog z Uniwersytetu w Illinois oraz autor „*War before Civilization: The Myth of the Peaceful Savage*” oszacował, że przeciętna społeczność łowiecko-zbieracka w ciągu roku na skutek wojen traci ok. 5 proc. populacji. Liczba ofiar wojen w XX w. (którą szacuje na 100 mln) jest i tak ok. stu razy mniejsza niż szacowana liczba ofiar, które w takim okresie pochłonęłyby wojny w społecznościach zbieracko-łowieckich przy współczesnej liczbie ludności. Podobnie uważa Steven Pinker, który rozwój cywilizacji, a zwłaszcza wytworzenie aparatu bezpieczeństwa – m.in. w postaci policji – bezpośrednio wiąże ze zmniejszeniem ogólnego poziomu przemocy.

Ludzie i inne małpy

Do czasów pionierskich obserwacji szympanów prowadzonych przez kilka dekad przez Jane Goodall dominowała opinia, że zachowania takie jak skoordynowane i obliczone na zabicie przeciwników ataki są domeną ludzi. Nie jest to może pocieszające, ale w latach 70. XX w. podważono tę popularną opinię. Szympany, które wcześniej tworzyły jedną grupę, podzieliły się na dwie mniejsze społeczności, nazwane

później Kasakela i Kahama. Od tego czasu Jane Goodall z zespołem obserwowała systematyczne rajdy samców na terytorium wroga mające na celu eksterminację innych szympanów. Były one również brutalne jak walki między ludźmi. Z pokonanych zdzierano pasy skór, miażdżono im kości, a z ran pito krew. Małpy używały nawet narzędzi w postaci kamieni oraz konarów drzew.

Zapiski opisujące przebieg wojen i ślady przemocy spotkamy we wszystkich kręgach kulturowych – od starożytnej Mezopotamii, Sumeru i Egiptu po Grecję i Rzym. Jesteśmy gatunkiem, który nie szczędzi wysiłków, aby udoskonalać sztukę wojny i eksterminacji innych ludzi, a okrucieństwo wojen starożytnych nie różni się zasadniczo od rzezi dokonywanych podczas II wojny światowej. Jednym z najstarszych zachowanych zapisków jest opis masakry dokonanej ok. 1950 r. p.n.e. po zdobyciu sumeryjskiego miasta Ur przez Elamitów: „Kiedy oblegający opuścili miasto, pozostawili po sobie tylko ruiny (...) zawalone trupami, które zalegały wszędzie niczym popękane skorupy. (...) W wysokich murach w bramach, pod którymi nie tak dawno kłębiły się tłumy, leżały stopy ciał. Place, gdzie niegdyś świętowano, pełne były odrąbanych głów (...) Wszędzie układano sterty martwych ciał”.

Także dane ekonomiczne mogą mówić coś o naszej naturze. Jak zauważa David Livingstone Smith, w 2004 r. świat wydawał na zbrojenia przeciętnie trzy miliardy dolarów dziennie. W tym samym roku pomoc humanitarna dla krajów rozwijających się wyniosła łącznie 78,6 mld dolarów.

Qui bono?

Psycholodzy ewolucyjni uważają, że w toku historii naturalnej zachowania o charakterze ryzykownym czy agresywnym sprzyjały męskiemu sukcesowi reprodukcyjnemu. Walka o pozycję społeczną, dostęp do partnerek czy status socjoekonomiczny jest szczególnie intensywna wśród młodych mężczyzn, a zachowania agresywne mogły tę walkę ułatwiać.

Taki efekt zaobserwowano np. wśród wspomnianych Indian Yanomamö, u których cenił wojowniczy cieszą się większym uznaniem kobiet. Różnice w zachowaniu obu płci doskonale opisuje zaproponowana w latach 70. XX w. przez Roberta Triversa teoria inwestycji rodzicielskich. Przewiduje ona, że płęć, która ponosi wyższe koszty potencjalnego stosunku płciowego (np. u ssaków: ciąża, laktacja, opieka nad potomstwem – to wszystko wymaga →

→ czasu i energii, które można by spożytkować na coś innego), dokonuje wyboru partnera i jest mniej agresywna w rywalizowaniu o nich.

W przypadku płci, która ponosi mniejsze koszty „inwestycji” w potomstwo, konkurencja o partnerów jest bardziej zacięta, pojawiają się różne przejawy agresji. U wielu gatunków samce toczą pojedynki, których zwycięzcy korzystają z uprzywilejowanego lub wyłącznego dostępu do samic. U ludzi echem tej prawidłowości może być to, że w czasach współczesnych głównie młodzi mężczyźni giną na skutek brawurowej jazdy samochodem, rzadziej zapinają pasy bezpieczeństwa, zdecydowanie dominują w więzieniach i częściej trafiają na szpitalne oddziały ratunkowe. Dodajmy, że na terenie dzisiejszych Stanów Zjednoczonych 87 proc. osób popełniających zabójstwa oraz 75 proc. ich ofiar to mężczyźni. To również mężczyźni deklarują wyższy poziom zadowolenia z zachowań ryzykownych, zaś u kobiet obserwuje się wyższy poziom lęku w sytuacji zagrożenia.

Robert P. Burris z Uniwersytetu w Liverpoolu zauważył, że naniesione komputerowo blizny zwiększały atrakcyjność młodych mężczyzn w przypadku szukania relacji krótkoterminowych. Jeszcze w XIX w. na terenie Niemiec adepci szkół wojskowych z dumą prezentowali blizny odniesione podczas pojedynków. Mawiano nawet, że takie blizny są „przepustką do dobrego małżeństwa”. Nie trzeba nawet analizować wojny, aby znaleźć podobne efekty. W eksperymentach przeprowadzanych przez Lei Changa i współpracowników współcześnie udowodniono, że sama ekspozycja zdjęć atrakcyjnych kobiet sprzyja wybieraniu przez mężczyzn udziału w wojnie lub skłanianiu się ku rozwiązaniom siłowym.

Działania wojenne nieuchronnie wiążą się z mężczyznami – w agresji fizycznej dominuje płeć silniejsza. Oprócz mitycznych Amazonek historia zna niewiele przypadków zorganizowanych oddziałów kobiet (można by tu wskazać m.in. oddziały Armii Czerwonej podczas II wojny światowej czy elitarne, złożone wyłącznie z kobiet oddziały w armii afrykańskiego królestwa Dahomeju w XVIII i XIX w.). Przyczyną ich powstawania był prawdopodobnie niedobór mężczyzn w populacji – w ZSRR wielu zginęło na froncie, a w Dahomeju kwitł w tym czasie handel niewolnikami.

Szesnaście milionów potomków

Typowy dla czasu wojny upadek dotychczasowych norm moralnych czy sankcji

Duża grupa Azjatów
ma zbliżoną sekwencję
chromosomu Y.
**Pochodzi on
od Czyngis Chana,**
przodka około 16 mln
współczesnych mężczyzn.

społecznych sprzyja również przemocy na tle seksualnym. Obrazuje to m.in. odkrycie dokonane przez zespół brytyjskiego genetyka Chrisa Tyler-Smitha. Blisko 8 proc. mężczyzn z przebadanych przez niego 16 azjatyckich populacji ma zbliżoną sekwencję chromosomu Y. Dokładniejsze analizy wykazały, że chromosom ten pochodzi najprawdopodobniej od Czyngis Chana, który jest przodkiem ok. 16 mln współczesnych mężczyzn. Ogromny sukces reprodukcyjny władcy imperium Mongołów nie byłby możliwy bez jego rozległych podbojów militarnych.

Przemoc seksualną może zwiększać również mechanizm niepewności ojcostwa – nie mogąc być całkowicie pewni, czy są faktycznym ojcem dziecka, mężczyźni w toku ewolucji wykształcili wiele mechanizmów psychologicznych mających minimalizować ryzyko wychowywania obcego potomstwa, takich jak m.in. większa skłonność do przypisywania partnerkom niewierności. Zaś jak uważa Buss, to zazdrość jest główną przyczyną przemocy międzypłciowej. Ciekawym w tym kontekście wydaje się fenomen polegający na komplementowaniu urody dziecka w kierunku podobieństwa do ojca, który mógł pojawić się, by zapobiegać ewentualnej agresji względem dziecka. Jeanne Regalski i Steven Gaulin z Uniwersytetu w Pittsburghu przeprowadzili w Meksyku wywiady z rodzicami dzieci w wieku do 6 miesięcy. Odkryli, że podobieństwo do ojca jest komunikowane znacznie częściej niż do matki. I jest ono akcentowane częściej przez matki i ich krewnych niż przez rodzinę ojca.

W latach 60. William Hamilton opisał mechanizm doboru krewniaczego, wskazując, że dobór naturalny promuje dbanie o interes i przetrwanie osób z nami spokrewnionych – im bliższy poziom pokrewieństwa, tym większa skłonność do niesienia pomocy.

Mechanizm ten może również rzucić światło na przemoc wobec dzieci – we-

dług klasycznych ustaleń Martina Daly’ego i Margo Wilson z końca lat 80., dla dzieci wychowywanych przez przybranych rodziców ryzyko doświadczenia przemocy jest od czterdziestu do stu razy wyższe niż w przypadku dzieci mieszkających z dwojgiem biologicznych rodziców. Ojcowie genetyczni rzadziej są sprawcami przemocy wobec dzieci niż mężczyźni wychowujący dzieci z nimi niespokrewnione, zaś w przypadku dzieciobójstwa stosują metody niż ojcowie wychowujący obce dzieci. Genetyczni rodzice są zaś bardziej szkodliwi. Z ustaleń Kermyta Andersona i Hillarda Kaplana wynika, że biologiczne dzieci otrzymywały od rodziców średnio 15,5 tys. dolarów więcej na edukację od dzieci adoptowanych.

Druga część opowieści

Przyglądając się pełnej przemocy historii człowieka z perspektywy ewolucyjnej, nie należy zapominać, że jesteśmy gatunkiem, który uśmiecha się na widok niemowlaków, uczestniczy w akcjach charytatywnych albo oddaje krew obcym osobom. W toku ewolucji równocześnie z mechanizmami odpowiadającymi za wewnątrzgatunkową przemoc wykształciliśmy mechanizm dbania o innych, zwłaszcza dzieci. Altruizm jest równie silnie zakodowany w naszej historii naturalnej jak przemoc. Posiadamy wiele mechanizmów, które sprawiają, że nie chcemy krzywdzić innych. Nawet podczas konfliktów nie zawsze jesteśmy skłonni do przemocy – w czasie II wojny światowej większość amerykańskich żołnierzy celowo strzelała nad głowami przeciwnika, a udział w wojnie łączy się od zawsze z szeregiem późniejszych problemów psychicznych (takich jak zespół stresu pourazowego – PTSD).

Fakt, że ewolucja uczyniła z nas osobniki zdolne do agresji, to oczywiście tylko część opowieści o ludzkiej naturze. Jednak błędem byłoby tę część przemilczeć. Jeśli rację miał Czechow, który stwierdził, że „człowiek stanie się lepszy, gdy pokażesz mu, jaki w istocie jest” – to poznanie ewolucyjnych korzeni przemocy może być dobrym punktem wyjścia do jej zwalczania.

©

KASPER KALINOWSKI

Autor jest doktorantem Uniwersytetu Warszawskiego oraz asystentem na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. Współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Nauk o Człowieku i Ewolucji. Zajmuje się m.in. psychologią ewolucyjną.

ANDRZEJ

Stasiuk:

Był dzień Trzech Króli



ZACZAŁ SIĘ ROK I NIE WIADOMO, CO BĘDZIE. Ósma rano, niskie chmury i błoto. W oddali, w mglistym powietrzu porykuje bydło. Nisko, płasko, jak spod wody. Jakby świat się zanurzył na początku stycznia i Bóg wie, kiedy wypłynie. Łagodny potop. Tak

dla przypomnienia. I te głosy krów sąsiada przywodzą na myśl głosy wymarłych krów morskich, morskich syren. Tak sobie to wyobrażam. Że się cofamy, że chcemy opuścić ląd, bo to wszystko wydało się zbyt trudne, zbyt niebezpieczne, za wielkie dla nas. To życie na powietrzu, w świetle dnia, w blasku słońca, życie na wolności, gdy każdy gest, każdy ruch wydaje się lekki, nieważki i trudno odgadnąć, dokąd nas zaprowadzi. Że lepiej było jednak w głębi wód, pod ciśnieniem, pod ciężarem, w oddzieleniu, w niemych ławicach pędzonych nieustępliwymi prądami, w dół, w ciemność i chłód, na samo dno, w piach, w muł, by przetrwać w opuszczonych muszlach, w podwodnych jamach, z dala od innych.

Nie wiadomo, co będzie, chociaż rok się już zaczął. Śnieg spada na chwilę i zaraz znika. Zupełnie, jakby kosmos bawił się w kotka i myszkę, i nawet upływ, starzenie się i śmierć utraciły coś ze swojego nieodwracalnego okrucieństwa, które sprowadzało spokój. „Grozí nam atak zimy”, czytasz, a potem się okazuje, że w okolicy Suwałk w nocy będzie minus pięć stopni. I nie wiadomo: czy to wszechświat wypada z kolein, czy to my produkujemy histerię jak pszczoła miód, a pajak nić. W każdym razie wygląda na to, że z każdym oddechem wydychamy strach, a potem na powrót wciągamy go do płuc. Kiedyś zapewne też tak było, ale strach jednak gdzieś się podziewał, coś go pochłaniało, tak jak rośliny pochłaniają dwutlenek węgla, zamieniając go w tlen. A teraz nie. Teraz siniejemy i opadamy na dno. Jak organizmy w dusznych akwenach, gdzie życie z wolna osia-

da, osadza się w gnilnych pokładach wydzielających siarkowodor.

Piszę to wszystko w Święto Trzech Króli. Przez miasta ciągną wesołe maskarady. Wlecemy na postronkach Bogu ducha winne zwierzęta. Wypomadowani na czarno, w turbanach, w idiotycznych strojach Obcy na parę godzin goszczą wśród nas. Potem zmywają ciemny *make up*, zdejmują kaftany i szarawary, a zwierzęta wracają do klatek i do zagrod. A my sami na powrót zanurzamy się w styczniowym mroku i w strachu, że prawdziwy Obcy nadejdzie, a przecież nie mamy sił ani odwagi, by go przyjąć i by mu sprostać. Nie mamy dla niego nic.

Nie świeci nad nami żadna gwiazda, która wskazywała drogę Magom, Astrologom albo Królom. Sami musimy zciemnić twarze i wkładać szarawary. Obcego nie widzę już żadna gwiazda. Gna go głód, gna go wojna, gna go strach taki sam jak nasz, który każe szukać pociechy w jasłkach opiewających dawną chwałę i dawną odwagę. Niczym nie różnimy się od przybyszów. Jak oni chcemy tylko przetrwać.

Śnieg prosi nocą, a za dnia w marnym cieple niewidzialnego słońca znika. Wypuszczam owce, żeby miały trochę ruchu i żeby poskubały sobie zielonych jeżyn rosnących nawet w najsrozsze zimy w jarze potoku. Wychodzą bez zapachu. To jedna, to druga odwraca łepkę i popatrzy, czy aby na pewno. W końcu jednak wychodzą na łąkę. Niby czarne, a szarobure jak mgła, niebo i ziemia. Rozlażą się niemrawo, coś tam pogryzają, szukają zielonego między zgniłym. O kilka, kilkanaście metrów jedna od drugiej, jakby w tym mokrym i zimnym powietrzu traciły owczą łączność. Ale czasem wystarczy jakiś ruch, którego nie jestem w stanie dostrzec, albo dźwięk, który słyszą tylko one, i w trzy sekundy zbijają się w ciasne stado. Bok przy boku, głowa przy głowie, zwarte, ściśnięte, jak wełnista, ciepła wysepka wśród bezmiaru ziem Beskidu. Znieruchomiełe wypatrują rzeczywistego albo urojonego niebezpieczeństwa. Stoją tak długą chwilę i wyobrażam sobie, że ich wystraszone serca powoli uspokajają się i zaczynają bić w tym samym równym rytmie.

Nie chcę przez to powiedzieć, że jesteśmy owcami. Niemniej jednak, jeśli idzie o postrzeganie subtelnej mieszanek wyimaginowanych oraz rzeczywistych niebezpieczeństw, dorównujemy temu gatunkowi, a nawet go przewyższamy. Nie mamy tylko instynktu, który pozwoliłby nam przetrwać. Nawet w krótkiej perspektywie roku, który właśnie nadciągnął i nikt nie wie, jak się skończy. ©

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się postępowanie, sygn. akt I Ns 524/17, o uznanie za zmarłego z dniem 9 czerwca 2006 r. zaginionego w dniu 9 czerwca 2006 r. Sebastiana Wiśniewskiego, s. Błażeja i Alicji, ur. 18 grudnia 1979 r., ostatnio stałe zamieszkałego w Starym Koniku, gm. Halinów w Sulejówku.

Sąd wzywa Sebastiana Wiśniewskiego, aby w terminie 3 miesięcy zgłosił się, gdyż w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego. Sąd wzywa również wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym, aby w terminie 3 miesięcy przekazały je sądowi.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie, I Wydział Cywilny, w sprawie I Ns 322/17, z wniosku Gminy Miejskiej Lubaczów, z udziałem Kazimierza Niedźwieckiego, o stwierdzenie nabycia spadku po Janinie Niedźwieckiej, zm. 15 marca 2002 r., i Tadeuszu Niedźwieckim, zm. 17 grudnia 1997 r., ostatnio zamieszkałych w Lubaczowie, ul. Polna 39, po których pozostał majątek w postaci nieruchomości o numerach: 916, 917, 929, 1020, 1056, położonych w Lubaczowie – wzywa wszystkie osoby roszcujące sobie prawa do spadku, aby w terminie 3 miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIA

SCENA JEST NASZA

O przyszłość zespołu aktorskiego Narodowego Starego Teatru w Krakowie pytają i publiczność, i reżyserzy, i ci, którzy w ostatnich latach byli z nim związani.

ANNA GOC

NA ROZMOWĘ ZGADZA SIĘ KILKA OSÓB z zespołu aktorskiego.

Prawie wszyscy jego najmłodsi członkowie odeszli. Nazywano ich „dziećmi Klaty”. To oni dostawali w ostatnich latach pierwsze etaty i pierwsze ważne role.

I to oni mają najsilniej w pamięci wydarzenia majowe.

Krystian Durman, w zespole Starego drugiego sezonu, gra m.in. w „Triumfie woli” i „Weselu” (jako Jasiek): – Pracowaliśmy nad „Weselem”, ponadczasowym dramatem, o którym mówiono nam od zawsze, że jest sprawdzianem na to, czy zespół jest zgrany, a dyrygent dobry. Mieliśmy i świetny zespół, i dobrego reżysera – Janka Klatę, naszego dyrektora. Próby zaczęliśmy w marcu, w połowie kwietnia dowiedzieliśmy się, że zostaje rozpisany konkurs na nowego dyrektora. Na przesłuchania kandydatów wybrano datę 9 maja, czyli drugi dzień prób generalnych, trzy dni przed premierą „Wesela”.

Po chwili dodaje: – O tym, że próba generalna jest w teatrze świętością, mówić nie trzeba. Rozwibrowanie, stres, dokręcone emocje. Dołożyli nam. Później tłumaczyli: idziemy wam na rękę, Kłata może wejść na przesłuchania pierwszy i zdążyć na wieczorną próbę. Stuprocentowa frekwencja, świetna kondycja finansowa teatru, chwalebny repertuar, zaproszenia na festiwale i najlepsza konkursowa aplikacja. Czy myśleliśmy, że może przegrać? Nie, bo teatr tworzy się na wierze. Wierzyliśmy – niezależnie od tego, co w ostatnim roku przechodziły inne sceny teatralne – że Kłata wygra.

I ciszej: – 9 maja czekaliśmy na powrót Janka cały dzień. Zobaczyłem go jako pierwszy. Spotkaliśmy się tuż obok wej-

ścia na scenę. Poprosił, by zwołać cały zespół. Usiedliśmy w scenografii „Wesela”. Mówił, a my widzieliśmy, że to koniec. Koniec jego dyrektury. I koniec nas, młodych, w Starym Teatrze. On nas tu ściągnął, on na nas postawił. Potrafił przyjść do garderoby po spektaklu i powiedzieć: „Dzięki za tę scenę. Dzisiaj jakoś inaczej, świeżo”.

Monika Frajczyk, w zespole była przez niecałe trzy sezony, zagrała m.in. w „Triumfie woli” i „Weselu” (jako Panna Młoda): – Odchorowujemy to, co działa się przez ostatnie miesiące. Jestem ze Starym zrosniona, zawsze będę, ale jednocześnie czuję, jak ta sytuacja niszczy teatr od środka. Zaczęłam kontrolować, co, gdzie, przy kim mówię. Aktorzy, żeby pracować, muszą mieć zapewnioną strefę komfortu, czuć się swobodnie, ufać tym, którzy z nimi współpracują.

Bartosz Bielenia, w Starym Teatrze był od 2014 r., gra m.in. w „Kopciuszku” i „Weselu” (jako Ksiądz): – Dotąd nasz teatr zadawał pytania, rodził się na niezgodzie. Teraz nie jesteśmy akceptowani. Jedynym miejscem, gdzie nie czujemy rezygnacji, jest scena. Scena jest nasza.

9 maja, wieczór

Krystian Durman: – Próba się nie odbyła. Ze sceny przeniesiliśmy się do bufetu. Zaczęły się schodzić kolejne osoby: aktorzy spoza „Wesela”, reżyserzy, którzy byli tamtego wieczoru w mieście, przyjaciele. Bufet pęczniał, a my czuliśmy się jak na ostatnim pożegnaniu. Słowa Wyspiańskiego, chocholi taniec, w który ktoś nas wrzucił.

Tamtego wieczoru na balustradzie Starego Teatru, od strony pl. Szczepańskiego, pojawił się kir. Wywiesili go młodzi aktorzy. Został do ostatniego dnia dyrektury

Jana Klaty. A nad schodami, w holu głównym, transparent „To jeszcze nie koniec”.

12 maja, premiera „Wesela”

Młodzi aktorzy mają łzy w oczach, gdy po premierze „Wesela” na scenie pojawia się Jan Kłata, a członkowie zespołu odczytują wspólne oświadczenie. „Stoimy na scenie i mówimy do Państwa o czymś, co jest dla nas ważne. Na tym właśnie polega teatr i chcielibyśmy, żeby tak zostało. Wierzymy, że teatr jest miejscem spotkania i dialogu. Dialog nie zawsze bywa łatwy, ale trzeba go podejmować”.

I dalej: „Nikt z nas nie osiągnie tyle, ile może zdziałać razem”.

Anna Dymna, w zespole Starego Teatru od 45 lat (w „Weselu” Radczyni): – Jan Kłata stworzył zespół ludzi, którzy pójdą w ogień dla tego teatru. Między nami, najstarszymi w zespole, a młodymi zadziergnęła się mocna, rzadko spotykana więź. Być może też dlatego, że rzeczy, które robiliśmy razem, wymagały niezwykłego wysiłku, zaufania i życzliwości.

Radosław Krzyżowski, w zespole Starego Teatru w latach 1998–2003, i ponownie od 2015 r. (w „Weselu” Pan Młody): – Nasz zespół jest duży, wielopokoleniowy. Nie jest żadną wspólnotą ideową. Bo zespoły teatralne nie do tego są powoływane.

Juliusz Chrzastowski, w zespole Starego Teatru od 2003 r. (w „Weselu” Gospodarz): – Kiedy pisaliśmy nasze stanowisko, nie było momentu, by ktokolwiek je kwestionował. To ostatnie chwile, gdy byliśmy razem.

Katarzyna Krzanowska, w zespole Starego Teatru od 2008 r. (w „Weselu” Rachel): Po spektaklu w Bydgoszczy, gdzie pojechaliliśmy z „Weselem”, zorganizowano



„Triumf woli” Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego, Stary Teatr, 16 grudnia 2017 r.

spotkanie z publicznością. Przyszło ponad pięćset osób. I padło pytanie: „Jak możemy wam pomóc?”. „Bądźcie czujni, nie dajcie się uśpić” – taka była nasza odpowiedź. Bo teatr nie jest własnością dyrektora ani nie należy do aktorów. Teatr jest widzów.

Jan Peszek (w „Weselu” Stańczyk): – Jestem w tym teatrze od kilkudziesięciu lat. Tak silnego połączenia zespołu z młodą publicznością jeszcze chyba nie było. Z kim mamy się wiązać, jeśli nie z przyszłością? Podczas owacji po „Weselu” obserwuję zespół. Jedni są zamyśleni, inni w euforii. Czujemy, że cała sala jest z nami. Ktoś wznosi palce, pokazuje znak zwycięstwa. Ale mnie wtedy przepęłnia smutek, bo to tak, jakbyśmy się chcieli nacieszyć tą chwilą, która jeszcze trwa, w przeczuciu, że nastąpi najgorsze.

Anna Dymna: – Wiem, czym teatr jest dla ludzi. Widziałam to w stanie wojennym, widzę i dziś. Nie potrafię zrozumieć,

dłaczego ktoś próbuje taką wartość zniszczyć. Najbardziej boli, gdy gramy nasze przedstawienia, mamy pełne widownie i czujemy, jak teatr jest potrzebny. Nie dopuszczam do siebie myśli, że może ostatni raz przeżywam takie momenty teatru ważnego, który czegoś istotnego dla nas wszystkich dotyka i pomaga zrozumieć świat.

Przez kolejne tygodnie grają po dwa spektakle „Wesela” dziennie. Wychodzą na oklaski. Gdy w kraju odbywają się protesty w obronie niezależnych sądów, stają na scenie z plakatem „Konstytucja”. Gdy przed Pałacem Kultury i Nauki podpala się Piotr Szcześny, wychodzą ze słowami, z którymi umierał: „Wolności oddać nie umiem”.

Krystian Durman: – A później był huk kos postawionych na sztorc. Wypędzanie zła z teatru. Jedność publiczności z zespołem. Czuliśmy to.

Młodzi aktorzy będą próbowali odreagować sytuację przed spektaklami. Czasem przejmują mikrofon służący do zwołania wszystkich na scenę. Są wtedy w teatrze sami, tylko w gronie zespołu. „Mamy dla was jeszcze ostatnią informację: konkurs był ustawiony” – żartują. Ale w zespole nie wszystkim to się podoba.

Podobnie jak nie wszyscy grający w „Weselu” wychodzą do oklasków. W niektórych garderobach uchłyły też rozmowy.

1 września

Stanowisko dyrektora Starego Teatru obejmuje Marek Mikos, recenzent teatralny, wykładowca Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie.

Krystian Durman: – Jego konkursowa aplikacja była zbudowana na krytyce nas – aktorów Starego Teatru. Tego, co dotąd robiliśmy, także na krytyce reżyserów, ➔

→ z którymi pracowaliśmy. Z myślą o tych, których nie interesuje, kim jest nasz nowy dyrektor i co o nas sądzi, powiesiliśmy jego aplikację konkursową na ścianie palarni.

Radosław Krzyżowski: – I jeszcze nie-szczęсна decyzja o powołaniu Jana Polewki na dyrektora artystycznego. Człowieka, który nie dostał w konkursie ani jednego głosu. Który przychodzi do nas z utopijnym projektem przywrócenia porządku teatralnego z lat 90. Który nie dostrzegł zmiany, jaka się w teatrze od tamtego czasu dokonała.

5 września

Marek Mikos spotyka się z zespołem.

Radosław Krzyżowski: – Podczas pierwszego spotkania z nową dyrekcją powiedziałem, że im nie ufam. Ale nie Markowi Mikosowi i Janowi Polewce, tylko Markowi Mikosowi jako dyrektorowi i Janowi Polewce jako dyrektorowi artystycznemu.

Po tym spotkaniu są dwa chłodne miesiące. Aktorzy mówią, że wielu z nich nie widziało w tym czasie dyrektora ani razu.

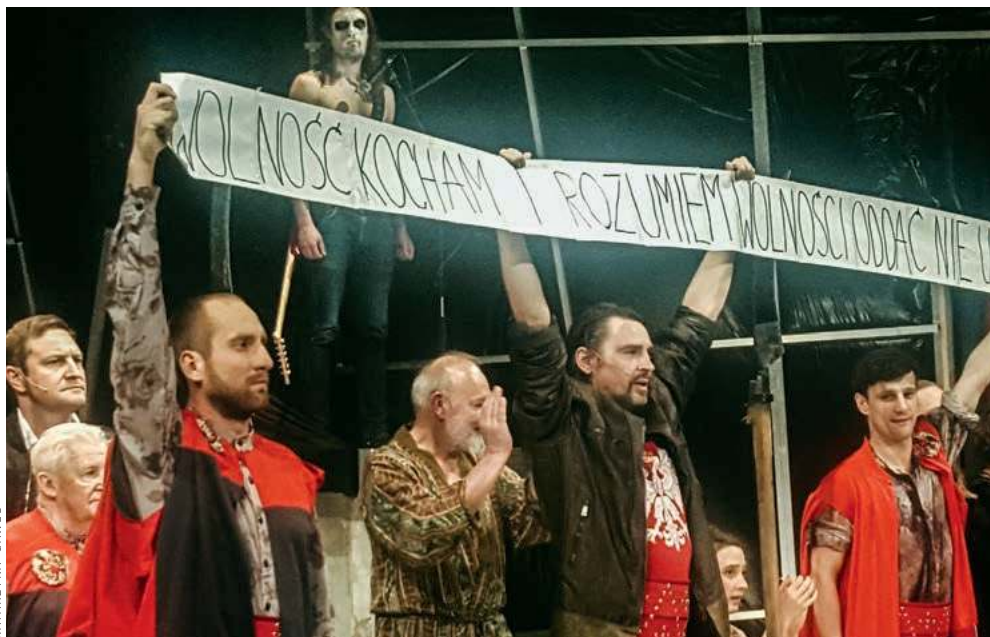
Juliusz Chrzastowski: – Teatr żył dwutorowo. Z jednej strony była scena, z drugiej gabinety dyrekcji. Marek Mikos wchodzi rano od strony ul. Jagiellońskiej, aktorzy przez bramę z pl. Szczepańskiego. Jan Polewka nie odpowiada nam nawet na „dzień dobry”. A w teatrze pojawiają się ludzie zatrudnieni przez nową dyrekcję, np. Jacek Zygałło, operator filmowy, zatrudniony jako pełnomocnik dyrektora ds. kontaktów międzynarodowych. Tyle że jego zadaniem jest napisanie nowego regulaminu naszej pracy. Nawet nie trzeba tego komentować.

Jan Peszek: – Przychodzę dziś do teatru, czytam na tablicy ogłoszeń o nowym reżyserze i nowej sztuce. I nagle informacja: „Premiera (pokaz zamknięty)”. Zastanawiam się, czy jestem na tej samej planecie. Premiera? Pokaz zamknięty? Bez publiczności? Przecież to jest zaprzeczenie sensu teatru. Ale potem rozglądam się. Wciąż jestem wśród tych samych ludzi, na tych samych korytarzach, czuję ten sam zapach.

Katarzyna Krzanowska: – W teatrze pojawili się obcy ludzie. Nie wiadomo, kim są. Nie wiadomo, czy są zatrudnieni. A jeśli tak, to na jakich stanowiskach. Chodzą po korytarzach. Także tych, gdzie jest już bardzo intymnie, przy garderobach. Nie odzywają się, nie odpowiadają „dzień dobry”. Przychodzą do bufetu.

– Kim pan jest? – spytała jednego z nich pewna znana aktorka.

– Ja tu reżyseruję – odpowiedział. – A pani, kim pani jest?



„Wesele” Jana Klaty, Stary Teatr, 29 października 2017 r.

Reżyserzy

Reżyserzy, w geście protestu (także wobec wcześniejszych zmian dyirekcji m.in. w Teatrze Polskim we Wrocławiu), decydują się na powołanie Gildii Polskich Reżyserów i Reżyserów Teatralnych. „Naszym pierwszym celem jest odniesienie się do programu kandydata wybranego na dyrektora Narodowego Starego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie w konkursie przeprowadzonym przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Program ten jest zagrożeniem dla przyszłości teatru artystycznego w Polsce, którego Stary Teatr jest symbolem” – pisali 22 maja 2017 r. podczas spotkania założycielskiego.

Jan Peszek: – Zespół aktorski Starego Teatru zostaje sam. Reżyserzy łączą się w ugrupowania. Nieczęsto korzystam z internetu, ale docierają do mnie informacje o tym, co dzieje się w środowisku reżyserów. Krytykowanie aktorów, którzy zdecydowali się zostać w teatrze, jest niesprawiedliwe. Przed chwilą posiłkowali się zespołem Starego Teatru. To właśnie m.in. ten zespół zapewniał jakość ich dzieł. Pojawia się więc pytanie: co zespół ma zrobić? Reżyserzy mają tę przewagę, zwłaszcza utalentowani, że mogą znaleźć inny teatr i inny zespół. Aktorzy mają bardzo ograniczone możliwości.

Monika Frajczyk: – Rozumiem ich wściekłość, żal, że Stary Teatr, ich wspólna praca z nami, została w pewien sposób ukarana. Niczym nie zawiniłszy, ani oni, ani my. Moja decyzja o odejściu też jest zabranie głosu w sprawie. Niemożności pracy w takich warunkach. Od 1 stycznia jestem na etacie w innym teatrze.

Katarzyna Krzanowska: – Pracowali z nami, nie z dyrektorem. Wiele z nich to nasi przyjaciele. Czuję się przez nich opuszczona. Przychodzą do nas przypadkowi ludzie. Najpierw argentyński reżyser Alejandro Radawski z „Domem Bernardy Alba”. Teraz Stanisław Mojsiejew z dramatem „Masara”. Ile razy można odmówić roli?

Juliusz Chrzastowski: – Dotąd czekaliśmy na wywieszenie obsady. Każdy aktor chce grać. Dziś otwieram maile z obsadą i nie chcę tam znaleźć swojego nazwiska. Mogliśmy być teraz w próbach „Braci Karamazow” Łuka Percevala czy „Wojny i pokój” w reżyserii Konstantina Bogomołowa.

Radosław Krzyżowski: – A przed nami trudny sezon 2018. Stulecie odzyskania niepodległości. Kiedy przyszedł do nas Alejandro Radawski, nikt nie wiedział, kim ten pan jest. Zespół w efekcie odmówił i w realizacji bierze udział tylko jedna aktorka ze Starego. Później pojawił się anon, że duża premierą będzie „Masara”. Zobaczyłem okładkę i nazwisko tłumaczki, świetnej, jak mało kto znającej rosyjski rynek. Zadzwoniłem do niej, powiedziała, że to jest bardzo dobry tekst. Ma liberalną, wolnościową wymowę. Dlatego 11 osób z zespołu weszło w próby.

Są słowa, które w naszych rozmowach pojawiają się często

„Bunt”

Monika Frajczyk: – Myśli były różne. Zrobimy protest. Zabarykadujemy się w teatrze. Nie wpuszczamy tu nikogo. Byliśmy niemal rok po Wrocławiu – ich niemych prote-



Gdy w kraju odbywają się protesty w obronie niezależnych sądów, stają na scenie z plakatem „Konstytucja”.
Gdy przed Pałacem Kultury i Nauki podpala się Piotr Szczesny, wychodzą ze słowami, z którymi umierał: „Wolności oddać nie umiem”.

stach, zwolnieniach, końcu teatru. Chciałabym, żeby pamięć o takich wydarzeniach była dłuższa. Żeby nad takimi gestami nie dało się przejść ot tak.

Katarzyna Krzanowska: – Losy naszych koleżanek i kolegów aktorów są bardzo smutne. Czy ktoś się zastanawia dziś, co się dzieje z tamtymi ludźmi, wspinały mi aktorami? Mocnym gestem byłoby złożenie 40 etatów. Rozważaliśmy zbiorowe odejście. Chcecie ten teatr, to macie.

„Walka”

Krystian Durman: – Po ogłoszeniu wyników konkursu zaczęliśmy się starać o spotkanie z ministrem kultury Piotrem Glińskim. Zgodził się. Pojechał mocny skład.

Anna Dymna: – Podczas rozmów z ministrem dowiedzieliśmy się, że jego decyzje są nieodwołalne. Są dwa wyjścia – wchodzimy bohatersko na barykady, palimy opony, wszystko rozwalamy, jest podniecająca afera i część ludzi nas za to kocha, choć to niczego w naszej teraźniejszości nie uratuje. Albo: próbujemy walczyć o teatr – który jest dla wielu z nas sensem życia i największą wartością – bez „rozlewu krwi”, z wiarą, że nasza miłość i pasja pomoże nam z godnością wyjść z tej matni. Możemy się też załamać, poddać, znienawidzić. Wtedy powiedzą: „banda histeryków” – tylko że my nie jesteśmy histerykami, codziennie stajemy na scenie. Teatr, który niczego nie robi, lub robi rzeczy przypadkowe, umiera. My nie chcemy umrzeć.

Juliusz Chrzastowski: – Dostaliśmy od ministra dość cyniczną informację zwrotną – nie chcieliście Michała Gielety jako dyrektora artystycznego, to go nie macie.

Katarzyna Krzanowska: – Wciąż nie mogę uwierzyć, że ministerstwo wykazało się taką ignorancją, żeby nie obejrzeć najważniejszych przedstawień w tym teatrze. Nie przyszli nawet zobaczyć, o co walczymy.

Radosław Krzyżowski: – Solidarność? Środowiskowe gadanie. Czy ktokolwiek nam pomoże?

„Odejścia”

Monika Frajczyk: – Niezależnie od tego, co zrobimy, zostaniemy poddani ocenie. Ci, którzy odchodzą, jako „nielojalni” wobec zespołu. Ci, którzy zostaną, wejdą w nowe spektakle jako kolaboranci.

Ci, którzy zostali

Radosław Krzyżowski mówi o dwóch celach, które ustalili wewnątrz zespołu. Pierwszy – zrobić wszystko, by zespół, który budował ten teatr od kilkudziesięciu lat, przetrwał. Drugi, by utrzymał poziom artystyczny.

Po kilku dniach prób „Masary”, które zaczęły się 5 grudnia, jedenaście osób, które gra w tym spektaklu, i część zespołu będąca poza obsadą spotyka się z Markiem Mikosem.

Radosław Krzyżowski: – Ile razy możemy słyszeć, że nas nie ma? Naszą śmierć odtrąbiono za wcześnie. Zaproponowaliśmy dyrekcji, że obie strony zrobią krok do tyłu. Bo czy dialog, o którym wszyscy mówimy, ma być dialogiem tylko z „naszymi”?

Zespół ma kilka postulatów. W tym ten najważniejszy: możliwość wyboru członków powoływanej przez dyrektora Rady Artystycznej.

Radosław Krzyżowski: – O jej składzie dotąd decydował dyrektor. Po naszych rozmowach z Markiem Mikosem wybraliśmy ją sami. Ma być powoływana w demokratycznych wyborach, na roczną kadencję. Ma mieć wpływ na kształt artystyczny Starego Teatru. Mieć prawo weta, decydować m.in. o tym, z którymi reżyserami współpracujemy i na które festiwale wyjeżdżamy. Chcemy przejąć współodpowiedzialność za kształt artystyczny sceny.

Zagłosowało 45 osób. Wybrali siebie: Annę Dymną, Annę Radwan, Dorotę Segdę, Ewę Kaim, Krzysztofa Zawadzkiego, Romana Gancarczyka, Radosława Krzyżowskiego.

Radosław Krzyżowski: – To skład, który reprezentuje różne interesy w teatrze. Dyrektor też zastrzegł sobie prawo weta, gdyby uznał, że w wyniku wyborów w Radzie znalazł się ktoś, z kim nie widzi moż-

liwości dialogu. Wtedy wchodzi kolejna osoba, pierwsza pod kreską. Jeśli się okaże, że nasze weta są nieskuteczne, odejdziemy z Rady. I przyjdzie czas na kolejne wybory, już niekoniecznie zespołowe. Na razie rozmawiamy z reżyserami. Bo tylko z nimi możemy odbudować jakość Starego Teatru.

Sezon obecny

– Wie pani, dlaczego tak niewiele naszych spektakli znalazło się w repertuarze na luty? – pyta jeden z aktorów. – Bo dyrektor wszystkich puścił do grania w Polsce. A działów Koordynacji Pracy Artystycznej nie udaje się dograć terminów aktorów występujących w spektaklach.

Katarzyna Krzanowska: – Mamy wrażenie, że nasze spektakle dogorywają. Ludzie odchodzą. Zagraliśmy ostatnie „Do Damaszkę” Klaty, ostatniego „Hamleta” Garbaczewskiego. Na początku grudnia dotknęliśmy sceny z nowym materiałem. Co za uczucie, po tylu miesiącach głodu. Ale równocześnie się boimy, że zostanie my nazwani kolaborantami. Że nie odeśliśmy.

Zespół

Ale zespół aktorski Starego Teatru to kilkadziesiąt osób. Są wśród nich ci, którzy konsekwentnie odmawiają rozmów. Powtarzają, że protesty nie pomogły żadnemu innemu zespołowi aktorskiemu w Polsce w ostatnich dwóch latach. Podobnie jak nie pomogły lipcowe protesty w obronie niezależnego sądownictwa w Polsce albo głodowe strajki lekarzy rezydentów, o których aktorzy wspominają podczas rozmów.

Część z nich być może nie rozmawia tak, że dlatego, że ma własny pomysł na to, co może się jeszcze wydarzyć w Starym Teatrze.

Są wreszcie ci, którzy nie biorą nawet udziału w wyborach reprezentowanej przez aktorów Rady Artystycznej. I ci, którzy uznając, że ukłony po premierze „Wesela” stały się manifestacją polityczną, nie wychodzą na nie.

Jan Peszek: – Pamiętam, jak mój ojciec czekał na upadek komunizmu. Nie dożył tego. A teraz ja się pytam, kiedy to straszne, które nadeszło, odejdzie. I w jaki sposób? Bo ono odejdzie. W swojej „Bitwie pod Grunwaldem” Tadeusz Borowski pisze: „I zapaskudziwszy z czubem miski kłozetowe odeszli śpiewając hymn narodowe”. Czekaj nas wielkie sprzątanie, którego ja być może nie dożyję. Oby ono zjednoczyło ludzi i dodało im energii i wiary. ©

ANNA GOC

Opowieść o krwi

PIOTR KOSIEWSKI

Wystawa w Muzeum POLIN opowiada o krwi w kulturze żydowskiej. W przeszłości i obecnie.

KREW. ŁĄCZY I DZIELI” BYŁA WCZEŚNIEJ prezentowana w londyńskim Jewish Museum. W Warszawie nie oglądaliśmy prostego przeniesienia wystawy. Wprowadzono do niej polskie odniesienia oraz uzupełniono ją o prace współczesnych artystów, m.in. Bogny Burskiej, Moshe Gershuniego i Piotra Uklańskiego. I chociaż, co w Polsce staje się częstą praktyką, w miejscu niektórych oryginalnych historycznych eksponatów znalazły się banalne fotograficzne reprodukcje, to ostatecznie powstała wystawa w dobrym rozumieniu tego słowa edukacyjna, niestroniąca od kwestii trudnych czy kontrowersyjnych.

Krew i religia

Krew zajmuje wyjątkowe miejsce w judaizmie. Jest znakiem przymierza z Bogiem zawartego na górze Synaj. Wtedy to Mojżesz pokropił Izraelitów krwią cielców złożonych w ofierze. Krew jest też ostrzeżeniem. Pierwszą plagą egipską była zamiana wód Nilu w krew. Pełniła wreszcie funkcje ochronne. Krew baranka, którą ochlapano odrzwia i progi domostw, uchroniła żydowskich pierworodnych przed zemstą Boga. To ona „była dowodem na to, że Izraelici są czysti, ale była też ostrzeżeniem dla grzeszników, że kara za złamanie prawa jest śmierć” – pisał w XVIII w. Izaak Magrisso, autor komentarza do Księgi Wyjścia.

Przez kolejne wieki Żydzi poprzez odniesienia do krwi sami siebie definiowali. Przez innych także w ten sposób byli definiowani. Wystawa zarysowuje szeroką panoramę, w której jest miejsce na religię, historię, politykę, medycynę i kulturę. „Krew jest znakiem życia, ale także śmierci. Należy do sfery *sacrum*, ale może także przynależeć do sfery *profanum*. Oczyszcza i czyni nieczystym, ożywia i zatrzuwa” – podkreśla Joanne Rosenthal, autorka londyńskiej wersji wystawy.

Ekspozycja wiele uwagi poświęca krwi w judaizmie i związanym z nią rytuałom. Krew uznawana była za istotę życia. Stąd zakaz jej spożywania i opracowanie szczegółowych zasad uboju rytualnego. Z nią

jest związany rytuał obrzezania nowo narodzonego chłopca. Może być też nieczysta, stąd *nida*, czyli zasady czystości menstruacyjnej. Na wystawie nie tylko pokazano religijne uzasadnienia czy szczegółowy przebieg tych rytuałów, ale też to, w jaki sposób wpływały one (i nadal wpływają) na życie codzienne wyznawców religii żydowskiej.

Z rytualnym stosunkiem do krwi wiąże się jeden z najczarniejszych antyżydowskich mitów. Wystawa pokazuje, skąd wziął się przesąd o używaniu przez nich krwi chrześcijańskich dzieci do wyrobu maczy, a oskarżenia o mord rytualny były przez całe stulecia przekleństwem dla żydowskiej społeczności w Europie, ale też poza jej granicami. W POLINIE przypomniano o jednym z pierwszych tego typu oskarżeń: w Norwich w 1144 r. posądzono tamtejszych Żydów o zabicie chłopca o imieniu William. Podobne oskarżenia wysunięto w 1168 r. w Gloucester. W tych i innych miejscach za oskarżeniami szła śmierć domniemyanych sprawców, ale też dochodziło do pogromów. Jednak szczególną uwagę na wystawie poświęcono przypadkowi Szymona, którego ciało w 1475 r. znaleziono nieopodal żydowskiego domu w Trydencie. Proces oskarżonych o zabójstwo stał się szybko głośny, samego chłopca otoczono kultem, oficjalnie potwierdzonym w 1588 r. przez papieża Sykstusa V. Rozgłos temu wydarzeniu przyniosło wydanie przez Alberta Kunnego „*Hystorie von Simon zu Trient*”. Uważa się, że była to pierwsza książka, do której wykonano drzeworyty bezpośrednio nawiązujące do tekstu. Druk stworzył wzór przedstawiania historii „świętego dziecięcia”, w tym samego mordu rytualnego. Był on powielany przez kolejne stulecia, czego przykładem jest m.in. XVIII-wieczny obraz Karola de Prevot „Żydzi pijący krew chłopca” przechowywany w katedrze sandomierskiej – o jego obecność w kościele od dawna trwają spory, o czym przypomina praca „Polak w szafie” Artura Żmijewskiego, także pokazana na wystawie. Sam mit przetrwał jeszcze dłużej, czego przykła-

dem jest głośna sprawa Bejlisa, kijowskiego Żyda, oskarżonego w 1911 r. o zamordowanie chrześcijańskiego chłopca.

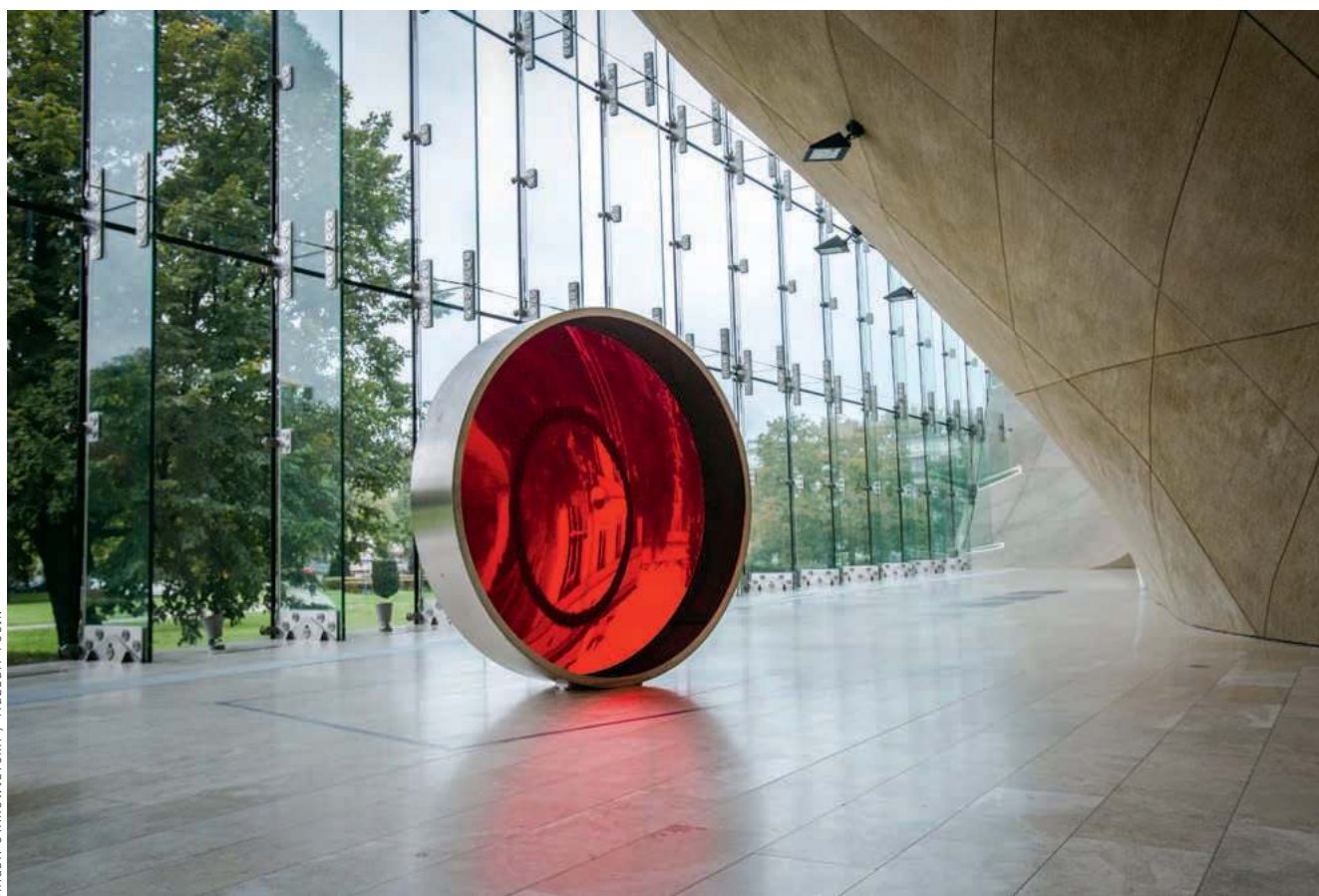
„Krew. Łączy i dzieli” opowiada także o innych wymiarach relacji chrześcijańsko-żydowskich, w tym teologicznych podobieństw i różnic w pojmowaniu krwi. Przypomina, że w chrześcijaństwie zajmuje ona także szczególną rolę: dzięki ofierze Chrystusa na krzyżu dokonuje się pojednanie człowieka z Bogiem i ludzi między sobą. To krew Jezusa, jak pisze św. Jan Ewangelista, „oczyszcza nas z wszelkiego grzechu”. Stąd obecność na wystawie przedstawienia „Chrystus w tłoczni mistycznej” (1647), obrazującego dogmat o przeistoczeniu podczas Eucharystii chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa. Jednak, trzeba to podkreślić, wątek chrześcijański jest na wystawie jedynie zasygnalizowany.

Krew i nauka

Pytanie o krew, czyli o to, co przyrodzone człowiekowi, stało się szczególnie istotne wraz z rozwojem w XIX w. biologii i antropologii. Wtedy też coraz istotniejsze stawało się pytanie, czy to krew określa pochodzenie. Zwłaszcza że kryterium religijne powoli traci swe znaczenie. I to nauka została wykorzystana przez twórców rozmaitych ideologii rasistowskich.

To najciekawsza część wystawy, bo udało się uciec od powszechnych wyobrażeń. Dzisiaj oczywiste są konsekwencje badań nad czystością rasową oraz wykorzystywania krwi (i innych czynników biologicznych) do określania bardziej i mniej wartościowych członków społeczeństwa. Jednak, o czym przypominają twórcy ekspozycji, nie były one oczywiste dla pierwszych badaczy ras oraz popularyzatorów eugeniki. Wśród nich znaleźli się zresztą żydowscy naukowcy. Bo też coraz istotniejsze – wraz z procesami asymilacyjnymi, w tym odchodzeniem od judaizmu – stawało się pytanie: co czyni człowieka Żydem? I czy – być może – więzy krwi są ważniejsze niż przynależność narodowa, kulturowa i religijna? Zwrócenie uwagi na związek tożsamości z biologią zdawało się dawać odpowiedzi na te pytania.

Jak pisał Martin Buber, będący zwolennikiem syjonizmu kulturowego, Żyd „wyobraża sobie, z jakiego zlepku osobników, z jakiej mieszaniny krwi został stworzony, ilu ludzi przed nim zostało spłodzonych i wydanych na świat. W tej nieśmiertelności pokoleń wyczuwa on braterstwo krwi... I to odkrycie, ta nagła świadomość, że krew jest głęboko zakorzeniona, że jest siłą życiodajną człowieka, że nasze naj-



Anish Kapoor „Blood Cinema”, 2000, własność prywatna, © Anish Kapoor, DACS 2017

głębsze jestestwo zależy od krwi, że nasze najskrytsze myśli i wola są tą krwią naznaczone. (...) I wtedy przeczuwa, że nie należy już do społeczności, z którą dzieli go wspólne doświadczenie, a raczej do tej głębiej sięgającej wspólnoty, z którą dzieli swoją istotę”.

W latach 80. XIX w. Joseph Jacobs – pracując pod kierunkiem Francisa Galtona, przyrodnika, antropologa, pioniera eugeniki, twórcy podstaw psychometrii i psychologii różnic indywidualnych (to on tworzył metodę klasyfikacji odcisków palców) i jednocześnie jednego z najbardziej kontrowersyjnych XIX-wiecznych badaczy – starał się udowodnić, że pewne cechy twarzy są charakterystyczne dla Żydów. Po nim przyszli inni, jak Redcliffe N. Salaman.

Z czasem coraz wyraźniej dostrzegano, że teoria ras z jej skłonnościami do wartościowania jednych grup i deprecjacji innych nie znajduje potwierdzenia w szczegółowych badaniach. Jak pisał Salomon Czortkower: „Brak różnic w składzie krwi między Żydami a nie-Żydami dowodzi najlepiej, że antropologicznie nie można mówić o jakiejś wyższej rasie czy też szlachetniejszym narodzie, zaszerewanym do nieistniejącej rasy aryjskiej, względnie

semickiej, której oficjalna nauka o ludach i rasach (...) nie zna”. Polskiego antropologa zamordowano w 1943 r. we lwowskim getcie.

W 1936 r. brytyjski antropolog Ashley Montagu zaproponował używanie terminu „grupa etniczna”, jako mniej ideologicznie i wartościująco obciążonego. Po Holokauście, Akcji T4, w ramach której mordowano osoby niepełnosprawne i chore psychicznie, oraz innych zbrodniach rasowo motywowanych wydawało się, że ta teoria oraz powiązana z nią eugenika zostały ostatecznie zdyskredytowane. Jednak m.in. w Szwecji oraz Stanach Zjednoczonych jeszcze w latach 70. XX w. dokonywano przymusowej sterylizacji osób o niepożądanych cechach, nie tylko fizycznych. Paradoksalnie też pytanie o to, co nas fizycznie definiuje, stało się bardziej aktualne wraz z rozwojem genetyki i badań DNA.

Wystawa przygląda się wreszcie krwi w medycynie. Od czasów starożytnych zajmowała w niej szczególne miejsce. Nie tylko była uznawana za oznakę zdrowia i choroby, ale także temperamentu. Galen uznawał, że jest on trwałą cechą i wynika z proporcji mieszaniny płynów człowieka:

żółci, śluzu, czarnej żółci i krwi właśnie. W POLINIE przypomniano o dawnych żydowskich praktykach medycznych, ale też o działalności Ludwika Hirszfelda, wybitnego bakteriologa i immunologa, twórcy seroantropologii (to on wprowadził oznaczenie grup krwi jako 0, A, B i AB).

„Krew ma specjalne właściwości w sobie” – zauważa Mefistofeles w rozmowie z Faustem. Łączy i dzieli – przypominają autorzy wystawy. Określa zbiorowości i jednostki. W holu muzeum ustawiono rzeźbę wybitnego brytyjskiego artysty Anisha Kapoora. „Blood Cinema” (2000) to wielki krąg o krwistoczerwonej powierzchni. Idealny, abstrakcyjnie neutralny, bezosobowy. A jednak kiedy zbliżamy się do niego, możemy dostrzec własne odbicie. Wpierw wyrażnie, że wszystkimi szczegółami pozwalającymi rozpoznać osobę. Potem jednak, z każdym krokiem, obraz się rozmywa. Niknie wreszcie w krwistej tafli. Zatapia się w czerwonej płaszczyźnie. ©

KREW. ŁĄCZY I DZIELI, Warszawa, Muzeum POLIN, wystawa czynna do 29 stycznia 2018 r., kuratorka: Małgorzata Stolarska-Fronia.

Stomma i „stommizm”

WOLFGANG PAILER

Urodził się 110 lat temu, 18 stycznia 1908 r. Przypominają o nim jego wydane niedawno „Pisma wybrane”: Stanisław Stomma, katolicki intelektualista, nestor dialogu polsko-niemieckiego.

W SWOIM DŁUGIM ŻYCIU – ZMARŁ w roku 2005, w wieku 97 lat – jako polityk kierował się koncepcją, którą jego przyjaciele określili kiedyś żartobliwie jako „stommizm”. Wypracowany w warunkach komunizmu i sowieckiej dominacji nad Polską, „stommizm” charakteryzowały takie pojęcia jak „minimalizm”, „katolicka nauka społeczna”, „mądrość etapu”, „neopozytywizm”, „racja stanu”, „kompromis”.

Gdy patrzymy z obecnej perspektywy na tamten czas, na Stanisława Stommę i jego strategię „małych kroków”, która miała prowadzić do stopniowego poszerzania „pól wolności”, widzimy, jak często spotykały go bolesne porażki. Radosław Ptaszyński, redaktor „Pism wybranych” – obejmujących ponad 70-letni okres publicystycznej aktywności Stommy – konstatuje, że patrząc na przełomowe momenty z dziejów PRL, można by wręcz sądzić, iż Stomma ponosił wtedy właściwie same klęski.

A jednak inaczej wygląda to, gdy spojrzemy z perspektywy długofalowej – najpierw roku 1989 i kompromisu przy Okrągłym Stole (przy którym Stomma był obecny), a potem pełnego odzyskania przez Polskę niepodległości i jej wejścia do struktur zachodnich. Z takiej perspektywy widać, że koncepcja Stommy przyczyniła się do demokratyzacji Polski, tworząc zarazem podwaliny pod nowe relacje polsko-niemieckie. Także w aspekcie kształtowania kadry: niezależny klub „Dziekania”, któremu Stomma przewodził w latach 80., stał się kuźnią myśli politycznej, kształtującą wielu ludzi, którzy po 1989 r. podjęli różne zadania w wolnej już Polsce.

Teksty Stommy, pomieszczone w „Pismach wybranych”, dają dobry wgląd w jego myślenie i zainteresowania – jako polityka i katolickiego intelektualisty, wiernego Kościołowi, którego szczególnie zajmowały kwestie historyczne i kulturowe. Aby ułatwić orientację czytelnikowi, Radosław Ptaszyński zaopatrzył je w kompetentną przedmowę, a także zadał sobie naprawdę wiele trudu, aby (na ile to możli-



Stanisław Stomma
PISMA WYBRANE
1931–2003 (w trzech tomach). Wstęp, wybór i opracowanie Radosław Ptaszyński, Universitas, Kraków 2017

we) przez poszukiwania w archiwach państwowych i prywatnych odtworzyć wersje oryginalne tekstów poddanych cenzurze (ingerencje cenzorskie zaznaczono). Czytając je, warto mieć też na uwadze – co też Ptaszyński przypomina – że w tamtych czasach autorzy, mający na uwadze fakt, iż ich teksty będą poddane cenzurze, swoje poglądy wyrażali często w sposób zakamuflowany. A mamy tu również i takie teksty, które wówczas w ogóle nie mogły się ukazać.

„Pisma” podzielono na trzy tomy. Pierwszy zawiera teksty, które ukazały się przed II wojną światową, począwszy od debiutu Stommy w 1931 r. Ramy czasowe dla tomu drugiego tworzą koniec wojny i rok 1975, a więc okres instalowania w Polsce komunizmu, stalinizmu i następnie „odwilż”, po której, od 1957 r., Stomma przez niemal dwie dekady był posłem na Sejm w kole Znak. Ostatni tom obejmuje teksty powstałe między rokiem 1976 a 2003.

Jak zwykle w takich przypadkach bywa, można dyskutować o ich doborze. Można by więc życzyć sobie, by ukazały się tu także przynajmniej najważniejsze sejmowe wystąpienia Stommy. W tym wielka mowa, jaką wygłosił 4 lipca 1989 r. jako marszałek senior na pierwszym posiedzeniu nowego Senatu. A że Stomma poświęcił spory kawałek życia pojednaniu polsko-niemieckiemu – nie tylko jako autor artykułów, lecz tu głównie jako polityk – byłoby uzasadnione, gdyby w takiej publikacji pomieszczono też najważniejsze fragmenty jego książek „Czy fatalizm wrogości?” (wydanej w Krakowie w 1980 r.) i „Pościg za nadzieją” (ukazała się najpierw w Paryżu, w 1991 r.). Mając natomiast na uwadze młodych czytelników, by-

łoby sensowne, gdyby w „Pismach” znalazły się zdjęcia ilustrujące główne momenty jego biografii – jak to słynne z 1976 r., gdy jako jedyny wstrzymuje się podczas głosowania w Sejmie nad zmianami w konstytucji PRL. Ubolewać wypada, że w korekcie „Pism” najwyraźniej nie uczestniczył ktoś znający niemiecki – w niemieckich cytatach, nazwach własnych czy nazwach instytucji jest wiele błędów.

Wiele z tego, co Stomma pisał, przetrwało próbę czasu i pozostaje aktualne. Weźmy taki cytat z jego „Myśli o polityce” z 1959 r.: „Jakie są przyczyny, że polityka tak często w praktyce bywa moralnie brudna? (...) Pierwszą bywa nienawiść. Pokusa nienawiści jest wielka wszędzie tam, gdzie ludzie stają się dla siebie przeszkodą w osiągnięciu zamierzonych celów. Ponieważ z polityką łączy się walka o władzę, przepaść nienawiści jest dla polityków szczególnie bliska i niebezpieczna. »Demon władzy« (...) zaślepią ludzi, każe im działać z największą bezwzględnością i każe nienawidzić tych, którzy się im sprzeciwiają”.

I jeszcze dwa cytaty, niemal profetyczne, dotyczące spraw polsko-niemieckich. Jeden z tekstu, który ukazał się w „Tygodniku” w 1971 r., wkrótce po podpisaniu traktatu między PRL a RFN: „Dokonywany zwrot w stosunkach polsko-niemieckich nie jest sprawą łatwą, nowy kurs napotyka i będzie napotykał na duże trudności. (...) Istotą rzeczy jest to, aby nie stracić z oczu dalekosiężnego kursu, który zmierza do przezwyciężenia balastu przeszłości i ma umożliwić przyjazne współżycie obu narodów”. Kolejny z artykułu, który ukazał się także w „Tygodniku” 18 lat później, na kilka tygodni przed historyczną wizytą w Polsce kanclerza Kohla w listopadzie 1989 r. Stomma pisał wtedy: „Wchodzimy więc w nowy etap. Jak ten etap będzie wyglądał? Różni się tutaj od wielu moich kolegów-polityków, którzy przyszłość widzą ogromnie sielankowo, nie przewidują żadnych tarć ani trudności. Sądzę, że stosunki między dwoma narodami o tak powikłanej przeszłości nie mogą być od razu tak proste i bezkonfliktowe. Trzeba przyjąć, że natrafimy nieraz jeszcze na przeszkody”.

Doprawdy, mało kto wtedy sądził, że ponad 70 lat po II wojnie światowej zajmować będzie nas historia... ©

WOLFGANG PAILER pracował przez 33 lata w niemieckim MSZ jako tłumacz z polskiego, w tym 15 lat w ambasadzie w Warszawie. Autor książki „Na przekór fatalizmowi wrogości. Stanisław Stomma i stosunki polsko-niemieckie”. Tekst wyraża prywatne opinie autora.



Mateusz Smoczyński, wrzesień 2016 r.

Metamorfozy

KAJETAN PROCHYRA

Granie solo to jak wyjście na scenę na golasa. Nie ma żadnej podpory, nie ma żadnej ściemy – mówi skrzypek Mateusz Smoczyński. Jego „Metamorphoses” właśnie ukazały się na płycie.

LUBI PRACOWAĆ POD PRESJĄ. INACZEJ L trudno byłoby mu przetrwać, dzieląc muzyczną karierę między dwa kontynenty.

W Polsce założył Atom String Quartet – pierwszy polski kwartet smyczkowy grający jazz. W USA był pierwszym skrzypkiem Turtle Island Quartet – zespołu swoich marzeń, na którym wzorował się tworząc Atom; grupy od 30 lat prowadzonej przez mistrza jazzowych skrzypiec Davida Balakrishnana. Wspólnie z Turtle Island Mateusz nagrał płytę „Confetti Men”, nominowaną w 2015 r. do nagrody Grammy.

Po czterech latach na walizkach, Mateusz Smoczyński postanowił wrócić do Polski. W 2016 r. zwyciężył w prestiżowym międzynarodowym konkursie dla skrzypków jazzowych im. Zbigniewa Seiferta w Krakowie. Aneta Norek, prezeska Fundacji organizującej konkurs, zaproponowała mu wtedy nagranie płyty solo. Kiedy rozmawiałem z Mateuszem pierwszy raz, na dniach miał jechać na nagrania do Europejskiego Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego w Lusławicach.

– Siedzę teraz w domu i w każdej wolnej chwili piszę muzykę. Napisałem już sobie kilka takich dłuższych utworów.

Chyba zbiorę to w jedną, kilkuczęściową całość. Ciągłe piszę, ale sam się boję, bym nie napisał sobie zbyt wielu rzeczy i bym zdążył się ich dobrze nauczyć – mówił wtedy Smoczyński. Pomysł na płytę solo powstał w sposób naturalny. Z jednej strony to dla każdego muzyka wspinaczka na szczyt własnych możliwości. Z drugiej Zbigniew Seifert – pionier i legenda jazzowych skrzypiec – nagrał swoje „Solo Violin” (1978), będąc właśnie w wieku Smoczyńskiego. Inspiracji było więcej: solowe nagrania Keitha Jarretta, koncerty niemieckiego wiolonczelisty Stephana Brauna czy grającego w Turtle Island Marka Summera.

W koncertowej sali Centrum Pendereckiego młody chłopak pomógł mu rozstawić mikrofony i zniknął. Mateusz sam nagrywał, edytował, słuchał i decydował, czy udało się zarejestrować właśnie to, na czym naprawdę mu zależało. Miał dwa dni.

Zaplanowana była jeszcze sesja zdjęciowa na okładkę przyszłej płyty. Dłuższe utwory, o których wspominał przed nagraniem, złożyły się w czteroczęściową sonatę pt. „Metamorphoses”.

– Pierwszą część nagrywałem jako ostatnią, około pierwszej w nocy. Wymęczony wyszedłem na chwilę na dwór. Pomyślałem, że ta część jest jak taka modlitwa, w której można odjechać. Wróciłem do pustej, pięknie brzmiącej sali koncertowej. Odjechałem totalnie. I nagle wyłączyli prąd. Tak się przestraszyłem! Na szczęście nagrywałem na laptopa i wszystko się zapisało. Skończyłem. Ciemność totalna. Spakowałem manatki, poszedłem spać. W łóżku w kółko słyszałem w głowie tę sonatę. Całą noc.

Główną inspiracją był kwartet smyczkowy skomponowany przez Györgya Ligetiego w 1954 r.

Ligeti miał wtedy 28 lat. Pierwsze wykonanie wydarzyło się cztery lata później w Wiedniu. Kompozytor żył już wtedy na emigracji, po wydarzeniach rewolucji węgierskiej 1956 r. Jego muzykę znamy dziś przede wszystkim z filmów Stanleya Kubricka. Reżyser zachłysnął się jego twórczością pracując nad „2001: Odyseją kosmiczną”. Zachłysnął, bo o swojej decyzji wykorzystania w filmie fragmentów „Lux aeterna”, „Kyrie” czy „Atmosphères” zapomniał poinformować samego kompozytora. Proces o naruszenie praw autorskich połączył jednak artystów na tyle silną więzią, że utwory Ligetiego możemy dziś usłyszeć także w „Lśnieniu” i ostatnim filmie Kubricka „Oczy szeroko zamknięte”.

– Kwartet Ligetiego kojarzy mi się z „Alicją w Krainie Czarów”: wpadasz w tunel i wszystko jest z jednej strony mocno zniekształcone, z drugiej tyle różnych rzeczy dzieje się dookoła! To jest ciągła opowieść, w której nieustannie coś się zmienia. Metamorfozy! W końcu ten tytuł nie wziął się znikąd – dodaje Smoczyński.

„Cały kwiecień siedzieliśmy właściwie w domu, dużo ćwiczyłem. Kilka dni temu zagrałem w Recklinghausen mój pierwszy koncert solo na skrzypcach. Grałem zupełnie sam, i było bomba” – pisał Zbigniew Seifert w liście do rodziny 1 maja 1974 r. z Dortmundu. Dwa lata później stanął na scenie w Post-Aula w Bremie, by zagrać solowy recital zarejestrowany przez tamtejsze radio. Miesiąc przed koncertem niespełna 30-letni Seifert dowiedział się, że cierpi na nowotwór. Dochód ze sprzedaży płyty „Solo Violin” miał pomóc sfinansować kosztowne leczenie, które ostatecznie nie pomogło.

Długo oczekiwane wznowienie albumu „Solo Violin” ukazało się nakładem Fundacji im. Zbigniewa Seiferta niemal równocześnie z płytą „Metamorphoses” Mateusza Smoczyńskiego. ©



Bolesław Prus, Nałęczów 2016 r.

WOJCIECH WÓJCIK / FORUM // MONTAŻ „TP”

Przygwożdżenie wiewiorem

AGNIESZKA BĄBEL

Czytelnik szeroko reklamowanej i nawet wychwalanej książki Moniki Piątkowskiej „Prus. Śledztwo biograficzne” napotka w niej tak ogromną liczbę omyłek, przemilczeń i uproszczeń, że czynią z niej pozycję wręcz kuriozalną.

ZADZIWIĄ JUŻ PIERWSZE ZDANIE KSIĄŻKI: „To nigdy nie był dom, o którym Aleksander myślałby z czułością i do którego chciałby wracać myślami”. Wzorem XIX-wiecznego narratora wszechwiedzącego, który wlaźł w powieściowe dusze bohaterów i informował autorytatywnie o ich odczuciach, myślach i pragnieniach, Monika Piątkowska już na wstępie „wie”, co Aleksander Głowacki czuł, czego chciał, a o czym nigdy nawet nie myślał.

Następnie autorka stwierdza: „Jako dorosły pisarz Aleksander czerpał materiał literacki niemal wyłącznie ze swojej biografii. Nie miał daru imaginacji i nie potrafił oderwać fabuły od własnych przeżyć. Jego prozę wypełniali więc bliscy mu ludzie, a zdarzenia, które opisywał, prawie zawsze dotyczyły go osobiście. Choć nie było to celem Aleksandra, jego twórczość siłą rzeczy stała się kroniką jego własnego życia i życia jego bliskich”. Po czym następuje zdumiewająca konkluzja: „i nierzadko stanowi dziś w tej materii jedyne źródło wiedzy”. Czyżby? Dotychczas zakładano, że aby określić utwór literacki jako autobiograficzny, należy go porównać z informacjami o życiu autora. Piątkowska dokonuje natomiast olśniewającej wolty – najpierw uznaje, że utwór jest autobiograficzny (dlaczego? bo tak!), a następnie na jego podstawie odtwarza przeżycia pisarza.

Na torturach

Jest to sposób w badaniach literackich równie ceniony, co stosowanie tortur w nowożytnych systemach prawnych. O ile bowiem za jego pomocą można „udowodnić” dokładnie wszystko, o tyle do tzw. obiektywnej prawdy nie zbliża ani o włos. I nic nie pomaga stosowana tu metoda powtarzania w funkcji dowodzenia – ta sama hipoteza, początkowo opatrywana zastrzeżeniem „chyba”, potem pojawia się pod hasłem „prawdopodobnie” lub „zapewne”, aby za trzecim razem wystąpić już jako bezdyskusyjny fakt (np. tajemnicza żydowska kochanka, dokonująca aborcji, jako pierwowzór Sary z „Faraona”, który jest „oczywiście” powieścią autobiograficzną opartą na przeżyciach z czasów studenckich, lub miłość do niejkiej „Amelii Welt”). Czy świadczy to o lekceważeniu zdolności odbiorcy do logicznego myślenia, czy też o wierze w jego zaniki pamięci? W każdym razie pozostawia dość nieprzyjemny posmak manipulacji.

Niewinnego czytelnika musi również rozczarować brutalne uświadomienie sobie, że praca Moniki Piątkowskiej nie ujawnia żadnych nowych materiałów ani nie opiera się na nieznanym dotych-

czas źródłach. Wszystkie teksty Prusa są cytowane za znanymi, zresztą dość przypadkowo dobranymi wydaniem (przedwojennymi i powojennymi, naukowymi i popularnymi, przygotowanymi starannie i pełnymi błędów – wszystko jedno). Podstawowy trop interpretacyjny stanowi fragment artykułu „Łęki sytuacyjne Prusa” Stefana Borowieckiego (niekiedy wymiennie zwanego w tej książce Stanisławem), wydanego pośmiertnie w 1938 r. Co ciekawe, artykułu w ogóle nie wymieniono w bibliografii, rozpychanej za to na siłę dość dziwnymi i luźno związanymi z tematem pozycjami (jak np. dwa wydania pamiętnika Deotymy, postaci wzmiankowanej tylko raz, czy prace o medycynie w Rzeczypospolitej szlacheckiej).

W gruncie rzeczy „twarde fakty” są w tej książce czerpane z klasycznego zestawu: „Kalendarza życia i twórczości”, przygotowanego przez Krystynę Tokarzównę i Stanisława Fitę (1969), zbioru wspomnień o Bolesławie Prusie w opracowaniu Fity (1962) oraz już wydanych dwóch zbiorów listów (1953 i 1959). Ostatnie pół wieku badań nad Prusem i jego twórczością w ogóle tu nie istnieje (przynajmniej jawnie, gdyż niektóre stwierdzenia są żywcem czerpane z przemilczanych prac Jakuba A. Malika o „lubelskim sklepie Minclów” albo Józefa Bachorza o powstańczych doświadczeniach Aleksandra Głowackiego). Natomiast „sensacyjne” doniesienia o niesłubnym synu pisarza to powtórzenie teorii Gabrieli Pauszer-Klonowskiej, wyłożonej w beletryzowanych biografiach z lat 60. ubiegłego wieku. Własny wkład autorki stanowi teza o maltretowaniu małego Olesia w dzieciństwie przez surową babkę oraz „wyśledzenie” w jego biografii przynajmniej trzech skonsumowanych romansów, planów rozwodowych i minimum jednej zdrady małżeńskiej. A wszystko to na podstawie analizy utworów (z różnych lat, bowiem Głowacki ma niestrudzenie między te same przeżycia w młodościowych nowelach i w powieściach pisanych w kwiecie wieku czy też u schyłku życia) i rozmaitych bohaterów, z których każdy to „alter ego” autora.

Z owym „alter ego” sprawa bywa nieco skomplikowana, bo ta sama postać może być portretem pisarza lub jego brata (i wtedy jest to Włodek-Aleksander lub Włodek-Leon w „Omyłce”), a niekiedy różni bohaterowie tego samego tekstu odzwierciedlają schizofreniczną jaźń Prusa, tak więc w „Lalce” raz bywa on Wokulskim, innym razem znów Rzeckim.

O dziwo, żadna z postaci kobiecych nie dostąpiła zaszczytu bycia „alter ego” – za-

tem studiując psychoanalizę na potrzeby tej książki, biografka najwyraźniej zatrzymała się na Freudzie i do Jungowskiej koncepcji „animy” już nie dotarła.

Klucze i łomy

Utożsamianie „psychologii” z „psychoanalizą” (której nieszczęsny Głowacki jakoby nie zna, a zatem sam musi sobie domorosłymi metodami oswajać swoje nerwice) i czynienie z pisarza biernego medium, kompletnie niepanującego nad tekstem (który niejako mimowolnie wypływa z jego wnętrza, dopiero odpowiednio „wnikliwemu oku” zdradzając prywatne sekrety, dramaty i fobie), akurat w przypadku Prusa zupełnie się nie sprawdza. Już pobieżne przejrzanie katalogu jego księgozbioru (spis wykonany przez żonę, Oktawię z Trembińskich, został wydany drukiem w opracowaniu Haliny Ilmurzyńskiej i Agnieszki Stępniewskiej w 1965 r.) ujawnia, że na półkach w mieszkaniu Głowackich stało około 90 pozycji z dziedziny psychologii, zbieranych od lat 70. XIX w., począwszy od popularnych poradników dotyczących ćwiczenia pamięci czy opanowania nieśmiałości, po solidne dzieła encyklopedyczne.

Aleksander Głowacki czytał (po polsku, rosyjsku i francusku) książki Alfreda Bineta, Paula Carusa, Karola Darwina, Ellisa Havelocka, Williama Jamesa, Henri Joly’ego, Richarda von Krafft-Ebinga, Gustave’a Le Bona, Cesarego Lombrosa, Théodule’a Ribota czy Wilhelma Wundta. Samo to wyliczenie wskazuje, że Prus interesował się nie tylko tak fascynującymi biografami, czytelnikami i paparazich lękami oraz zachowaniami seksualnymi, ale też psychologią dojrzwania, uczuć, fizjognomiką, psychologią społeczną, doświadczeniem religijnym, psychologią zbrodni, potęgą sugestii, siłą woli czy światem snów. Jako młodzieniec zetknął się nie tylko z Julianem Ochrowiczem (przywoływanym w „Śledztwie biograficznym” często), ale i z Wiktorem Feliksem Szokalskim (wymienionym jeden jedyny raz jako przyrodnik „Wiktor Szokalski”), okulistą, a zarazem autorem „Fantazyjnych objawów zmysłowych”, wykładowcą w Szkole Głównej, uważanym za prekursora koncepcji Freuda dotyczących marzeń sennych. Równocześnie gromadził prace na temat ćwiczenia stylu i kompozycji, wyobraźni twórczej, kreacji artystycznej. Przez wiele lat prowadził „zawodowe” notatki teoretyczne, wielokrotnie obrabiając pomysły i starając się doskonalic warsztat (co uznawane jest tutaj za „kompulsywne wyliczanki”, rozpaczliwy

sposób radzenia sobie ze stresem i atakami paniki!).

Nie sposób więc pozbyć się wrażenia, że tak pod względem wiedzy teoretycznej z dziedziny psychologii, jak i świadomego jej zastosowania w twórczości literackiej, przedmiot owego „śledztwa” o wiele przewyższał swoją współczesną biografkę. „Grając w kotka i myszkę z czytelnikiem”, jak głosi tekst na okładce „Prusa. Śledztwa biograficznego”, już jako tworzący w pośpiechu kronikarz i korespondent znakomicie umiał wykorzystywać sugestywne niedopowiedzenie, wabić obietnicą skandalu czy np. tworzyć reklamujący uroki uzdrowiska erotyczny opis krajobrazu („Z Nałęczowa”, „Kurier Codzienny” 1894, nr 23). I autorowi tak świadomemu swojego tworzywa wmawia się teraz „zdradzanie się” z utrwalonymi rzekomo w tekstach utworów romansami czy traumami, naiwnie zakładając, że każda opisana tam sytuacja jest odwzorowaniem rzeczywistości w skali jeden do jednego? Wolne żarty! Takie „przykładanie klucza biograficznego” (wedle ulubionego określenia Piątkowskiej) do twórczości innych autorów pozwoliłoby „niezbicie” udowodnić, że Dostojewski rąbał staruszki siekierą, a Żeromski topił noworodki w wychodku. Psychoanaliza jako narzędzie interpretacyjne nie może być stosowana w sposób tak prosty, bowiem przestaje wtedy być „kluczem”, a staje się po prostu łomem.

Na Indianę Jonesa

Materiały źródłowe związane z Bolesławem Prusem przechowuje co najmniej dziesięć polskich bibliotek i muzeów w różnych miejscowościach. W swoich poszukiwaniach autorka dotarła (fizycznie lub do zbiorów dostępnych na stronie Mazowieckiej Biblioteki Cyfrowej) jedynie do trzech miejsc: Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy – Głównej Biblioteki Województwa Mazowieckiego, Muzeum w Nałęczowie i Biblioteki im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie. Warto przy tym zaznaczyć, że niektóre bloki materiałów zostały podzielone i „ciągi dalsze” znajdują się w zupełnie innych zbiorach (jak np. rozdzielone między dwie biblioteki notatki do powieści „Przemiany”) – o czym się już ze „Śledztwa biograficznego” nie dowiemy. Dowiemy się za to na przykład takich nowości, że Izabela Łęcka była hrabianką, milioner Stefan Solski z „Emancypantek” – inżynierem, że Prus za swoją współpracę z czasopismami jako początkujący felietonista w latach 70. zarabiał 500 rubli miesięcznie (podczas gdy, jak świadczą rachunki, tak ceniona ↪

→ pisarka jak Orzeszkowa za tom powieści dostawała 600 rubli – ale coś znaczący jedno zero...) i że pożerała go patologiczna zazdrość o sukcesy, urodę i podróże Sienkiewicza, zwłaszcza w latach 80. (kiedy owo „dziecko szczęścia” wojażowało głównie po uzdrowiskach ze śmiertelnie chorą żoną).

Oprócz takich ciekawostek regularnie mamy powoływanie się na powieściowe cytaty wyrwane z kontekstu i utożsamianie wypowiedzi postaci z poglądami autora. Stawianie znaku równości między bohaterem, narratorem a pisarzem to podstawowy błąd, który wytyka się uczniom już w szkole podstawowej – niektórzy jednak, jak widać, nigdy nie potrafią sobie tej nauki przyswoić.

Jeśli autorka nie potrafiła odnaleźć danej informacji (np. o ślubie Głowackiego w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie), kwituje to stwierdzeniem: „niewiele wiadomo”, „listów brakuje”, „materiały się nie zachowały” i w zamian proponuje co najmniej oryginalny chwyt uznania napisanego półtora roku później humorystycznego opowiadania „Miesiąc nektarowy” za reportaż, bo „dziś jest to jedyne źródło, z którego można czerpać wiedzę o całym zdarzeniu”. Z notatek wybiera zaś te fragmenty, które potrafi odczytać (najchętniej posługując się zresztą wersjami dostępnymi on-line), pozostałe uznając za „niezrozumiałe” lub „obsesyjne” odzwierciedlenia nękanego fobią umysłu (podczas gdy są to np. zapiski z konkretnej lektury pisarza).

Podsumowując – czego dowodzi uprzedzanie skandalizującej biografistyki metodą „na Indianę Jonesa” (łapiemy pierwszą lepszą atrakcyjną błyskotkę i uciekamy, pozostawiając za sobą budynki walące się w gruzach)? Niestety tylko tego, że pisanie tekstów naukowych czy popularnonaukowych powinno się zajmować ludziom rzetelnym i odpowiednio przygotowanym, dziennikarzom i literatom zostawiając lekki gatunek *vie romancée*. Już od pięciu lat trwają w Polsce prace nad krytyczną edycją pism wszystkich Bolesława Prusa, łącznie z materiałami odnalezionymi i ni-

gdy niepublikowanymi, z podaniem rozmaitych wersji tekstów, poprawek autora i zmian wprowadzanych przez cenzurę (zaplanowano ogółem 70 tomów, drukowanych przez lubelskie wydawnictwo Episteme – czytaj na powszech.net/pismawszystkieprusa). Monika Piątkowska o tym wie (skoro w bibliografii wspomina pierwszy tom humoresek, wydany w 2014 r.), natomiast całkiem świadomie wydaje się najświeższe dziś informacje o twórczości Prusa ignorować.

Miedzy innymi dlatego czyniona przez dziennikarzy „od kultury” entuzjastyczna reklama „Prusa. Śledztwa biograficznego” – przy ich równoczesnej całkowitej niewiedzy na temat obecnego stanu badań nad tym pisarzem – wystawia im smutne świadectwo.

Szyfry

Na koniec należne czytelnikom wyjaśnienie. Zagadkowy „wiewiór” w tytule tej recenzji to symboliczny przykład „detektywistycznej pasji” autorki w odczytywaniu tekstów rękopisów niepublikowanych. Prus miał paskudny charakter pisma, zwłaszcza w prywatnych notatkach, wykonywanych w pośpiechu, często zapisywanych ołówkiem i pełnych skrótów. Odcyfrowanie tych zapisków wymaga czasu, wprawy i skupienia, a także znajomości jego lektur i zainteresowań w danym okresie – w przeciwnym razie nader łatwo np. notatki z czytanej akurat przezeń książki uznać za osobiste wyznania, a pozornie niepowiązane ze sobą nazwiska mało znanych postaci historycznych wziąć za chaotyczne, absurdałne gryzmoły. Fragment z „Zeszytów o kompozycji” (Kompozycja, „Zeszyt III. 1897-1898”), bezrefleksyjnie zapisany przez Monikę Piątkowską jako „głód, śmierć, przygwożdżenie wiewiórem”, przez prof. Annę Martuszeńską już dobrych parę lat temu został odczytany jako „głód – śmierć przy gnieździe wiewiórczym itd.” („B. Prus, Literackie notatki o kompozycji”, Gdańsk 2010).

Ostateczną ocenę „wnikliwości psychologa”, przeprowadzonego „drobiazgowego śledztwa” i stworzonego w ten sposób „pełnowymiarowego obrazu pisarza” pozostawiam już odbiorcom. Ostrzeżony – uzbrojony. ©

AGNIESZKA BĄBEL

Zarządzanie kryzysowe

ANITA PIOTROWSKA

Maślona stworzył inteligentną satyrę na uzależnienia ludzi pozornie wyzwolonych. Oglądamy karkołomne i żalosne wysiłki bohaterów, by za wszelką cenę utrzymać się w grze.

COŚ SIĘ WYMKNĘŁO SPOD KONTROLI. Albo – mówiąc językiem naszych komputerów – coś poszło nie tak. Gadatliwy współpasażer z samolotu nagle zamilkł i, co gorsza, przestał oddychać. Romantyczna randka z byłym mężem zamienia się w kłopotliwe *qui pro quo*. Przyjęcie weselne niczym z luksusowego katalogu staje się salą porodową, a uwijający się na nim kelner musi za pomocą swojego telefonu stoczyć nagle międzygalaktyczną walkę o wszystko. Na dodatek w najmniej odpowiednim momencie dawne koleżanki z liceum robią tak zwany wjazd na chatę, by wspólnie opłakiwać śmierć kolegi. I nie są to bynajmniej wszystkie nieszczęścia, które spotykają bohaterów debiutanckiego filmu Pawła Maślony.

Za pomocą współczesnej tragikomedii złożonej z kilku zapętlonych wątków twórca „Ataku paniki” próbuje uchwycić, a następnie okiełznać panujący w naszym życiu chaos. Jako wybornemu opowiadaczowi anegdot udaje mu się i jedno, i drugie. Tytułowy atak dopada w filmie tych, którym dotychczas mogło się wydawać, że entropia to pojęcie z podręcznika termodynamiki, niemające związku z codziennym doświadczeniem. Bo przecież dziś każdy musi udawać, że doskonale panuje nad wszystkim. Że świetnie sobie radzi po rozstaniu; że potrafi zorganizować perfekcyjną imprezę; że ma stabilną pracę w firmie, podczas gdy zarabia na utrzymanie za pomocą domowej sekskamerki.

Trójka współscenarzystów, czyli Maślona, Bartłomiej Kotschedoff i Aleksandra Pisula (dwoje ostatnich również gra w tym filmie), tworzą sytuacje jak z sennego koszmaru. Gwałtowne turbulencje, których doświadczają wracający z Egiptu wczasowicze, w pewnym momencie sta-

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30
w Radio Kraków goszczą
dziennikarze „Tygodnika”.

Stuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM |
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM |
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM |
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM |
Gorlice – 97,4 FM www.radiokrakow.pl

Autorka pracuje w Instytucie Badań
Literackich.

Monika Piątkowska, **PRUS. ŚLEDZTWO BIOGRAFICZNE**, *Znak*, Kraków 2017

WARTO ZOBACZYĆ W TV [20 – 26 I]



MATERIAŁY PRASOWE / HUBERT KOMERSKI / AKSON STUDIO

Magdalena Popławska w „Ataku paniki”

ją się udziałem wszystkich bohaterów filmu. Nieoczekiwanie zmuszeni są zdać egzamin z zarządzania kryzysowego.

Dorota Segda, Artur Żmijewski, Magdalena Popławska czy Julia Wysińska brawurowo odgrywają postacie, którym grunt osuwa się spod nóg. Są wśród nich także upalone marihuaną dzieciaki, starsza pani ratująca swego syna w interaktywnym świecie gry (w tej roli Małgorzata Hajewska-Krzysztofik), choć przede wszystkim twórcy „Ataku paniki” biorą na celownik przedstawicieli polskiej klasy średniej – ich mody, snobizmy i nowe świeckie tradycje.

A przy okazji obsesje i fobie. Jest bowiem „Atak paniki” inteligentną satyrą na uzależnienia nękające ludzi pozornie wolnych i wyzwolonych. I nie chodzi wyłącznie o nadużywanie różnej maści substancji psychoaktywnych. Bohaterowie Maślony wykazują chorobliwe przywiązanie do własnych wizerunków, znoszą feudalną zależność od swoich szefów, tkwią w pułapkach wirtualności. Oglądamy na ekranie ich karkołomne, choć w gruncie rzeczy żałosne wysiłki, by za wszelką cenę utrzymać się w grze.

Co jednak istotne, reżyser i jego aktorzy wiedzą, gdzie należy zastopować, by nie popaść w prześmiewczą szarżę, i jak wyważyć tony, by mimo wszystko tych zwariowanych bohaterów jakoś uratować w naszych oczach. Ryzykowny, krwią zbрызany prolog filmu wprowadza nas w świat bardzo grubej komediowej przesady, ale nie efekciarskiej zgrywy.

W „Ataku paniki” wykorzystana została sprawdzona w kinie metoda narracyjnego puzzla, bo to do nas w dużej mierze należy ułożenie tej poszarpanej historii we własnej głowie, uporządkowanie kolejności zda-

zeń i połączenie ze sobą rozproszonych po różnych wątkach postaci. Przytomny widz z pewnością dostrzeże, jak poszczególne sceny czy epizody rozmawiają ze sobą czy zgrabnie o siebie zahaczają. Jednakże film Maślony ruchem konika szachowego co i raz przeskakuje o kilka pól dalej, to znów skręca w bok, kpiąc z klasycznej logiki przyczynowo-skutkowej. Jednocześnie ten sam film, kręcony głównie w klaustrofobicznych wnętrzach: w mieszkaniach, samolocie czy restauracji, rozpoczynający się gwałtowną śmiercią, a zakończony pojawieniem się nowego życia, swoją wewnętrzną konsekwencją buntuje się przeciwko wszechogarniającej entropii.

Porównywanie „Ataku paniki” do mozaikowych dzieł Roberta Altmanna nie ma większego sensu – nie ten ciężar gatunkowy. Skorzarzenia z argentyńskimi „Dzikimi historiami” też muszą być raczej powierzchowne.

Przed nami mocno pokręcona opowieść o tym, jak trudno przejąć kontrolę nad światem, ale ten świat osadzony został w znajomych dekoracjach. Polska w obiektywie Maślony to kraj ludzi bardziej spanikowanych niż po ułańsku brawurowych. Takich, którzy w swoim ciągłym udawaniu i aspirowaniu stracili wzajemny kontakt ze sobą i z innymi.

Inteligentna rozrywka nie była w ostatnich czasach specjalnością polskiego kina. Tym bardziej należy się cieszyć, że powstała wreszcie komedia, która prócz ostrej zabawy dostarcza trochę materiału do przemyśleń – o niepewności co do tego, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy. ©

ATAK PANIKI – reż. Paweł Maślona.

Prod. Polska 2017. Dystryb. Akson. W kinach od 19 stycznia.

1. Stacja Fruitvale



Dramat, reż. Ryan Coogler, USA 2013, Ale kino+, 20 I, 18.35

Zanim nakręcił głośny „Creed: Narodziny legendy”, zadebiutował

opartą na faktach historią afroamerykańskiego chłopaka, który w Nowy Rok A.D. 2009 został zastrzelony przez policję. Zdarzenie na dworcu kolejowym zarejestrowali kamerą przypadkowi świadkowie. Film Cooglera uhonorowano wieloma nagrodami, m.in. w Cannes i Sundance.

2. To nie są najlepsze dni mojego życia



Dramat, reż. Szabolcs Hajdu, Węgry 2016, Cinemax, 23 I, 8.55, 16.45

W oparciu o sztukę teatralną inspirowaną własnymi przeżyciami

węgierski reżyser przygląda się temu, w jaki sposób emigracja zarobkowa wpływa na relacje rodzinne mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej. W 2016 r. film otrzymał Grand Prix na festiwalu w Karlowych Warach.

3. Mozaika



Serial, reż. Steven Soderbergh, USA 2018, odc. 1, HBO3, 23 I, 20.00

Twórca filmu „Seks, kłamstwa i kasety wideo” i „The Knick” coraz chętniej

pracuje dla telewizji. Zrealizował kolejny, jak na razie sześciocyfrowy serial, który wyrósł z aplikacji interaktywnej o tej samej nazwie. Prezentując rozbieżne punkty widzenia, opowiada o zabójstwie popularnej autorki książek dla dzieci, w którą wciela się Sharon Stone.

4. Idealne miasto Auschwitz

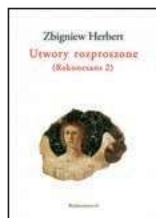


Dokumentalny, reż. Grażyna Czermińska, Bogdan Czermiński, Polska 2016, TVP1, 24 I, 22.00

Oświęcim zawsze kojarzyć się będzie z obozem

koncentracyjnym, choć były też inne projekty związane z tym miejscem. Na podstawie niemieckich map z okresu II wojny światowej oraz zachowanych notatek i rysunków odtworzone zostają nazistowskie plany stworzenia wzorcowego miasta, które miało być „bastionem niemieckiej kultury na wschodzie”.

Lektor: Nasz wiek



• Zbigniew Herbert,
UTWORY ROZPROSZONE (REKONESANS 2)
Wybrał, w dużej części odczytał z rękopisów
i opracował edytorsko Ryszard Krynicki.
Wydawnictwo a5, Kraków 2017, ss. 548

„Gdzie spędzisz wieczność? / Nie wiem. Może w piasku mgławic”...
Notatka odczytana z późnego rękopisu, zapewne początek wiersza,
któremu nie dane było powstać. Jedno z odkryć, które przynosi ta
książka.

KANON POEZJI HERBERTA
obejmuje dziewięć zbiorów,
od „Struny światła” (1956) po
„Epilog burzy” (1998). W edycji
„Wierszy zebranych” (2008)
po ponad 700 stron, nie licząc
przypisów. Wydane dwa lata
później „Utwory rozproszone
(Rekonesans)” okazały się
księgą niemal równie okazałą.
Znalazły się w niej wiersze
publikowane tylko w cza-

sopismach i te, które miały
swoją premierę książkową
w Niemczech, w przekładach
Karla Dedeciusa, oraz duży
wybór ineditów. Te z kolei
pochodziły zarówno z rękopi-
śmiennych bądź sporządzonych
w maszynopisie książeczek,
jakie Herbert w pierwszej
połowie lat 50. ofiarowywał
przyjaciółom, jak i z rękopisów
z archiwum poety.

Wznowienie „Rekonesansu”
to po części nowa książka.
Znalazło się tu bowiem
kilkadziesiąt kolejnych
utworów odczytanych
z rękopisów – niektóre z nich
pozostały niedokończone – oraz
trzy prozy z zaniechanego cyklu
„Charaktery”. Nie ma natomiast
zbiorku „Podwójny oddech”,
ofiarowanego w 1950 r.
Halinie Misiólek, ówczesnej
miłości poety, i ogłoszonego
po jego śmierci bez zgody
spadkobierców i wyjątkowo
niechlujnie. „Opublikowałem
go w pierwszym wydaniu
»Utworów rozproszonych«
– pisze Ryszard Krynicki –
przede wszystkim dlatego,
żeby poprawić błędy wydania
pirackiego”, i tłumaczy, że
zrezygnował teraz z przedruku,
bo uważa, że właściwym dlań
miejszem jest przyszłe wydanie
krytyczne juveniliów
Herberta.

A teraz pytanie najważniejsze:
jaką lekturą jest „Rekonesans”?
Pełną niespodzianek. Teksty
ułożono w porządku ich
powstawania, najwięcej

pochodzi z lat 1950-68. Rzeczy
słabsze sąsiadują z wierszami
wielkiej urody, jak „Inkantacje”
czy „Nikifor”, dla których
autor był najwyraźniej nazbyt
surowy. Są też ironiczne
komentarze poetyckie do
ówczesnej rzeczywistości,
których cenzura raczej
by nie przepuściła, jak
„Ballada o trzech Iblach”
(mowa o Instytucie Badań
Literackich w jego pierwszej,
mocno marksistowskiej fazie
istnienia) i „Na sprowadzenie
zwłok Brunona Jasińskiego”.
Niezwykle są utwory, często
niedokończone (jak „Sen
Kartezjusza”), podejmujące
temat onirycznych wizji, które
wciąż nawiedzają zwolennika
racjonalnego porządku
i polemistę Freuda – a przecież
z niepublikowanego dotąd
wiersza „Kalestwo Pana
Cogito” dowiadujemy się,
że owo kalestwo polega
na całkowitym braku
podświadomości... Na końcu
niezwykle sumienne przypisy,
faksymilia rękopisów
i fotografie. ©©

POŻEGNANIE

Msza św. w intencji

ś.†p.

Anny i Jerzego
Turowiczów

poniedziałek 22 stycznia
godz. 18.30, bazylika św. Floriana
w Krakowie

zaprasza

RODZINA

ORAZ

ZESPÓŁ „TYGODNIKA
POWSZECHNEGO”

Czytajcie Jagielskiego: „Strona świata” dostępna bezpłatnie

Zapraszamy na „Stronę świata” – prowadzoną
przez Wojciecha Jagielskiego, znakomitego
reportera i pisarza, który w ubiegłym roku
dołączył do zespołu „Tygodnika Powszechnego”.

W cyklu „Strona świata” znajdą Państwo
pogłębione analizy i najnowsze informacje
z krajów, które rzadko trafiają na pierwsze strony
gazet czy do głównych wydań telewizyjnych
programów informacyjnych.

Już teraz mogą Państwo przeczytać m.in. o tym,
w jaki sposób władca Rwandy zamieszany
jest w znikanie oponentów politycznych; jak
władza wymyka się z rąk blisko stuletniego
prezydenta Zimbabwe Roberta Mugabe oraz w jaki sposób Unia Afrykańska
zacieśnia kontynentalną integrację. A także portret Rahula Gandhiego, dziedzica
najsłynniejszej na świecie politycznej dynastii, oraz rozmowę z George'em
Yacoubem, arabistą, o antyrządowych protestach w Iranie, których uczestnicy
domagają się pogożenia kresu rządów ajatollahów.

Wszystkie teksty Wojciecha Jagielskiego z cyklu „Strona świata” dostępne są
za darmo pod adresem powszech.net/strona-swiate



GRAZYNA MAKARA

PAWEŁ

Bravo: Dociskanie ciasta



PO WYMIESZANIU WYRABIAĆ DALEJ Z WIELKĄ siłą, dociskając ciasto ciężarem całego ciała. To czynność, którą należy wykonać z pasją – tako rzecz przepis na makaron jajeczny, czyli *pasta all'uovo*, zapisany przez Miriano, tokańskiego kucharza, któremu dawno temu pomagałem skłecić z notatek i spolszczyć skromną, acz pożyteczną książkę. Dawno już jest wyprzedana, stąd mogę o niej swobodnie pisać, nie uprawiając kryptoreklamy.

Pierwszego zawodowego kucharza w swoim życiu spotkałem przez zawiłą intrygę przypadku, zszywającego sobie tylko znanym ściegiem nieoczywiste znajomości. Tak to przecież bywa, że nic nieznaczące uwagi i przypadkowe rozmowy od słówka do słówka potrafią nieraz połączyć zupełnie zaskakujące pary.

Byłem wszak człowiekiem słowa, pracowałem w czasopiśmie z przedrukami prasy zagranicznej, więc miałem – jak to mówili z zazdrością koledzy – wymarzoną fuchę, bo płacili mi za czytanie gazet. Ociosywałem co dzień mgłę podobnych do siebie słów, a fakt, że dotyczyły dalekich krajów i ich retoryka była mniej parcia niż u nas, tylko trochę osłabiał dotkliwe znużenie ich powtarzalnością. Ale i tak cokolwiek bym złego myślał o całej tej mierzwie zbyt potocznych słów, nie umiałem bez tego żyć.

Z drugiej strony był on, człowiek noszący w sobie materiał na tuzin literackich opowieści, nie-umiejący jednak tego płynnie wyrazić w mowie. Bo pismo, no cóż... nie był z nim znanadto zaprzyjaźniony, o czym miałem się wkrótce przekonać, gdy zaczął mi przynosić nagryzmolone, urywkowe bruliony tego, co lekkomyślnie obiecałem zamieścić w książkę.

Umiał w życiu robić tylko jedno: prowadzić kuchnię – ale nikt nie powiedziałby, że jedyna możliwa praca była dlań niewolą. Bo zarazem chciał to robić. Nie spotkam już nigdy lepszej żywej definicji pasji: chceć tak bardzo czegoś, że nie umie się robić nic innego. Każde rozproszenie siły, każde „spróbuję innego” byłoby bezsensowną zdradą tego pierwotnego chcenia.

Wynurzył się więc któregoś wieczora z oparów kuchni, z ziajajny, w kraciastej koszuli. Pamiętam z tego pierwszego spotkania niezgrabność jego ruchów – jakby przerzucony na drugą stronę wahadłowych drzwi zachowywał się czujnie w nieswojej domenie. Dla kogoś, kto kucharzył wcześniej widywał tylko poprzez filtr sentymentalnych wyobrażeń o panu w śmiesznej białej czapie, był to oczywiście moment zderzenia z rzeczywistością. Różna też od lśniących, wysterylizowanych ujęć w raczkujących wówczas dopiero kanałach kulinarnych. Śmieszy mnie, kiedy dopiero niedawno zaczęły odkrywać dla siebie i widzów prostą prawdę,

że w kuchni istnieją inne barwy oprócz białej, szarej i stalowej. Chociaż należałoby ściślej powiedzieć, że nie o prawdę tu chodzi, tylko o nowy rozdział stylizacji, tym razem dopuszczający starannie podrasowany bałagan i zabrudzenia.

Szarości w otoczeniu Miriano nie było wcale, a zimnej stali tylko tyle, ile wymaga rzemiosło operujące nożem i normy sanitarne. Było za to dużo chaosu i hałasu, ścisku i zgiełku – długo nie rozumiałem, jak w takich warunkach jest w stanie tworzyć rzeczy fantastyczne, wymagające dystansu czy chwili namysłu. Ale to tylko wrażenie kogoś z zewnątrz, o czym się przekonałem dopiero wiele lat później, gdy wreszcie ze środka innej zupełnie restauracji zobaczyłem, że nic nie jest bardziej obce dobremu jedzeniu niż wymyślanie na zimno, bez presji czasu, ograniczeń miejsca i składników.

Wtedy, paręnaście lat temu, niestety nie odważyłem się zrobić kroku w przepaść, gdy zaproponował mi: „co to się dzieje, Paweł, nie mogę dojść do ładu z polskimi pomocnikami, co trzy miesiące kolejnego zwalniam, każdy zaczyna chodzić w pracy pijany, skoro masz trochę włoskich genów, to może inaczej niż oni pijesz, chodź do mnie popracować”. Odmówiłem, a nasza roczna znajomość – zanim wrócił na południe, wezwany do objęcia rodzinnej knajpy w Toskanii – została w sferze notatek, tekstu, rozmów o rozdziałach i uściśnianiu gramatur w przepisach. No i w moich próbach, by przełożyć na słowa, które nie zabrzmiałyby zbyt kiczowato, pasję sprawiaczą, że w kuchennym działaniu najcenniejsze bywa nie to, co wymaga szczególnych umiejętności, tylko proste sprawy.

Na przykład jajeczny makaron nie wydajcie nam dość gładki, jeśli go nie wymęcymy (ciasto jest naprawdę twarde!) z dobry kwadrans. Albo drożdżowe ciasto. Też czasochłonne i od razu po jakości focacci czy pizzy czujemy, czy ktoś się na nim zdrowo wyżył na stołnicy.

Są też potrawy wymagające nie siły i szału, ale spokoju i lekkości, gdy np. przyjdzie nam pokroić w równiutną kostkę parę kilo warzyw albo zamienić kilkanaście cebul na idealnie równe,

cienkie piórka. Ilekroć natykam się na ślad cudzego namiętnego wysiłku, czuję, jakbym nasycił swój głód po dwakroć, dostając w prezencie kawałek czyjegós istnienia. © P



Spośród setki przepisów, jakie wtedy dla Miriano przełożyłem, kilkanaście zostało u mnie w domu na stałe, w tym jeden szczególnie – na gnocchi ze szpinaku i kaszy mannej. Myjemy pół kilo szpinaku, a jeśli listki są małe i młode, to podgrzewamy go krótko

w garnku tylko z wodą, która została na liściach po myciu, aż zwiędną. Jeśli liście są grube, to dodajemy nieco więcej wrzącej wody, ale potem musimy szpinak bardzo solidnie odcisnąć. Tak samo, gdy używamy mrożonego: po obgotowaniu musi być bardzo suchy. Po odsączeniu bardzo drobno – z pasją! – siekamy. Gotujemy pół litra mleka z 50 g masła i szczyptą soli, wysypujemy powoli 200 g kaszy mannej i gotujemy mieszając ok. 10 minut. Kiedy ostygnie do temperatury pokojowej, dodajemy szpinak, 2 jajka, szczyptę gałki i parę łyżek tartego parmezanu. Formujemy kulki wielkości orzecha włoskiego, wkładamy do płaskiej formy posmarowanej masłem, zalewamy beszamelem i posypujemy parmezanem. Pieczemy w 180 stopniach około kwadransa, jak na wierzchu pojawi się ładna rumiana skorupka.

NIE MA CZYSTYCH KUCHNI

FABIO PARASECOLI, PROFESOR FOOD STUDIES:

Odkurzanie tradycji może się stać sposobem na wzmocnienie podziałów społecznych. Poszukiwanie tożsamości narodowej w kuchni może nabrać zbyt politycznego kontekstu.

PAWEŁ BRAVO: Food studies – co to takiego? Jak świat akademicki zrozumiał, że trzeba patrzeć na jedzenie w sposób osobny?

FABIO PARASECOLI: Urodziło się to w USA w latach 80., choć pierwszy samodzielny wydział uniwersytecki powstał w 1996 r. Co samo w sobie jest interesujące, bo ktoś mógłby pomyśleć, że to Europa, czyli np. Francja i Włochy mają większe tradycje, więc powinny w tym przodować. W Stanach Zjednoczonych wcześniej pojawiła się silna potrzeba przemyślenia, dlaczego nasz system żywnościowy nie działa, jak należy. Poza tym to za oceanem właśnie jedzenie stało się samodzielnym tematem dla mediów. Wcześniej były tylko „okienka” w ramówce wypełniane przez Julię Child i parę innych postaci.

Te czynniki wyjęły jedzenie z kontekstu prywatno-rodzinnego albo czysto rolno-produkcyjnego. To znaczy: z obszaru wyznaczonego dwoma pytaniami. Pierwsze jest prywatne: „Czym dziś nakarmię rodzinę, aby przeżyła?”. Drugie publiczne: „Jak wyprodukować dość żywności, aby wyżywić cały naród?”.

Kiedy *food studies* zostały przeniesione do Europy, nikomu nawet nie chciało się wymyślać nazwy. Pozostała amerykańska.

Ale przecież w Europie jedzeniem zajmowali się z powodzeniem etnografowie, socjologowie, ekonomiści.

Chodzi jednak o to, by te sfery łączyć. Jeśli interesuje cię rynek kawy, potrzebujesz narzędzi ekonomistów, ludzi zajmujących się agronomią, ale także socjologów, by zrozumieć całość łańcucha produkcji i konsumpcji. Poza tym celem nie jest tylko poznanie samo w sobie. Ono musi istotnie przekładać się na realny świat.



Współpracuję z ekspertami od diet i żywienia, projektantami wnętrz, szefami kuchni...

Z politykami?

Tak. W Nowym Jorku współpracuję z urzędnikami wydziału ds. sanitarnych. Zajmują się m.in. śmieciami i problemem marnowania żywności. To kwestia nie tylko propagowania pewnych nawyków, ale również projektowania rzeczy, sprzętów, narzędzi. A przede wszystkim kwestia myślenia na poziomie politycznym – bo taką naturę ma decyzja, by śmieci i recykling uczynić priorytetem działań władz wielkiej metropolii.

Inne pole spotkania z politykami to kwestia projektowania miejskiego. Jak wyglądają – albo mają wyglądać – przestrzenie związane z jedzeniem w mieście? Miejskie ogrody warzywne i farmy, targi, miejsca, gdzie ludzie jedzą? Wiele miast powołuje specjalnych koordynatorów ds. jedzenia.

Z politykami pracowałem oczywiście przy wydobywaniu z zapomnienia i promowaniu potraw lokalnych, co może być formą ożywienia obszarów wiejskich. Z konsulem Senegalu



ISTOCK / GETTY IMAGES

w Nowym Jorku rozmawiamy o tym, jak użyć tradycyjnych potraw senegalskich przy rozbudowie świadomej i zrównoważonej turystyki.

Politycy mają naturalną skłonność do szukania winnego i przedstawiania prostych rozwiązań. Jak sobie radzą z kryzysem otyłości? Lekarz może powiedzieć: jedz mniej. Polityk nie może powiedzieć wyborcom: przestańcie się obżerać, głupcy.

W USA to jest pole otwartego konfliktu politycznego. Jedni mówią: państwo ma obowiązek interweniować, chronić zdrowie obywateli. Inni odpowiadają: ciało jest moje, nie życzę sobie, żeby władza mi się w nie wtrącała. Kiedy miasta nakładają specjalne podatki na napoje słodzone albo regulują ilość soli stosowanej w restauracjach i każą im podawać w menu kaloryczność potraw, zawsze ktoś reaguje buntownie przeciwko ingerencji nadopiekuńczego państwa.

Poza tym tradycyjnym konfliktem mamy sporo działaczy, projektantów, którzy zastanawiają się, jak zmieniać nawyki żywieniowe, zachowując szacunek dla wielu kul-

tur. Bo to jest delikatna sprawa: jeśli jedzenie danej potrawy uważam za wyraz swojej tożsamości kulturowej, albo jest to moje *comfort food* – to jak mam z tego zrezygnować? Czy możemy uczyć dzieci o jedzeniu? Kto decyduje o priorytetach? Przy czym trzeba pamiętać, że regulacje obejmują tylko dzieci z biednych rodzin, które korzystają z dotowanej stołówki.

Wchodzimy więc w kontekst klasowy.

Rozmawiamy w nowomodnej knajpie, w starej fabryce przy krakowskich Dolnych Młynach. Takie miejsce przemawia, ma coś do przekazania i zaproponowania określonej typowi ludzi – nazwijmy ich z angielska *cosmopolitan foodie*. Wiele tendencji i zjawisk jest dostępnych tylko wtedy, kiedy ktoś ma dość pieniędzy albo kapitału kulturowego. Młodzi ludzie dookoła nas zapewne nie zarabiają kroci, ale chcą wyrażać swoją tożsamość przychodząc do takich miejsc. Pani pracująca w sklepie po drugiej stronie tej ulicy pomyśli tylko, że to marnowanie pieniędzy. Podobnie zareaguje na trendy powrotu do żywieniowych źródeł. Jeśli jest młoda, będzie się wstydzić jedzenia tradycyjnego. Nie zrozumie, skąd takie zainteresowanie, jak jadal nasi pradziadkowie.

Czym żyją foodies we Włoszech?

Po pierwsze, mamy wielką modę na *street food* i to nazywany koniecznie z angielska. Tradycyjne potrawy, które od zawsze się jadło w mieście, reinterpretuje się na fantazyjne sposoby. I są to nie tylko budki czy mikroskopijne lokaliki z dwoma stolikami: na różnych targach, np. w rzymskiej dzielnicy Testaccio, pojawiają się stragany zakładane przez renomowanych kucharzy, którzy tam wymyślają rzeczy formalnie „uliczne”, choć *de facto* wcale już uliczne nie są.

Dla pokolenia moich rodziców było jasne, że albo się jadło w domu, albo w knajpie. A jeśli już na placu, to w ramach specjalnych okazji.

Na południu, zwłaszcza w wielkich miastach, mieliśmy jednak tradycję jedzenia na ulicy. Kiedy byłem mały, to jeszcze działali uliczni sprzedawcy ślimaków. Na świętego Józefa jadło się smażone kulki ryżowe. W Neapolu smażona pizza zawsze była na każdym rogu. Ale co się zmieniło, to poczucie, że musi to być kreatywne, wyrafinowane doświadczenie.

Nie ma już tradycyjnie wyrabianych podrobów sprzedawanych w bułce. Ale za to w Rzymie powstała nowa rzecz, która dotarła zresztą i do Nowego Jorku: *strapizzino*. Trójkątny placek z ciasta jak do pizzy, w środku zagłębienie, a w nim np. krowi ogon *alla vaccinara* albo cielece jelita w pomidorach (*pajata*) – czyli bardzo tradycyjne rzymskie potrawy, w tej postaci jednak kwalifikujące się do nowej mody na *street food*.

Kiedy społeczeństwa się bogacą, zostawiają za sobą bagaż doświadczeń wiejskich, i na jakiś czas podroby odchodzą w zapomnienie.

Oczywiście, w renesansie podrobów miał swój udział ruch slowfoodowy. Jego członkowie często nie zdawali sobie sprawy, że to operacja nostalgiczna. Traktowali swoje działania jako gest emancypacyjny, wychylony w przyszłość – m.in. jako protest przeciwko modernizacji lat 70. i 80. Wtedy to miliony Włochów przemieszczały się z południa na północ albo za granicę, odrzucając w całości wszystko, co ich łączyło z miejscami, skąd uciekali. Trzeba było być nowoczesnym – czyli np. jeść rzeczy z puszek albo mrożonki. Dawno →

→ wyszliśmy z tej fazy i teraz o postępie świadczy czerpanie z elementów tradycji.

Był Pan współpracownikiem „Gambero Rosso”, jednego z pierwszych czołowych pism i środowisk slowfoodowych. Powstało ono w latach 80. jako dodatek do lewicowej gazety „Il Manifesto”, kontestującej mentalność „starych” komunistów.

Tak, lewica widziała jedzenie czysto funkcjonalnie. Na festynach komunistycznej gazety „L’Unita” jadło się kielbaski z rusztu i popijało cienkie wino. Troska o jedzenie to była rzecz dla snobów. Potem doszło do pokoleniowego przełomu. Zaczęło być w modzie podkreślanie kulturowych aspektów jedzenia. Wskazywano, że tradycja ma dla lewicowca wartość jako wyraz tożsamości klas ludowych. Świadczy o nagromadzonych przez nie umiejętnościach produkcji i zapewnienia sobie stawy, co miało stanowić powód do dumy.

Do tego jedzenie w duchu *slow* stanowiło opór przeciwko konsumeryzmowi. No i pojawiła się rozmowa o jedzeniu dobrym, czyli czystym ekologicznie i sprawiedliwym.

We Francji obrona tradycji, np. serów, miała zawsze aspekt nieco reakcyjny, przeciwko jakimkolwiek zmianom.

Tymczasem Włochom chodziło o odtworzenie pewnych doświadczeń wokół stołu bez przywracania całego tamtego świata, który na szczęście odszedł w niepamięć. To, że w praktyce wyszedł potem z tego ruch silnie nostalgiczny, z niemalże filologiczną pieczołowitością rekonstruujący świat w jego detalach – to inna sprawa. Podobnie jest z chronionymi nazwami pochodzenia: chronią pewne składniki i przepisy, ale zarazem zamieniają je w skamieliny. Stoi za nimi wyraźny odruch obronny.

Dla mnie takim świadectwem obrony przed światem jest popularność słowa „babcia” w przekazie marketingowym.

A ja pamiętam te wszystkie sielskie krajobrazy łąk i idyllę pasterską. To – przynajmniej we Włoszech – mijają teraz produkty masowe raczej poruszają inną strunę: lokalność. Nawet wielkie hipermarkety mają własne linie produktów „lokalnych”.

Wraz z tym skupieniem się na lokalności Włosi porzucili ideę budowy i doskonalenia kuchni „narodowej”?

Idea jednej wspólnej kuchni włoskiej była bardzo hołubiona przez faszyzm. To faszysty stworzyli czasopismo „La Cucina Italiana”, wymyślili pierwszy przewodnik z 1931 r. po specjalach regionalnych. Mówienie o „kuchni włoskiej” od dobrych dwudziestu lat nieco zalatuje starzyzną.

Ale kwestia włoskości wyskakuje jak diabeł z pudełka, kiedy kopiują nas cudzoziemcy. Włoch dostaje szału, gdy widzi, że ktoś, np. w Krakowie, robi pizzę nie tak, jak my to robimy. Reaguje: jakim prawem nazywacie to pizzą? Nie rozumie, że jedzenie od zawsze krąży, zmienia się. Nie, on czuje, że cudzoziemcy chcą nam ukraść nasze potrawy i zbić na nich pieniądze. Rzecz idzie o prostą ochronę interesów, o to, żeby inni nie przywłaszczali sobie elementów tożsamościowych, które przekładają się na korzyści ekonomiczne. Rząd to wspiera, bo to jest istotne gospodarczo.

Jednak Włosi chyba są szczególnie dumni z tego, jak jedzą.

Fakt, w Rzymie nie tylko bardzo długo nie było żadnego McDonalda...

...a protest przeciwko jego powstaniu przy Schodach Hiszpańskich był jednym z momentów założycielskich *slow foodu*.

I do dziś nie ma żadnej porządnej francuskiej restauracji. Ciągłe jest u nas mocne poczucie, że cały świat powinien jeść włoską kuchnię, ale tylko taką, jaką my robimy. W nowojorskich delikatesach sieci Eataly, w których jest też część gastronomiczna, pełno jest Włochów, którzy spędzają tam wakacje, jednak stołować się chodzą do swoich.

Ale w Ameryce są ogromne wspólnoty włoskie. Jak wygląda kuchnia robiona przez Włochów w USA?

Kiedy przyjechałem tam pod koniec lat 90., moją pierwszą reakcją było: co też oni jedzą? Siostra mojej babci wyemigrowała do Stanów w latach 30., mam mnóstwo kuzynów, byłem pierwszym Włochem z rodziny, który się tam od tego czasu sprowadził, i nie poznawałem potraw, które trafiły u nich na stół. Aż mi było głupio. Zajął mi trochę czasu, zanim zrozumiałem proces, w którym kuchnia italo-amerykańska stała się czymś zupełnie osobnym. Dlatego dziś szanuję ją jako daleką kuzynkę włoskiej.

Co zatem przypomina pizza, jaką jemy na całym świecie?

To pizza zupełnie swoista. We Włoszech jest albo pizza po rzymsku, ta cieńsza, bez przypalonych brzegów, albo w stylu neapolitańskim, z grubszym brzegiem, zawsze przypalonym. Dużo się mówi o jakości mozzarelli czy sosu, ale za to Włosi dostali teraz bzika na punkcie jakości ciasta. Zaczęto eksperymentować z rodzajami mąki i poważnie traktuje się kwestię drożdży.

Do niedawna zaskakiwał mnie zawsze we Włoszech nędzny wybór mąki w przeciętnym sklepie, w porównaniu z tym, co mam do dyspozycji w Polsce. Jakbyście się oduczyli piec w domu i dopiero na nowo odkrywacie, że mąka mące nierówna.

Tak, ale jednocześnie pizza mrożona nadal jest gigantycznym rynkowym sukcesem. Znowu tu zahaczamy o kwestie klasowe i kapitał kulturowy. Jeśli jesz pizzę z ciasta, które dojrzewało 72 godziny, musisz za nią zapłacić więcej niż tam, gdzie wrzucają placek do pieca po dwóch godzinach. Niektórzy dysponują kategoriami poznawczymi i doświadczeniami, które pozwalają się rozeznac w jakości pizzy. Ale to jest naprawdę bardzo wąska grupa. Cała reszta je pizzę mrożoną.

Znowu jest tak, że to, co dawniej było codziennością, jak wyrabianie ciasta chlebowego w domu, staje się oznaką elitarności.

Dzisiejsza „zwyczajna codzienność” to przemysłowa masówka z dyskontu. Przecież i we Włoszech Lidl świetnie sobie radzi. Jeśli chcesz się odróżnić, musisz się odwołać do dawnej codzienności.

Wracając do kwestii nostalgii i doświadczeń z Polską: odbywa Pan wiele podróży i spotkań głównie z ludźmi krzątającymi się wokół różnorodnych tradycji. Jakie są pułapki takiego podejsścia w naszym przypadku?

Odkurzanie tradycji może się stać sposobem na wzmocnienie podziałów społecznych. Poszukiwanie tożsamości narodowej w kuchni może nabrać zbyt politycznego kontekstu. Bo jaki macie teraz projekt narodowy? Chodzi o Polskę, która modli się wzdłuż granic, odwracając się plecami do świata? A jak w to

wpasować tę kosmopolityczną Polskę, ludzi dysponujących pieniędzmi i aspiracjami kulturowymi do brania udziału w świecie poza tymi granicami?

Porównuję Polskę z Portugalią. Tam też doszło do wielkiego odkrycia na nowo korzeni kulinarnych – ale oni nie zawracają sobie głowy tożsamością narodową. Mają ją i kropka. Ich pytanie brzmi raczej, jak stworzyć żywą, oryginalną scenę gastronomiczną. Tutaj od razu każdy mnie pyta, co myślę o polskiej kuchni. A w domyśle jest to pytanie podszyte kompleksami. Oto badacz z samego Nowego Jorku przyjechał do nas, próbuje, pisze, a więc mamy coś do zaferowania.

Ale czasami jednak z daleka widać inaczej. Jest coś, co Pana szczególnie uderza, kiedy przygląda się Pan tym próbom definiowania polskości?

Jeśli szukamy prawdziwej kuchni polskiej, to musimy uwzględnić nie tylko rozmaite dalekie jej korzenie, ale i dziedzictwo epoki komunizmu, produktów masowych z tego okresu. W Łocie podają pasażerom prince polo – to przecież też jest kuchnia polska, każdy to rozpoznaje. To tak jak z ciastem panettone we Włoszech. Stało się jednym z narodowych symboli kulinarnych, ale do lat 50. nikt poza Mediolanem go nie znał. Kiedy byłem mały, w Rzymie nikt nie jadł pesto. Teraz pesto, dzięki milionom słoiczków firmy Barilla, jest wszędzie. Dynię po raz pierwszy w życiu jadłem, kiedy pracując dla „Gambero Rosso” pojechałem na reportaż do Mantui. Ale już jako dziecko miałem dostęp do nutelli.

Kuchnia zwana „narodową” to wynik procesów masowej produkcji i dystrybucji. Tak więc raczej widzę to tak: są w Polsce różne kuchnie, głównie o zasięgu regionalnym, a nad tym istnieje pewien wspólny zasób, kształtowany, by tak rzec, na niskim poziomie, przez rynek. Wszyscy się w nim rozpoznają.

Jeśli już szukać ducha na niższej półce, to warto zauważyć, że w przypadku Polski mamy do dyspozycji źródła pisane, które dotyczą przecież głównie stołów magnackich, bardzo skądinąd kosmopolitycznych.

Kiedy doradzałem paru kucharzom w Lublinie w trakcie projektu na cześć rocznicy Unii Lubelskiej – chodziło o potrawy inspirowane kuchnią dworską z tamtej epoki – pracowaliśmy nad starymi przepisami, które były żywcem wyjęte z włoskich książek, i pojawiały się na stołach jako wyraz uczestnictwa w uniwersalnej wspólnotce. Z tego nie zbudujecie historii osobnej polskiej kuchni. O tym, co jadł lud albo mieszczaństwo, wiemy niewiele, i nie dowiemy się bez żmudnej archeologii.

Włoch dostaje szau,
gdy widzi, że ktoś np.
w Krakowie robi pizzę
nie tak, jak my to robimy.
Reaguje: jakim prawem
nazywacie to pizzą?
Nie rozumie, że jedzenie od
zawsze krąży i się zmienia.



Fabio Parasecoli

Idea jednej wspólnej
kuchni włoskiej była bardzo
hołubiona przez faszyzm.
To faszysty stworzyli
czasopismo
„La Cucina Italiana”,
wymyślili też pierwszy
przewodnik z 1931 r.
po specjałach regionalnych.

O innych mniej więcej wiemy, że jedli kaszę... Dla mojego ojca była to zawsze rzecz bardzo słowiańska. Dopiero późno odkryłem, że przecież w Toskanii i Umbrii używa się na potęgę farro, czyli łuskanej pszenicy płaskurki, dość podobnej do naszego jęczmiennego pęczaku.

Pewne elementy po prostu powracają, bo składniki i surowce są te same i sposobów na przystosowanie ich do jedzenia też jest w sumie niewiele. Kapustę dusi się jak Europa długa i szeroka – chociaż dodajmy, że we Włoszech używa się do tego wina. A niektóre rzymskie dania z podrobów przypominają mi jedzenie z kręgu iberoamerykańskiego. Krowi ogon zjesz też na Jamajce, tyle że inaczej przyprawiony. Wszędzie ludzie mieszają jakąś mękę z wodą, żeby uzyskać ciasto, z którego wyjdą kluski.

Bez różnic jednak nie sposób się odnaleźć w tym świecie.

Być może. Ale w kuchni nie ma czystości. Jej szukanie w ramach projektu politycznego nieco mnie przeraża. Próbowała się w to bawić np. włoska Liga Północna. Przecież jednym z typowych stereotypów kuchni weneckiej, obecnym nawet w pogardliwym określeniu *polentone*, jest jedzenie polenty. I teraz, na fali nastrojów antyimigranckich, jacyś głupcy krzyczą: „chcemy polenty, nie kuskusu”. Zapominają przy tym, że kukurydza na Półwyspie Apenińskim zaczęła się pojawiać od XVII wieku, jako nowe zboże przywiezione z Ameryki.

Zwane, jak to często bywa w tym nazewniczym qui pro quo, „zbożem tureckim”.

Tymczasem kuskus jest, przynajmniej na ziemiach będących pod politycznym wpływem arabskim, obecny u nas od co najmniej ośmiuset lat. Od ilu stuleci za-

czynia się „tradycja”? A co z ryżem, risotto? Poza niektórymi obszarami Veneto i Piemontu ryż na Półwyspie Apenińskim nie istniał w codziennej kuchni, pojawił się jako wynik dążeń Mussoliniego, który promował go w ramach „bitwy o zboże” i zmierzania ku autarkii żywnościowej. Wszyscy Włosi w latach 30. mieli patriotyczny obowiązek jedzenia ryżu.

Idea fiksowania się na niezmiennych tożsamościach to ślepa uliczka. Próba zamrożenia obrazu to sprzeniewierzenie się wiełu stuleciom historii narodu. Tego prawdziwego.

© P

Rozmawiał PAWEŁ BRAVO

FABIO PARASECOLI jest profesorem food studies na New York University, bada związki jedzenia, środków masowej komunikacji i polityki. Opublikował ostatnio książkę „Al Dente: A History of Food in Italy” (2014). Stale współpracuje z amerykańską edycją „Huffington Post”.

STANISŁAW

Mancewicz:

Mru-mru



WEŹMIEMY DZIŚ NA TAPETĘ ZJAWISKO opozycyjności parlamentarnej, wydaje się nam bowiem, że sytuacja dojrzała do pewnych zasadniczych konkluzji bądź to próby o charakterze prozatorskim. Oczywiście opozycyjność parlamentarna ma swych zawziętych i fachowych komentato-

rów, więc temat opozycyjności parlamentarnej w świetle ostatnich faktów wydaje się niejako wyczerpany. Jesteśmy innego zdania, bo uważamy, że ci, do których winny trafić te komentarze, nie są przygotowani do postrzegania rzeczywistości bądź też komunikowania na poziomie osób pełnoletnich. Przykładem niech będzie tłumaczenie jednego z posłów opozycji parlamentarnej, iż nie wziął udziału w jakimś tam kiedyś głosowaniu, bo musiał pójść do toalety. Zakarbowaliśmy sobie w głowie to dramatyczne wyznanie, czekając na dobrą okazję, a podczas tego czekania szlifowaliśmy – za przeproszeniem – klucz narracyjny. Chwila ta zdaje się nadeszła. Otóż niemożność głosowania w parlamencie z powodu konieczności udania się do toalety bądź to niegłosowanie z jakiegokolwiek powodu, czy to o charakterze fizjologicznym czy filozoficznym, to znakomity przyczynek do kategorii rozważań, które lubimy najbardziej. Mianowicie do snucia bajkowego dla przedszkolaczków, do przemawiania do milusińskich, choćby owi milusińscy byli już od stu lat nauczeni siadać na nocnik, odziewali się w garsonki lub garniturki, byli szczęśliwymi posiadaczami praw jazdy, sprawdzili się w biznesie, seksie bądź to celebrytozie.

Teraz będziemy używać zarówno paraboli, jak i słów bardzo łatwych, by nasz tekst był pojmowalny dla osób z dwucyfrowym

IQ, przy założeniu, że pierwsza z tych cyfr jest bardzo niska. Wyobraźmy sobie oto, że Towarzystwo Przyjaciół Kotów wydelegowało swą reprezentację, której skład wynikał z wyborów powszechnych, na mordercze spotkanie z drużyną Towarzystwa Przyjaciół Psów. My, koty i przyjaciele kotów, i nieprzyjaciele psów, liczyliśmy, co jasne, że miaukot naszych delegatów otorbi żalosnych przyjaciół psów albo przynajmniej ograniczy ich szczekanie. Wstępne deklaracje naszych delegatów były do pewnego stopnia wystarczające, mianowicie mruczełi oni do nas, dając do zrozumienia, że właśnie miauczenie jest naszym wspólnym językiem. Na podchwytliwe pytanie, czy lubią przynosić rzucony patyk, palali oburzeniem. Zdawali wtedy wszystkie egzaminy: zwijali się w kłębek koci, a nie psi, machali ogonami w sytuacjach kryzysowych, kłapali paszczkami na widok szybującego gołębia i – by rzec wprost – nigdy nie skamleli na widok serdelka.

Ku naszemu kociemu zdumieniu ci, którzy mieli miauczeć, zaczęli niebawem szczekać, przestali też formułować fundamentalne programy szczekanie ograniczające. Zaczęli współpracować z periodykiem o nazwie „Przyjaciel Psa”, propagującym niechęć do kotów i ośmieszający koty, publikujący zjadliwe apele o oderwanie kotów od koryta, gdy zaś ani nie szczekali, ani nie miauczełi, siedzieli na nocnikach. Na nasze pełne zdumienia i trwogi pytanie: „Miau?”, odpowiadali ordynarnie i beczelnie: „Hau!”. Na nasze pytania, czy oto wciąż są kotami i przyjaciółmi kotowatych, odpowiadali, że owszem, ale tylko troszkę, że właściwie są już kotopsami, bo lubią serdelki, że zrozumienie, czym jest kotopies, wymaga dramatycznego wysiłku, więc byśmy się wysilili. Poza tym źle się czują i nie mogą być w pracy, że boli ich głowa i brzusek, że nie wiedzą, którą deklarację sumienia podpisać, a której nie podpisać, nie widzą, co czytać, a czego nie czytać, za czym bądź przeciw czemu głosować, że bardzo by chcieli występować w telewizji, by zademonstrować, jak niewiele mają do powiedzenia, ale żeby nikt się z nich nie śmiał, albo że bardzo by chcieli zagrać – wszystko jedno – kota bądź psa w komedii romantycznej dla nastolatków. Słowem: cierpią, że chcą do mamusi, że muszą teraz iść siku, a potem pobiec po patyk. Że porozmawiamy później. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



REKONSTRUKCJA



Book's
not dead

PREMIERA!

Joseph Roth, kronikarz upadającego świata

W nowym odcinku podcastu „Book's not dead”

KATARZYNA TRZECIAK i **MICHAŁ SOWIŃSKI** rozmawiają



z Piotrem Pazińskim, wybitnym znawcą twórczości zmarłego w 1939 roku pisarza. Roth znany jest przede wszystkim ze swoich powieści, w których stworzył niepowtarzalny obraz umierającej c.k. monarchii. Jednak za życia znany był głównie jako przenikliwy dziennikarz i reporter, kronikarz ogarniętej chaosem międzywojennej Europy i rodzącego się faszyzmu. Wybrał życie włóczęgi i stał się „patronem ludzi bez adresu”. Historia lubi się powtarzać, dlatego powinniśmy dziś czytać Rotha.



Podcasty „Book's not dead” trwają ok. 15-20 minut i świetnie się sprawdzają np. w podróży – można ich słuchać przez aplikację SoundCloud

lub na stronie soundcloud.com/booksnotdead.

Proszę koniecznie kliknąć w „OBSERWUJĘ/FOLLOW”, by nie przeoczyć kolejnych odcinków!

Dołącz do dyskusji

Zapraszamy do udziału w grupie dyskusyjnej „Book's not dead”, moderowanej przez **MONIKĘ OCHĘDOWSKĄ**.

Rozmawiamy w niej o kolejnych odcinkach podcastu,

ale też szczegółowo przyglądamy się polu literackiemu.



To tu dyskutujemy o protekcjonalizmie zastępującym krytykę literacką (np. starszy krytyk kontra młoda pisarka), o braku wyrazistych literackich youtuberów czy o znikaniu poezji z łamów gazet bądź o najgłośniejszych premierach książkowych.

Dołącz pod adresem powszech.net/bnd

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Nowa książka ks. Bonieckiego.

Już dostępna w księgarniach!

